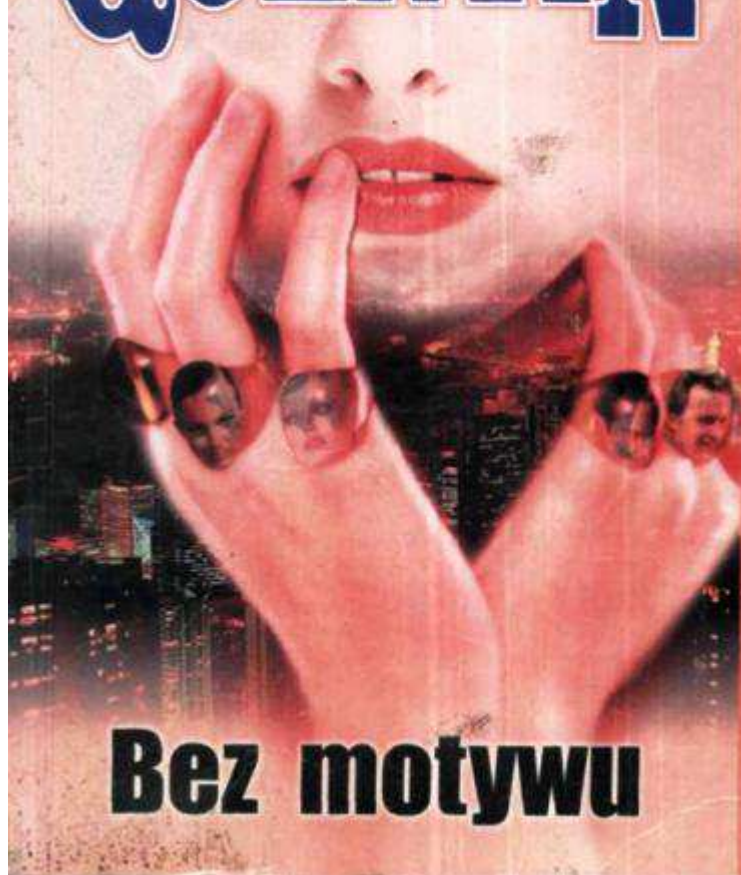


PATRICK QUENTIN



Bez motywu

G&T



Lorraine Pleygel zaprasza do swojej luksusowej rezydencji w Newadzie trzy, rozwodzące się właśnie, najlepsze swoje koleżanki, nie uprzedzając, że w tym samym czasie zjawią się tam ich zniechęceni mężowie. Napiętą wobec zaistniałego faktu sytuację zakłóca dodatkowo seria tragicznych splotów wydarzeń. Kiedy ginie Dorothy Flanders, pierwsza z rozwiedzionych żon, wszyscy zgodnie uznają to za wypadek, ale śmierć kolejnej ofiary, Janet Laguno, jest już ewidentnym morderstwem. Zwłaszcza że to nie koniec serii potwornych zbrodni...

G&L

ISBN 83-87498-25-4

PATRICK
QUENTIN

Bez motywu

Przekład: Izabela Kulczycka-Dąmbaska

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: PUZZLE FOR WANTONS

Copyright © 1945, by Patrick Quentin

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 1999

Copyright © for the Polish translation by Izabela Kulczycka-Dąmbska

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Opracowanie typograficzne, skład i łamanie:

fio & fio, tel./fax (0-56) 65-11-413

ISBN 83-87498-25

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (0-56) 652-90-17

Toruń 1999.

Wydanie II.

Ark, wyd. 10, ark, druk. 12.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno

CZEŚĆ PIERWSZA

DOROTHY

1.

— Mój trzeci mąż nie był dżentelmenem. Będę szczęśliwa, gdy się go pozbędę — oświadczyła Dorothy Flanders, wysoka, piękna, o wspaniałej sylwetce blondynka i włożyła między wiśniowe wargi szóstą kanapkę z krewetką. — Wieczorem w przededniu mojego wyjazdu do Reno, uzbrojony w nóż kuchenny gonił mnie po mieszkaniu — dodała.

Od kwadransa pani Flanders raczyła nas historyjkami mniej lub bardziej pikantnymi, których tematem były jej własne przeżycia miłosne. Żona moja przyglądała się jej z zainteresowaniem. Ja również. Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety, która miałaby tak wspaniały apetyt.

— Tak, poruczniku Duluth. — Omdlewające spojrzenie niebieskich oczu Dorothy Flanders błędziło wokół, jakby szukając jakiegoś smakołyku do jedzenia. — Muszę stwierdzić, że gdyby nie brak nogi, którą stracił pod Saipan, byłby mnie dogonił.

Ścisnęło mnie w gardle. Iris, która urodą ustępowała nieco pięknej blondynce, spytała grzecznie:

— A dlaczego to, pani Flanders, trzeci pani mąż gonił panią z kuchennym nożem?

— Och, moja droga. Wie pani przecież, jacy są mężczyźni... — Pani Flanders wzruszyła ramionami, tak wyzywająco obnażonymi, że mogły wstrząsnąć całą dzielnicą portową. — Zawsze miałam wiele kłopotów z mężczyznami. Niekiedy dziwię się nawet, dlaczego tyle razy wychodziłam za mąż.

Po dalszych kilkunastu minutach jej zwierzeń zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób radziła sobie przez te kilka lat, aby uniknąć kontaktu z nożem kolejnego ze swych małżonków.

Żółte ogrodowe krzesła, na których siedzieliśmy na obszernym tarasie, zaczęły osnuwać cienie zapadającego zmroku. Byliśmy pierwszymi gośćmi w domu Lorraine Pleygel, którzy przebrali się już do kolacji. Front budynku, przypominający swym wyglądem dwór wiejski, w całości niemal wykonany był ze szkła. Z okien doskonale oglądało się tu zachód słońca. Z tyłu rozciągał się bujny ogród i błyszczał brzeg jeziora Tahoe, jakby szmaragd od Tiffany'ego, którym Lorraine się znudziła i wyrzuciła go. W przystani można było dostrzec wyraźnie dzioby jej kilku motorówek.

Przed blisko czterdziestu ośmiu godzinami opuściłem w San Francisco swój okręt po ośmiu miesiącach pobytu na morzu. Był to dopiero drugi dzień mojego piętnastodniowego urlopu na wybrzeżu. Życie w cywilu nie nabrało jeszcze dla mnie wyraźnego charakteru. Zapomniałem, że kobiety typu Dorothy Flanders mogły żyć tak beztrzesko, że ludzie mogli jeszcze wieść próżniacze życie i być tacy bogaci jak Lorraine.

Lecz nawet ekstrawagancje właścicielki majątku Pleygelów nie mogły przesłonić pięknego krajobrazu, jaki się tu roztaczał. Przy niemal zawsze bezchmurnym niebie nagie szczyty Sierra Nevada — obojętne na swoje piękno — spoglądały groźnie na jezioro. Od podnóża gór wiatr niósł ostry zapach szaławii, tłumiąc tym zapach ogrodowego jaśminu.

Nevada była Nevada na długo przedtem, zanim Lorraine Pleygel ze swoimi milionami zjechała, by ją kokietować. Nevada była podobna do owego kowboja bałamuconego przez bogatą dziedziczkę, który nie raczył dla niej zabiegać o zmianę drelichowej koszuli lub o wyczyszczenie panokci.

— Tak — odezwała się Dorothy Flanders, rzucając namiętne spojrzenie nawet wtedy, gdy sięgała ręką po dojrzałe oliwki. — Mąż oświadczył, że zabije mnie, jeżeli jeszcze raz mnie kiedykolwiek zobaczy. Mężczyźni są tak strasznie zazdrośni. Ale kobiety również są zazdrosne... — Obdarzyła mnie dłuższym, gorącym spojrzeniem, jakby chciała wnikać w moje myśli. — Jestem straszliwie głodna. Gdzie się podziewa Lorraine?

— Pojechała z Chuckiem Dawsonem do Reno, aby zabrać z pociągu innych gości — odparła Iris.

— Zawsze gdzieś znika przed posiłkiem. A co to za goście?

— Nie powiedziała mi. Podobno z Frisco.

— To chyba będą jakieś okropne babsztyłe! — Dorothy westchnęła, a wszystko aż zadrżało pod tą jej wieczorową suknią. — Lorraine lubi zapelniać swój dom najkoszmarniejszymi babkami. Mogłam lepiej zostać w Reno, załatwić do końca rozwód i nie pozwalać jej porwać się stamtąd. Ale sami wiecie, jaka jest Lorraine...

Wiedziałem dobrze, jaka była nasza pani domu. Głębokie oczy, burza włosów i zniewalający wdzięk, a przy tym dobre serce, to była cała Lorraine Pleygel, najbardziej zwariowana multimilionerka. Umiejąca narzucać innym swoje zdanie.

Wielki temu, kiedy poznaliśmy Lorraine, ja pisałem sztuki, wystawiane w teatrach na Broadwayu, a moja żona zyskiwała pochlebne recenzje krytyków jako aktorka. Wojna sprawiła, że znalazłem się w marynarce ze skierowaniem do floty Pacyfiku. Iris skorzystała z oferty Hollywood i przyjechała na zachód, aby znaleźć się blisko mnie. Wtedy wydawało się to najrozsądniejszą decyzją, ale pod koniec mojej ośmiomiesięcznej służby na morzu dowiedziałem się, że jakiś potentat filmowy, w przystępie histerycznego natchnienia, uznał, iż moja żona jest wyjątkową kobietą, którą zniekanemu wojną światu należy koniecznie pokazać. Gdy wreszcie okręt mój wpłynął do doku w San Francisco w celu dokonania niezbędnych napraw i nasza długo oczekiwana szansa spędzenia razem dwutygodniowego wypoczynku ziściła się, stwierdziłem z przerażeniem, że Iris, wbrew własnej woli, została rozreklamowana jako gwiazda filmowa.

Nasze sam na sam już pierwszego dnia zostało piekielnie zakłócone przez sfory łowców autografów i fotoreporterów oraz natarczywe telefony z zaproszeniami na różne mundurowe bankiety. Iris wołała jednak swój „prywatny mundur”, to znaczy mnie. Choć już od pierwszej chwili nie mieliśmy szans na spokojny urlop we dwoje.

Po szóstym kobiecym magazynie, który wyblągał od nas materiał do artykułu *Ciemnowłosa seksbomba waszego bohatera*, Iris załamała się nerwowo.

„To nie jest moja wina, kochanie. Przysięgam, że nie — mówiła bliska płaczu. — To przyczepiło się do mnie, kiedy pan Finkelstein zobaczył mnie w obcisłym swetrze. Popsułam ci ten urlop. Opuszczalesz zwykłą kobietę, a wracasz w ramiona seksbomby!”

Przywarliśmy do siebie wyraźnie niepokieszeni i rozgoryczeni, odkładając słuchawkę telefonu na bok, kiedy nagle do pokoju wbiegła Lorraine z rękami wyciągniętymi przed siebie.

„Kochani! — zawołała. — Słyszałam, że osaczyli was tutaj. Moje biedne niewiniątka. Coś musimy zrobić...” I zwabiła nas, opowiadając o księżycu w Nevadzie, urzekającym spokoju gór, wspaniałym jeziorze Tahoe i przeznaczonym tylko dla nas apartamencie. Jeżeli chcecie być sami, moi kochani, to będziecie sami. Jeżeli chcecie, żeby było wam wesoło, to znajdują się ludzie, którzy was rozweselą. To naprawdę boski pomysł. Chodźcie tylko do samochodu...”

Wydawało się nam, że same niebiosa przysłały ją do nas. Zanim zdążyliśmy zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, zostaliśmy zawiezieni do Shangri-La, tajemniczego zakątka Dzikiego Zachodu, położonego około godziny drogi od Reno.

Oczywiście, nie przebywaliśmy tam sami. Zresztą mogliśmy przypuszczać, że Lorraine nie byłaby w stanie pozostawić kogoś samotnie nawet przez chwilę. Na szczęście inni goście tego domu byli tak bardzo zajęci swoimi sprawami, że żadnego z nich absolutnie nie obchodziło, czy Iris jest ciemnowłosą seksbombą czy nie.

Lorraine gromadziła u siebie „zabawne osoby” równie bez troski jak wiewiórka orzechy. Dorothy Flanders była właśnie jedną z ofiar jej kaprysu żyjącą teraz na jej koszt. Przed tygodniem, podczas jednej z tych jej osobliwych obław, Lorraine zjawiła się w Reno, gdzie przeszukała wszystkie hotele i powróciła zwycięsko ze wspaniałą Dorothy i dwiema innymi kandydatkami na rozwódki — Janet Laguno i Fleur Wyckoff. Nie widziała ich od dziesięciu lat. Kiedyś razem chodziły do szkoły w San Francisco. I Lorraine uznała, że to byłby świetny pomysł: dać schronienie im u siebie do czasu uzyskania oficjalnych rozwodów.

A skoro Lorraine tak uważała, reszcie jej otoczenia nawet na myśl nie mogło przyjść nic innego.

— Oczywiście — zaznaczyła Dorothy Flanders — jestem bardzo przywiązana do Lorraine i niezmiernie zadowolona z ponownego z nią spotkania po tylu latach. W szkole była okropna. Pamiętam ją doskonale: same zęby i szyja. — Zabrała się za oliwkę ze swojego martini. A ja czekałem tylko, kiedy połknie i wykałaczkę. — Ale muszę przyznać, że nic by mnie nie przygoniło tutaj, gdybym wiedziała, że Janet i Fleur też tu siedzą... — zawiesiła znacząco głos.

Iris pukała odruchowo w poręcz swojego krzesła.

— Nie lubi pani hrabiny Laguno i pani Wyckoff, pani Flanders?

— Ależ skąd, lubię je. Przecież obracamy się w tym samym środowisku w San Francisco. Choć... — Dorothy przechyliła ciężar ciała na uwodzieńczo opięte lewe biodro, tak że wyglądała jak z fotki w „Dla Panów”, które żołnierze przypinają nad swymi łózkami. — Tu jest to raczej krępujące, moi państwo. Naprawdę.

Zastanawiałem się właśnie nad znaczeniem tego zagadkowego oświadczenia, gdy usłyszałem za sobą odgłos damskich obcasów. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie panie, o których rozmawialiśmy. Szły w naszym kierunku po tarasie wyłożonym kamiennymi płytami.

Janet Laguno — czy też hrabina Laguno, nie wiadomo jak obecnie się tytułowała — szła o kilka kroków, jak to zwykle u niej, przed drobną panią Wyckoff. Była kobietą raczej nieprzyjemną, o niepociągającej sylwetce. Twarz jej wyglądała, jakby zawiodła całkowicie nadzieje najdroższych salonów piękności. Dorobiła się czegoś tam na prowadzeniu ekskluzywnego sklepu z odzieżą damską, ale sama stanowiła najgorszą jego reklamę — wszelkie ubrania leżały na niej okropnie.

Usiadła na krześle i mruknęła coś na powitanie.

Na co Dorothy, nie odwracając nawet głowy, odparła: — Witaj, Janet! Jaka śliczna sukienka!

— Tak? A ja sędzę, że wyglądam fatalnie. — Wyjęła papierosa i przyglądała mu się gniewnie. — Nie cierpię tych niby wieczorowych sukni. Odnoszę wrażenie, że mam na sobie pas ratunkowy. Moje włosy są równie okropne. A wszystkiemu winien jest Stefano. Widziałam się dziś rano z moim adwokatem i od tej chwili stale mam przed oczyma Stefano. Gdy pomyślę o moim mężu, wydaje mi się, że mam już sześćdziesiąt lat. I czuję się od razu chora.

— Głupstwa pleciesz, kochanie — stwierdziła Dorothy. — Stefano jest miły bez względu na to, czy masz zamiar się z nim rozwieść, czy nie.

— Miły? Ta nędzna kreatura! Rzekomy hrabia! Dlaczego ja w ogóle tytułuję się jeszcze hrabiną, nie mogę zrozumieć. Jeżeli Stefano był kiedyś kimś we Włoszech, to raczej świniopasem. — Janet Laguno skupiła wzrok na wysokim kryształowym shakerze do koktajli. — Ech, te martini! Nie cierpię ich w zasadzie, ale teraz się napiję. — Nalala sobie i uniosła szklanceczkę do góry. — Najszczęśliwszym dniem w moim życiu był ten, gdy przyłapałam męża, jak zamierzał zastawić w lombardzie moje rubiny. Zdrowie hrabiego Stefano Laguno, pospolitego złodziejaszka z podrzędnego filmu!

Niewiele mogłem powiedzieć o kobietach w Reno, ale teraz doszedłem do wniosku, że kłątwy i obelgi na mężów stanowiły jedyny temat rozmów. To była jedna z przyczyn tego, że spodobała mi się i zaciekała drobniutka Fleur Wyckoff. Była taka nietypowa.

Siadła akurat dyskretnie na krześle obok Iris. Fleur była ładną, a nawet bardzo ładną kobietą, tak jak jej imię. Miała ciemne włosy, twarz rozkwitającą urokiem i małe spokojne ręce. Liczyła około trzydziestu lat, więc mogła być rówieśniczką pozostałych kandydatek na rozwódki, lecz wyglądała na nie więcej niż dziewiętnaście wiosen. Od momentu, kiedy ją poznałem, nie napomknęła, że zamierza rozejść się z mężem. Zresztą o innych sprawach też nie mówiła zbyt wiele. W jej oczach tkwił jakiś ukryty lęk, jakby myślała wciąż o czymś i była tym przestraszona.

Janet potrząsnęła shakerem do koktajli.

— No, Fleur, ty przecież także nie pasujesz do swego męża. A więc napijmy się razem.

— Och nie, dziękuję. David zawsze przyrządza dla mnie drinki w specjalny sposób, to znaczy bez ginu i... — Nagle Fleur Wyckoff przerwała, a jej policzki wyraźnie się zarumieniły. — Chociaż tak, chyba jednak trochę się napiję — wyjąkała, machając ręką.

— Wlewam w siebie tylko te drinki — westchnęła Janet — wciskam się w kolejne nowe sukienki, a jem tylko kiedy muszę. I jaki tego rezultat? Natomiast ty, Dorothy, zjadasz przez pięć minut tyle co koń, a utrzymujesz niezłą linię. Jak to robisz? Chyba sam diabeł ci pomaga!

Kamerdyner, którego cudem chyba Lorraine jeszcze tu trzymała, wszedł z jeszcze jednym niepotrzebnym shakerem. Janet Laguno poprawiła coś przy swojej kreacji i spytała:

— Kiedy spodziewacie się powrotu panny Pleygel, Bowles?

— Naprawdę nie potrafię tego powiedzieć, proszę pani. Przypuszczam, że jej nieobecność nie potrwa długo. Słyszałem, jak mówiła do pana Frencha i panny Burnett, że kolacja powinna być gotowa na ósmą wieczór.

Walter French był starszym przyrodnim bratem Lorraine. Mimi Burnett natomiast — którą poznał w Las Vegas — była jego, lekko zwariowaną, narzeczoną.

Kiedy kamerdyner oddalił się majestatycznym krokiem, Janet orzekła: — Dzięki Bogu, że nie ma dziś między nami tych mizdrzących się gołąbków.

Skąd Lorraine wytrzasnęła tak ponurego brata, połączenie losia ze ślimakiem? Straszne!

— On jest tylko przyrodnim bratem, kochanie. — Dorothy Flanders ziewnęła. Wyglądała przy tym jak wspaniała okaz pytona, szykującego się do drzemki po przekąsce z antylopy. — Nie jest taki zły... Ale z pewnością nie zasługuje tylko na tę Mimi Burnett.

— Nikt nie zasługuje na to — oświadczyła Janet. — Znam takie czarujące kobietki. Oczy w gwiazdach, tyłki w rozjazdach!

Fleur Wyckoff gwałtownie przechylała się do przodu.

— Janet! Dlaczego wy dwie jesteście zawsze takie zgryźliwe? Pan French to bardzo życzliwy człowiek. A Mimi jest moim zdaniem przemiała...

— Przemiała? — Janet roześmiała się. — Fleur, moja droga, ty nawet gdybyś wychowywała się razem z Lizzie Bordem, tą morderczynią ojca i macochy, też byś mówiła o niej, że była przemiała dla swych rodziców!

Dorothy skinęła głową, obdarzając mnie przy okazji kuszącym uśmiechem.

— Ta Mimi Burnett ma naprawdę niedobry charakter, poruczniku. Bardzo niedobry.

Miałem ogromną chęć odpowiedzieć: „A pani to najlepiej wie”, ale powstrzymałem się. Po kilku miesiącach przebywania na morzu człowiek jest skłonny do tworzenia sentymentalnych i wyciskających łzy obrazów biednych kobiet pozostawionych na lądzie. Nie umiałem spojrzeć właściwie na te biedne stworzenia, tak na chłodno.

Iris obserwowала mnie z niepokojem. Wiedziałem, że była przygnębiona tym, że w towarzystwie zaproszonym do rezydencji Lorraine zapewne poniesiemy taką samą porażkę jak w San Francisco. Nachyliła się i uściśnęła mi rękę. Poczulem zapach jej perfum, jedynych jakie lubiłem.

— Czy możesz znieść tych ludzi, Peter? — szepnęła.

Dla dodania jej odwagi, uśmiechnąłem się szeroko. W rzeczywistości byłem nieco ubawiony tymi śmiesznymi kobietami. Działy na mnie uspokajająco. Kompletnie nie znały świata, w którym ja żyłem.

— Jeżeli trudno nam będzie wytrzymać — szepnęła mi do ucha żona — to kupię rudą perukę i zamaskowani powrócimy do Frisco.

Gdy to mówiła, dostrzegłem Waltera Frencha i Mimi Burnett zbliżających się do nas od strony pogrążającego się w wieczornym mroku ogrodu.

Przyrodni brat Lorraine i jego narzeczona lubili efektowne wejścia. To właśnie Mimi dbała o to. Dzisiaj wieczorem szli objęci czule w pasie. Ona trzymała w wolnej ręce białą różę. I doskonale zdawała sobie sprawę, że obserwujemy jej kruchą postać przybraną na wzór Melisandy lub którejś z drobnych istot z poematów Jamesa Barrie.

Walter French miał pecha, że urodził się z matki Lorraine i poprzedniego jej męża, nim zaimponowało jej bogactwo staruszka Pleygela. Miał również pecha, gdyż niedawno stracił swój niewielki kapitał na lansowaniu kogoś w Hollywood. Lecz kiedy poznał Mimi, życie zrekompensowało mu wszelkie niepowodzenia, jak powtarzał. Mimi mogła drażnić wszystkich wokół, ale dla niego była tym niezbędnym powietrzem, którym oddychał swobodnie. Ciałem i duszą czuł się jak bohater „Romea i Julii” — zażywny Romeo skrywający się za grubymi szklami okularów, liczący przynajmniej czterdzieści pięć lat.

Kiedy wchodzili na taras, nadal byli czule objęci. Mimi uniosła do góry białą różę.

— Mój Kochanek i ja — powiedziała — czytaliśmy na głos W. B. Yeatsa w altance. A potem Kochanek zerwał dla mnie tę oto różę. Prawda, mój najdroższy?

Zdaje się, że ten jej nieznośny zwyczaj nazywania go Kochankiem sprawiał Walterowi przyjemność, bo rozpromieniony odparł z uśmiechem:

— Oczywiście, że tak, Mimi.

Mimi witała się kolejno z paniami, cmokając każdą z nich. Wreszcie zatrzymała się przede mną i wyciągnęła przed siebie różę.

— Proszę powąchać, poruczniku Duluth.

Pochyliłem się nad kwiatem.

Potem ona, przyciskając go mocno do drobnej piersi, oddaliła się, śpiewnie rzucając: — Och, wy mili ludzie...

Ubrana była w lekką, różową sukienkę, która ją wyraźnie odmładzała. W rzeczywistości nie była już taka młodzietka. I choć jej owalna twarz posiadała pewne cechy urody dziewczęcej, to jednak w tych przymilnych kapryсах było coś obłudnego. Zdradzały to jej oczy. I tkwiło w nich jeszcze coś — jakaś chytraść czy przebiegłość.

Usiadła lekko na krawędzi szelonga Dorothy, wciąż wymachując różą. Dorothy zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem i wycedziła:

— Na litość boską, zabierz stąd tę wstrętną różę, bo ci ją pogryzę. Kiedy wreszcie ta Lorraine przyjedzie...

— To Chuck i ona nie wrócili jeszcze?

— Nie. Odbierają resztę gości.

— Och, mam nadzieję, że to będą panowie. — Mimi położyła swą małą rączkę na ramieniu Dorothy i oczy jej zabłyśły. — Specjalnie dla ciebie, moja droga. — Odchyliła głowę potrząsając lokami i spojrzała płomiennym wzrokiem na narzeczonego. — Ja nie potrzebuję innych mężczyzn, mam swojego wielbiciela. Nieprawdaż, mój Kochanku?

Janet Laguno chrząknęła głośno. Kochanek znów się radośnie uśmiechnął.

— Oczywiście, że tak, Mimi.

Janet Laguno zapaliła z gniewem zapałkę i odezwała się oschle:

— Kochanku, dlaczego nie żenisz się ze swoją dziewczyną? Później mógłbyś postarać się o zwyczajny rozwód, tak jak my i... poczuć wolność. Ja sama nigdy nie przeczytałam nawet kilku wersów z W. B. Yeatsa, ale wydaje mi się, że zalicza się go do poetów opisujących niezwykle okrucieństwa psychiczne.

Słowa Janet Laguno wyraźnie zaszokowały Kochanka. Mimi gwałtownie obróciła się w stronę Janet, aż jej różowa sukienka zawirowała wokół szczupłych nóg. Przez ułamek sekundy twarz jej wyrażała strasliwą niechęć. Po chwili jednak roześmiała się cienkim, dźwięcznym głosem. Schyliła się i pocałowała Janet w czoło.

— Jakież to było miłe — powiedziała. — I takie zabawne.

Ktoś teraz wydrapałby komuś oczy, gdyby nie odezwała się w tym momencie Iris:

— Słuchajcie! Czy to nie samochód Lorraine?

Istotnie słychać było warkot zbliżającego się auta. Znów uświadomiłem sobie przytłaczającą obecność zarysowujących się w ciemnościach gór Sierra Nevada, zapach szafwii oraz olbrzymie pomalowane na czarno sklepienie nieba nad nami. Nie mogłem pojąć, jak mogło powstać tak nagle i tak wielkie napięcie na tarasie. Wszyscy siedzieliśmy teraz w kompletnej ciszy, nasłuchując warkotu silnika wozu Lorraine, rozlegającego się coraz bliżej i bliżej. Dźwięk jego brzmiał jakoś dziwnie złowieszczo. Skojarzył mi się z jednostajnym warkotem zbliżającego się samolotu nieprzyjacielskiego. Wrażenie było takie, jakby auto Lorraine wiozło dla każdego z nas jego przeznaczenie.

Samochód zatrzymał się po drugiej stronie okazałego budynku. Nawet wtedy nikt z nas się nie odezwał. Wkrótce dały się słyszeć jakieś głosy w salonie, a następnie kroki i szczebiot Lorraine. Wielkie oszklone drzwi rozwarły się, ukazując nam panią domu, a za nią górującą postać Chucka Dawsona.

Lorraine miała na sobie szkarłatną, drelichową koszulę męską, dżinsy, noszone tu chyba od pokoleń, oraz wysokie skórzane buty. Rondo olbrzymiego kapelusza trzepotało się na tasie, nad jej włosami kunsztownie ułożonymi w misterne loki. Wyglądała dokładnie na taką, jaką była naprawdę — jedną z najbogatszych i bardziej znanych kobiet w kraju.

Od razu rzuciła się w naszym kierunku.

— Kochani, jak się czujecie? Drinki sobie przyrządziliście, mam nadzieję... Co za wspaniała przejażdżka. Pewnie jesteście strasznie głodni. Bo Chuck jęczał z głodu przez całą drogę do domu. — Gdy gestykulowała swymi szczupłymi rękami, odnosiłmy wrażenie, że pieści nas nimi każdego z osobna. — Och, jak słodko wyglądacie... — Odwróciła się szybko, łapiąc za olbrzymie ramię Chucka. — Chuck, skarbie! Poszukaj sobie coś do picia i zapomnij na razie o jedzeniu. Chociaż na czas, gdy ja się przebiorę. Bądź tak dobry!

Chuck wyszczerzył zęby w uśmiechu i jednym haustem opróżnił szklankę. Był to przystojny blondyn o silnej, muskularnej budowie ciała i białych, lśniących zębach. Dla każdej sekretarki z biura Chuck Dawson był uosobieniem marzeń o kowboju. W Reno był dość znaną osobistością. Niedawno otworzył tu nowy klub gier hazardowych, który cieszył się dużym powodzeniem. Nikt nie wiedział, skąd Chuck wziął na to pieniądze i kim właściwie był. Lorraine, która porzucała narzeczonych równie szybko, jak ściągała gości, była z nim zaręczona od ponad sześciu miesięcy, co stanowiło absolutny rekord w jej życiu.

Nasza pani domu poklepała po rękę Mimi, ucałowała Iris i usiadła na brzegu mojego krzesła.

— Peter, kochany. W „Del Monte” rozmawiałam dziś z kapitanem marynarki wojennej, czy coś w tym rodzaju. I wiesz co, mój drogi? On ciebie zna. Opowiadał mi o wielu twoich wspaniałych wyczynach, którymi się wyróżniłeś w jakiejś bitwie. Ale gdzie to było? Zupełnie zapomniałam. Jesteś więc bohaterem! Uchroniłeś od śmierci wielu ludzi. Zostałeś odznaczony. Dlaczego, na miły Bóg, nie powiedziałeś mi o tym?

Poczułem się okropnie skonsternowany. To nie był czas ani miejsce na objaśnianie, jak człowiek się boi, będąc pod ostrzałem, i jakich szalonych czynów dokonuje, gdy wisi nad nim zagrożenie życia. Głośno jednak powiedziałem: — Zaczekaj, Lorraine, aż dział reklamy Iris pozna się na mnie. Będziesz mogła zapewne przeczytać to wszystko w kolejnym „Filmowym Serwisie Gwiazd”.

Iris skrzywiła się.

— Peter, kochany, nie mów o tym nawet żartem.

— Ależ to jest cudowne, skarbie, po prostu cudowne — upierała się Lorraine. — Choć czasami wydaje mi się, że niezbyt realistycznie myślę o wojnie.

Dorothy Flanders przyglądała się jej dłuższy czas, wreszcie odezwała się: — Twoje wejście też było cudowne, Lorraine, ale co z pozostałymi gośćmi? Czyżby puciekali?

Lorraine roześmiała się.

— Och, nie, moi kochani. Pozostawiłam ich w holu rozpakowujących walizki i inne rzeczy. To jest okropne. Niedobrze, gdy się ma za mało służących.

Mimi Burnett, trzymająca się kurczowo swego Kochanka, zapytała nagle: — Moja droga, czy to są mężczyźni, czy kobiety?

— Mężczyźni, dziecinko. — Lorraine pogłaskała maleńką Fleur Wycokoff, roześmiała się szeroko do Janet i następnie złapała za rękę Dorothy. — Kochani, to chyba mój najcudowniejszy pomysł. Przede wszystkim za kilka dni przybędzie tu pan Throckmorton. — Spojrzała na nas jakby w oczekiwaniu na radosne oklaski. Nikt jednak nie ośmielił się zapytać, kim jest pan Throckmorton, więc słowa Lorraine nie odniosły spodziewanego skutku. Widząc to, zaczęła objaśniać: — Tak, drodzy moi. Pan Throckmorton jest moim serdecznym przyjacielem i bardzo mądrym człowiekiem i... ale nie o tym miałam mówić. Chciałam wam się przyznać, że wpadłam na to wczoraj wieczorem. Nevada jest czarująca. Góry. Księżyc. Drobnie sprzeczkki tracą tu moim zdaniem jakiegokolwiek znaczenie. Złość, nieporozumienie, wszystko to po prostu znika w Nevadzie. Każdy o tym wie. Każdy to przyzna...

Zawsze mijало nieco czasu, nim można było się zorientować, do czego zmierzała Lorraine. Jej bystre, rozbiegane oczy, które, gdy mówiła, nadawały twarzy pewien rodzaj pikanterii, wpatrywały się z przejściem w naszą małą grupkę.

— Zrozumiałe jest, moi drodzy, że nie chcę się wtrącać w czyjeś sprawy. Nie widziałam was od tak wielu lat i nie wiem, co komu potrzeba. Myślę jednak, że wszyscy powinni być tu szczęśliwi i dlatego z pozostałymi gośćmi porozumiałam się wczoraj wieczorem telefonicznie i odniosłam wrażenie, że byli zadowoleni z zaproszenia, kiedy wszystko im wyłuszczyłam... To był genialny pomysł. No tak, ale wy nie wiecie jeszcze, czemu ściągam tu pana Throckmorta. Jest on adwokatem i to bardzo zdolnym, tak że będzie mógł załatwić wszystko co trzeba, aby wstrzymać postępowanie sądowe. A przede wszystkim, jakich to kosztów zaoszczędzi...

Tknięty okropnym przecuciem, domyśliłem się nagle, do czego zmierza Lorraine. Odwróciła się gwałtownie, a oczom naszym ukazały się trzy męskie sylwetki. Mężczyźni ci minęli szybko oszklone drzwi i zbliżyli się do niej. Wtedy Lorraine roześmiała się, ale tak okropnie, że przy tym śmiechu sala tortur mogłaby się wydawać pogodna.

— Kochani, sądzę, że większość z was zna tych przemilych panów. Pozwolę sobie ich tylko przedstawić: Bill Flanders, hrabia Laguno i doktor David Wyckoff.

Moje przecucie okazało się trafne. Mimo to zorientowałem się, jak wstrętny jest ostatni pomysł Lorraine, dopiero wtedy, gdy zauważyłem reakcję kobiet siedzących wokół mnie.

Fleur Wyckoff wzdygnęła się, jakby jakieś straszne zwierzę rozdzierało ją na pół od wewnątrz. Uniosła się nieco i wyjąkała jedynie:

— David.

Janet Laguno podniosła się gwałtownie, przy wtórze szelestu sukni, i zawołała wrzaskliwie:

— Stefano!

Dorothy Flanders wyprostowała się nagle jak przezorna żmija, gotowa do zaatakowania lub odparcia ataku. Jakby obcym, ochryplym głosem wyszeptwała:

— Bill.

Iris i ja wymieniliśmy spojrzenia. Ze wszystkich lekkomyślnych wybryków Lorraine, to usiłowanie pogodzenia trzech żon z odprawionymi mężami było z pewnością najbardziej nietaktowne.

Lorraine i tamci trzej podeszli do nas. Ponieważ w świetle padającym z holu można było im się lepiej przyjrzeć, zauważyłem teraz, iż jeden z nich był bez nogi i poruszał się o kuli.

Kiedy Dorothy Flanders podniosła się, wyglądała na tle wieczornego mroku jak wspañiała renesansowa Wenus. Trzech mężczyzn zatrzymało się nagle, niemal idealnie w linii i utkwilo w nią wzrok, jakby była jedyną na świecie kobietą godną podziwiania.

Hrabia Stefano Laguno odezwał się pierwszy. Jego tępe, jaszczurcze oczy ślizgały się po sylwetce żony, a potem zgięty lekko powiedział:

— No cóż, droga Janet. Nie wiem, czy przeznaczeniu czy też pannie Pleygel zawdzięczam nasze ponowne spotkanie...

Mówiąc to, wyciągnął rękę, której Janet jakby nie zauważyła. Jej bladą twarz wykrzywił grymas piekielnej wściekłości. Byłem pewny, że zaraz wybuchnie, ale chyba z szacunku dla dramatyczności zdarzeń opanowała się jednak.

Doktor David Wyckoff skierował się do swojej maleńkiej żony. Wykonał jakiś ruch ręką, lecz opuścił ją natychmiast, gdy zauważył lodowaty spokój na twarzy Fleur. Zrezygnowany, nie powiedział jednego słowa i odszedł niezdecydowanym krokiem, przenosząc swój wzrok na Dorothy.

Zauważyłem, że plecy mu się zgięły, jakby pod nadmiernym ciężarem, który spadł na niego niespodziewanie.

Chyba tylko trzeci mężczyzna, poruszający się o kuli, panował nad tą pogmatwaną sytuacją. Bill Flanders nie był wysoki, ale na pewno silny i miał postawę wojskową, wskutek czego ubranie cywilne absolutnie do niego nie pasowało. Nie spuszczać wzroku z twarzy żony ruszył utykając do przodu. Poruszająca się pusta nogawka jego spodni sprawiała przygnębiające wrażenie.

Przysunął się tak blisko Dorothy, że musiała czuć jego oddech na swym brzoskwiniowym policzku. Oczy jego płonęły z przejęciem, nie obchodziła go kompletnie nasza tu obecność.

— No, dziecino — odezwał się — przypuszczam, że cieszysz się z naszego spotkania.

Choć ton jego głosu nie był aż tak groźny, to wszystko, co czuł w tej chwili, uwidoczniło się na jego twarzy. Ten człowiek aż tak wielką nienawiść miał w sobie, że posądziłem go o lubowanie się w niej.

Lorraine podniosła swoją szklaneczkę z martini.

— Kochani, wypijmy za ponowne szczęśliwe połączenie się trzech par. Wszystko będzie tu temu sprzyjać. Księżyc, pustynia, jezioro, pan Throckmorton... — Głos jej rozlegający się w ciszy, nagle zamarł.

Odkryła chyba wreszcie, że źle rozeznała się w sprawach, które w rzeczywistości nie układały się tak pomyślnie, jak powinny.

Iris przysunęła się do mnie bliżej. Poczułem jej palce na swojej dłoni.

— Peter — szepnęła — czy ty widziałeś twarz Billa Flandersa?

Skinąłem twierdząco głową.

Zadrżała lekko, po czym odezwała się:

— Jeżeli chwyci tu za nóż, nikt i nic nie wstrzyma go tym razem...

Nawet ten Throckmorton.

Myślałem o tym samym.

2.

Kolacja wypadła gorzej, niż się spodziewałem. W pewnym stopniu sprawił to wygląd samego pokoju. Na seledynowych ścianach wisiały obrazy Marie Laurencin, przedstawiające kobiety, cierpiące na niestrawność, oraz nagie ciała Matisse'a, wyglądające jakby zostały podgotowane w słonej wodzie i zapeklowane w ramach. Z rogów pokoju spoglądały na nas groźne maski indiańskie. W chatkach zamieszkałych przez znachorów dzikich plemion w Gwatemali spełniały może swoją rolę, ale spożywanie przy nich posiłków nie pobudzało nam apetytu. Do tego siedzieliśmy przy szklanym stole, zastawionym wyrobami meksykańskiej sztuki ludowej. Ozdabiać je miały zapewne jakieś owoce, lecz według mnie wyglądały one na coś, czego nie uprzętnął po sekcji jakiś niechlujny patolog. Kiedyś Lorraine była mecenasem niemal wszystkiego, czym można było się opiekować. Gdy budowała swój dom, jej pasją były dekoracje wnętrz. Uważała wówczas za świetny pomysł urządzenie każdego pokoju inaczej.

Temu, kto dekorował pokój jadalny, chyba mocno musiały dokuczać akurat wrzody żołądka.

W tej niesamowitej oprawie nic normalnie nie funkcjonowało, poza apetytem Dorothy Flanders. Pochłaniała danie po daniu z wyjątkowo wyszukaną elegancją, wyniosła i dumna, najwyraźniej nieczuła na powstały niepokój, za który w dużym stopniu była odpowiedzialna.

Pozostali ledwie co tknęli. Lorraine, jak zwykle, nie ruszyła niczego. Odnosiło się wrażenie, że jej ogromna żywotność zasilana była od wielu

lat jedynie złapanym w biegu listkiem sałaty czy łykiem jogurtu. Siedziała teraz na honorowym miejscu przy stole, szczebiocząc trzy po trzy, przebrana z kowbojskiego stroju w bajecznie kolorową wieczorową kreację. Albo umiała być doskonałą panią domu, albo była nieświadoma podobnie jak Dorothy, że to jej proszona kolacja była jedną z najmniej udanych.

Iris i ja jako wzór szczęśliwego małżeństwa, próbowaliśmy stanąć na wysokości zadania pod względem towarzyskim, ale nasza inwencja skończyła się już przy zupie. Kochanek French, górujący swą tuszą, zachowywał milczenie, natomiast Chuck Dawson jadł z taką żarłocznością, jakby porcelanowe naczynia Lowestofta były blaszanymi miskami, a wytworne dania — porcją z kuchni polowej. Z Mimi też nie było żadnego pożytku. Ukryta za jakimś dużym różowym kwiatem hibiscusa, większą część kolacji przesiedziała w zamyśleniu, wpatrując się weń intensywnie w nadziei, że wychynie stamtąd może jakiś skrzat i delikatnie pocałuje ją w czoło.

Rozwodzące się pary dopełniały reszty tego ponurego obrazka. Doktor David Wyckoff ze swoją śliczną maleńką żoną siedzieli obok siebie sztywno, jak na starym dagerotypie. Janet Laguno, zajmując miejsce po prawej stronie swego porzuconego hrabiego, niezdarnie męczyła się nad kawałkiem mięsa. Włosy miała w okropnym nieładzie, a jej żółta, wieczorowa sukienka wybrzuszała się w mało apetycznych miejscach. Nagle poderwała się gwałtownie.

— Lorraine — odezwała się — nie powinnaś na dziś wieczór wyciągać tych sreber. Zobaczysz, że Stefano ci je ukradnie.

Hrabia, zachowując zimną krew, spojrzał tylko i uśmiechnął się. A Lorraine, wyrwana właśnie ze swych dziewczęcych wspomnień, zawołała z oburzeniem:

— Janet, kochanie! Co ty wygadujesz? Jestem przekonana, że hrabia niczego nie kradnie!

— Mnie okradłby do cna, gdybym pozostała tu jeszcze przez ty dzień — orzekła Janet, mierząc swego nieczulego męża ostrym spojrzeniem. — Jeżeli już musiałaś zebrać tutaj nas i tych okropnych mężczyzn, to mogłaś przynajmniej zaoszczędzić mi przykrości przebywania razem ze Stefano przy stole. Mówiono mi zawsze, że zwierzęta należy trzymać z dala od po-koju jadalnego.

Ten żywy, krótkotrwały dialog zepsuł jeszcze bardziej ogólny na strój biesiady. W kompletnej ciszy, która potem zapanowała, zacząłem się

zastanawiać, dlaczego, na Boga, tych trzech opuszczonych mężów przyjęło to idiotyczne zaproszenie Lorraine. Jak mówiła, podobno bardzo się ucieszyli z nadarżającej się możliwości pojednania ze swoimi żonami. Choć na zdrowy rozum było to niemożliwe. A mimo to bez wahania porzucili swe obowiązki zawodowe w San Francisco i przybyli tu w ślad za żonami.

Dlaczego? Im więcej nad tym myślałem, tym mniej mi się to wszystko podobało.

Najbardziej współczułem Billowi Flandersowi. Oparł swą kulę o krzesło i usiadł na honorowym miejscu po prawej stronie naszej gospodyni, lecz byłem niemal pewny, że nie docierało do niego nic z paplaniny Lorraine. Siedział sztucznie wyprostowany przed nietkniętym daniem. Jego oczy osadzone w tej bokserkiej, kwadratowej twarzy, błyszczały gorączkowo. Aż przykro było patrzeć, jak bardzo pochłonięty był myślami o żonie. Gdyby może odezwał się do Dorothy lub zerknął na nią, napięcie by zapewne zelżało. Ale nie zrobił tego. Siedział sztywno, z grymasem na twarzy, jak mumia.

Widziałem na moim okręcie wielu marynarzy po wstrząsie psychicznym w następstwie bombardowania lotniczego. Siedzieli spokojni jak myszy z takimi samymi głupkowato roześmianymi twarzami. A później, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, wpadali w szal.

Ze zdenerwowania, które ośwładnęło mną na myśl o tym, co może się stać przy stole, poczułem, że dłonie mam wilgotne od potu.

Kiedy Lorraine wspomniała coś o kłopotach ze znalezieniem ogrodników w czasie wojny, Bill Flanders nagle obrócił się do niej.

— Jeżeli potrzebuje pani ogrodnika, polecam swoje usługi. Nie fantazuję. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, kręciłem się sporo przy roślinach na farmie ojca.

Mówił to głosem spokojnym, lecz pewne akcenty zdenerwowania można było wyczuć.

Ręka Lorraine niespokojnie poruszyła wspaniałe dopasowany do jej ubioru naszyjnik z pereł.

— Zapewne, panie Flanders, ale...

— Możliwe, że pani i pozostałe tu osoby nie wiedzą, że byłem także dobrze zapowiadającym się pięściarzem. Żeniąc się, bliski byłem uzyskania krajowego tytułu mistrza w wadze półciężkiej. Forsy miałem jak lodu... — Wyrzucał z siebie te słowa z niepohamowaną gwałtownością. Gdyby ktoś nie widział przedtem człowieka w stanie krańcowego nerwowego

wyczerpania, uznalby, że Bill Flanders jest pijany. — Później przyszło Pearl Harbour — ciągnął. — Zwyczajny, prosty marynarz niewiele zarabia w piechocie morskiej. Zapytajcie o to obecnego tu porucznika. Pięćdziesiąt kilka dolarów na miesiąc i do tego... stracona noga. — Zaśmiał się. — Jako bokser nic już nie byłem bez niej wart, prawda? A coś zrobić przecież muszę.

— To znaczy, że pan nic nie...

— Niestety! Gdy wysłano mnie za ocean, miałem w banku ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Wszystko to przekazałem żonie. Załatwiłem tak, by mogła podejmować pieniądze na podstawie własnych czeków. Na podstawowe wydatki, jak sama zastrzegła. — Twarz drgała mu teraz konwulsyjnie. Ciężko było patrzeć na dorosłego człowieka tak szczerze przedstawiającego swoją tragedię. — Po zwolnieniu ze służby, w szpitalu marynarki ledwie mnie przytrzymali, tak bardzo pragnąłem wrócić do żony. Nie chciałem pozostać nawet do czasu wykonania protezy. A gdy wróciłem, zgadnijcie, ile pozostało na koncie bankowym? Piętnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów!

Trudno to sobie wyobrazić, ale Dorothy Flanders nadal skupiała się na jedzeniu. Piękna i niewzruszona, jak jakaś pogańska bogini siedziała przy stole, nie usiłując najmniejszym gestem powstrzymać tego rozognionego potoku słów.

— Piętnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów — powtórzył Bill Flanders i obrócił się ku żonie. W kącikach jego oczu zalśniły łzy. — Przez dwa lata przepuściła niemal wszystko, co odłożyłem. Chociaż po niej spłynęło to jak woda po kacze. I Bóg raczy wiedzieć ilu jeszcze takich facetów oszukała we Frisco. — Drżące ręce zacisnął w pięści. — To właśnie jest ta kobieta, z którą się ożeniłem. Ta opychająca się w tej chwili jedzeniem, zdradzająca męża na każdym kroku. Gdybym miał trochę więcej odwagi, wiecie, co bym uczynił? Ja bym ją... Ja...

Umilkł nagle, zasłaniając twarz olbrzymimi rękoma. Ostre, żalodne łkania wstrząsnęły jego ciałem. Do tego momentu czuł się zaniepokojony, ale i ubawiony gośćmi Lorraine. Teraz ich znieawidził. Za to, że nie poznali prawdziwych zagrożeń, że byli tacy ułożeni. I za to, że nigdy nie zetknęli się z wojną, która tyle bólu przyniosła Billowi Flandersowi.

Wszyscy ze zdumieniem utkwili wzrok w Dorothy, jakby uczestniczyli w jakimś spektaklu, w którym ona ma teraz się odezwać. Wreszcie odłożyła

widelec i uniosła wzrok. Następnie przesunęła leniwie dłonią po swoich blond włosach i odezwała się, cedząc słowa: — Po tym rozczulającym przemówieniu sądzę, że jedno z nas powinno odejść od stołu. Wydaje mi się, iż powinien to uczynić mój mąż, bo ja mam szczerzy zamiar dokończyć swój deser.

Z przyjemnością zabiłbym ją w tym momencie. Lecz Bill Flanders nie próbował już nawet jej odpowiadać. Niezdarnie sięgnął po kulę i podniósł się ociężale. Po chwili stukając głośno o podłogę, ruszył w kierunku drzwi.

Lorraine podniosła się, jej pogodną twarz przesłonił nagle wyraz udręki. Miała chyba najlepsze serce w świecie. Nie mogła znieść widoku cierpiącego człowieka.

— Biedny facet — szepnęła. — Naprawdę biedny...

I już chciała ruszyć za nim. Zawołałem jednak: — Nie trzeba, Lorraine. Zostaw go samego.

Wiedziałem, że on nie mógłby znieść żadnych zabiegów wokół swej osoby. Lorraine chyba także to zrozumiała. Zajęła z powrotem swoje krzesło. Drzwi za Billem Flandersem zatrzasnęły się.

Ta dziwna kolacja trwała nadal, choć już bez niego. I nikt się nie odzywał. Jakieś widoczne odprężenie dla wszystkich nastąpiło dopiero wtedy, gdy Lorraine wstała proponując przeniesienie się na kawę i likier do sali z trofeami myśliwskimi.

W młodości Lorraine spędziła rok w najgłębszych ostępach Afryki i Ameryki Południowej, dając upust swemu okresowemu zamiłowaniu do polowań na grubego zwierza. Sala z trofeami myśliwskimi była rezultatem jej rocznych iście męskich wyczynów — olbrzymie, kojarzące się z jaskinią, pomieszczenie ozdobione łbami i skórami niemal wszystkich znanych gatunków zwierząt oraz wytworami sztuki z okolic Amazonki.

Miejsce to, jak uznałem, nie było chyba właściwym przybytkiem do picia kawy z likierem. Lecz prawdę mówiąc, żaden pokój w domu Lorraine nie był do tego odpowiedni.

Całe towarzystwo w podnieceniu wkroczyło do sali z trofeami, gdzie zaskoczono zostało obecnością Billa Flandersa — siedzącego w rogu pod wielkim łbem słonia. Jakkolwiek eksmarynarz wyglądał mizernie i blade, to jednak wydawał się już opanowany. Nawet nie rzucił okiem na swą żonę, która przeszła obok i parę kroków dalej zaczęła w najlepsze popijać kminkówkę.

Nikt nie wspomniał już o niedawnym incydencie przy stole. Wypadki tego wieczoru wymknęły się chyba spod kontroli i zapewne dlatego każdy wolał unikać rozmów na ich temat.

Aby się uwolnić od tej niemiłej atmosfery, Iris i ja oddaliśmy się w kierunku jednej ze szklanych gablotek z eksponatami. Zawierała ona dmuchawki i zatrute strzały, które były przypuszczalnie wypuszczone do Lorraine przez oburzonych, ale niezbyt zdolnych strzelców znad Amazonki.

Tuż obok gablotki, na wysokim krześle przypominającym tron, znajdował się najbardziej przerażający przedmiot w tej sali. Przed kilkoma laty Lorraine dała się namówić „pewnej fantastycznie uzdolnionej artystce” na pozowanie do wykonania lalki, wielkości naturalnej. Lorraine uważała to za doskonały pomysł, choć końcowy rezultat okazał się nieco szokujący nawet dla niej samej. Z bliżej nieokreślonego powodu przechowywała jednak tę lalkę w sali z trofeami. Ubrana w długą, zieloną sukienkę wieczorową, spoglądała na świat ze sztucznie wymuszonym uśmiechem. Stojąc tak z Iris i wpatrując się w tę lalkę z ponurymi minami, zastanawialiśmy się, jak wytrwamy do końca tego wieczoru.

Lorraine chyba także się nad tym zastanawiała. Po kilku minutach — podczas których rozwodzące się pary siedziały na krzesłach pobrzękując filiżankami z kawą — zerwała się nagle na równe nogi z triumfującym uśmiechem na ustach, oznaczającym jak zwykle narodzenie się jakiegoś nowego wspaniałego pomysłu.

— Moi kochani — odezwała się — tu jest strasznie ponuro. Pojedźmy lepiej do klubu Chucka w Reno i zabawmy się tam. Nie ma nic lepszego od ruletki. Gwarantuję wam to!

Jako skuteczne lekarstwo na wszelkie nieprzyjemne sytuacje Lorraine zawsze uznawała odrobinę szaleństwa. Czy jej koncepcja była słuszna czy też nie, trudno orzec, ale jeszcze nigdy nie widziałem, aby jakiś pomysł był przyjęty z równym entuzjazmem jak ten. Każdy z obecnych w sali bez zwłoki ruszył po coś do okrycia. Iris i ja jako jedni z pierwszych wbiegliśmy schodami na górę do naszego pokoju sypialnego — pomalowanego w zebłą przez dekoratora, któremu przy tej pracy pomagały chyba wizje po długich posiedzeniach w jakimś drink-barze. Zamknąłem szybko drzwi za sobą, by odciąć się od tego całego zamętu chociaż na chwilę.

Iris wyglądała teraz dużo piękniej niż na artystycznych ujęciach firmowanych przez pana Hurella. Odrzuciła włosy do tyłu, tak jak zwykle to

czyniła, gdy coś ją martwiło.

— Peter, kochanie, powiedz mi. Czy ten twój urlop musi być tak nieudany? Cóż za koszmar! Jeśli nie chcesz, to nie jedźmy do tego Reno...

Wiedziałem, że moja żona wariuje wręcz na punkcie automatów do gry. Pocałowałem ją, co zresztą mogłem robić zawsze i wszędzie.

— Lepiej pojedźmy tam, kochanie. Lorraine wkopała się w przykrą sytuację. Ktoś powinien być przy niej. A ponadto przyzwyczailem się już do tego, że mam za żonę gwiazdę filmową. Przyjemnie mi będzie pokazać się z tobą.

Iris zerknęła podejrzliwie.

— Naprawdę tak myślisz, Peter?

— Oczywiście. — Nie chciałem jej zasmucać faktem, że w tej branży była teraz *produktem* równie ważnym jak dla innych nowe płatki owsiane. — Narzuć tylko coś na siebie, moja gwiazdo...

Iris wyjęła pelerynę z szafy, zarzuciła ją na ramiona i podeszła szybko do mnie.

— Może ty mi powiesz, Peter, dlaczego ci wszyscy mężowie przyjęli to wariackie zaproszenie Lorraine?

— Też próbowałem to rozgryźć.

— A ten Bill Flanders jest naprawdę biedny. Kochanie, czy myślisz, że on mógłby chcieć zamordować Dorothy?

— Wcale bym go za to nie winił — odparłem. — Taki „mały mord” na Dorothy na pewno i jej by się przydał.

— Może tak zrobi... — zauważyła Iris zamyślona. — A ja zostanę wtedy wplątana w tę aferę i wyrzucą mnie z Hollywood, bo jeden z warunków umowy wyraźnie określa wszelkie kwestie odnośnie moralności. Czy to nie byłoby cudownie?

Dziwne, ale słowa te nie brzmiały tak beztrzesko jak powinny.

Iris podeszła do toaletki, otworzyła szufladę i wyjęła z niej po chwili przeraźliwie pękatą niebieską świnkę-skarbonkę. Ściskając ją w dłoni oznajmiła: — Ruszajmy, kochanie. Pokażmy tym wszystkim w Reno, na co nas stać!

Zadaniem tej okropnej świnki było ratowanie Iris przed skutkami jej własnej głupoty oraz przed kuszącymi automatami. Jakiś nowoangielski atawistyczny instynkt podpowiadał jej, że nie powinna uczestniczyć w

grach hazardowych. Uspokajała więc swoje sumienie kupowaniem za wygrane pieniądze obligacji wojennych. I była z tego wręcz dumna. Kupiła mi nawet podobnie koszmarną świnkę, ale nie uważałem za stosowne pokazywać jej ludziom. Dlatego też schowałem ją do walizki, znajdującej się pod łóżkiem. Iris nie miała takich skrupułów. Wszędzie brała ze sobą świnkę, wrzucając do jej spasionego brzucha wygrane monety półdolarowe, dwudziestopięciocentowe i dziesięciocentowe.

Gdy z Iris i jej świnką szliśmy korytarzem, mignęła nam filigranowa Mimi Burnett wchodząca do pokoju Chucka Dawsona. Mimi należała do gatunku kobiet, które mają zwyczaj wchodzić potajemnie do pokoiów innych osób. Zdziwiło mnie jednak, czemu narzeczona Kochanka pozwala sobie na intymne tête-à-tête z narzeczonym Lorraine. I bez tego życie tutaj było wystarczająco skomplikowane.

W głównym holu było jeszcze zupełnie pusto. Wobec tego udaliśmy się do sali z trofeami. Otworzyłem ciężkie, drewniane drzwi. Na drugim końcu sali, przy gablotce z zatrutymi strzałami stały dwie osoby — hrabia Laguno i Dorothy Flanders. Ona bardziej powabna niż zwykle w białej gronostajowej pelerynie i długich białych skórzanych rękawiczkach sięgających aż po łokcie. Wyraźnie zaskoczyło ich nasze wejście, bo w jednej chwili odwrócili się od siebie.

— Przepraszam, jeżeli w czymś przeszkodził mi — odezwałem się zażenowany.

— W czymś...? — powtórzyła wolno Dorothy. — A co hrabia miałby niby robić według pana?

Hrabia Stefano Laguno przypominał swym wyglądem wspaniały okaz jaszczurki o kontynentalnych, rzecz jasna, manierach. Uśmiechnął się ukazując niezbyt ładne zęby. A po chwili głosem wyrobionym na Uniwersytecie w Oxfordzie objaśnił: — Opowiadałem właśnie pani Flanders o Indianach z okolic Amazonki, poruczniku Duluth. To mało cywilizowany lud. Wynaleźli jedną z najbardziej śmiertelnych trucizn na świecie: kurarę. Wystarczy jej kropla we krwi, aby zabić najsilniejszego nawet człowieka. Dotychczas stosują tę truciznę jedynie do zabijania płowej zwierzyny lub innych Indian. — Rzucił przelotne spojrzenie na Dorothy, a mnie wydało się, że w jego wzroku zabłyśły iskierki chytrej złośliwości. — Kurara ma też pewną szlachetność w sobie. Mogłaby służyć do... uśmiercania potencjalnych morderczyń, na przykład. Oczywiście, w prawie uzasadnionych przypadkach. Dorothy, czy nie podzielasz mojego zdania?

Dorothy ziewnęła.

— Stefano, z pewnością dzielisz się z nami bardzo mądrymi spostrzeżeniami, ale ich przetrwanie wymaga chyba czasu. Ja zaś nigdy go nie mam... — Oplotła go rozkosznie w pół swoim ramieniem. — Chodźmy, bo Lorraine zaraz nas ponagli klaksonem.

Po chwili oboje opuścili salę. Spojrzałem zdziwiony na Iris, a ona na mnie.

— No tak... — westchnęła Iris. I to było wszystko, co chciała powiedzieć w tej sprawie.

Kiedy hrabia opowiadał o Indianach i kurarze, zbliżyłem się do gablotki zawierającej broń indiańską. Zerknąłem teraz na zatrute strzały — śmiertelne, małe narzędzia z czerwoną warstwą kurary, która nadal znajdowała się na ich grotach. Były ułożone w trzech grupach. Strzały każdej grupy poukładano ukośnie w kształt wachlarza. Stojąc tak bezczynnie, policzyłem odruchowo strzały w pierwszej grupie. Było ich sześć. W następnej również sześć. Gdy spojrzałem na trzecią grupę, serce zaczęło mi bić jak młotem.

W trzecim wachlarzu było tylko pięć strzał. A gdy się przyjrzałem baczniej, zauważyłem odcisk w zielonym rypsie pomiędzy strzałami, jakby całkiem niedawno ich pozycje zostały zmienione. Obliczyłem miejsca, gdzie ryps był wytarty. Było ich sześć.

Oznaczało to tylko jedno. Ktoś wyjął strzałę i poprzestawiał pozostałe pięć tak, aby trudniej było zauważyć brakującą. Spróbowałem podnieść wieko gablotki — nie było zamknięte na klucz.

Iris podeszła do mnie.

— Co tak podglądasz, kochanie? — spytała.

Odwróciłem się szybko w stronę stołu. To, o czym pomyślałem, było zbyt melodramatyczne, bym przyznał się nawet Iris.

— Co podglądam? — powtórzyłem. — Och, nic. Nic takiego.

3.

Trzy samochody Pleygelów, jakby lekceważąc sobie racjonowanie benzyny, oczekiwały już na olbrzymim podjeździe pokrytym żwirem. Sama Lorraine siedziała przy kierownicy pierwszego — wiekowej furgonetki, którą posługiwała się częściej niż lśniąącymi modelami innych wozów,

będących w jej dyspozycji. Skinęła ręką na Iris i na mnie, po czym usadowiliśmy się w samochodzie; Iris na przodzie z Lorraine i maleńką Fleur Wyckoff, ja zaś w tyle z doktorem Wyckoffem i Dorothy. Krzycząc coś do Kochanka w drugim aucie, Lorraine ruszyła ostro drogą w dół obok pogrążonego już jakby we śnie jeziora Tahoe.

Księżyc świecił jasno, niby mosiężny guzik na granatowym niebie. Jazda do Reno przez rozległe zbocze Mount Rose robiła niesamowite wrażenie. Auto wznosiło się, w uszach nam szumiało, a po obu stronach drogi tylko migwały samotne kaniony skalne. Po nich wyłoniły się wysokie lasy i łąki górskie, wyglądające jak zaczarowane. Podobnie jak jeleni przeskakujący nam drogę w którymś momencie tej jazdy. A powietrze przesiąknięte było tu zapachem sosen.

Kątem oka obserwowałem Dorothy Flanders. Stwierdziłem, że jej uroda była nieprzeciętna i zarazem dziwnie oziębła, jak ta noc w górach. Jednakże piękność ta była powierzchowna, ograniczała się jedynie do zgrabnej sylwetki i regularnych rysów twarzy. Jej blond włosy błyszczały jak srebro. A profil niby kamea wyłaniał się z panujących ciemności.

Nikt się nie odzywał. Niepokój, jaki owładnął nami jeszcze w domu, i tu był ciągle obecny. Nawet cisza nocy nie wpłynęła uspokajająco. Przed sobą miałem tył głowy Fleur, jakby zastygłej. To uświadamiało mi obecność jej męża. Sztywno wyprostowany siedział z drugiej strony Dorothy. W chwili, gdy zbyt raptownie mijaliśmy jakiś zakręt, Dorothy oparła się ręką o niego.

Tylko w tym jednym przypadku wykazał iskierkę życia. Gwałtownie złapał się za kolano i odsunął nogę, jakby został ukąszony przez jadowitego węża.

Dotarliśmy w końcu na szczyt i zaczęliśmy zjeżdżać w dół, kiedy to rozległ się klakson i tuż obok nas przemknął z szumem zielony kabriolet. Samochód prowadził Chuck Dawson, obok niego siedziała Mimi Burnett. Lorraine pomachała ręką i coś krzyknęła, lecz Chuck nie zwrócił na to uwagi. Jego ogorzała twarz zdradzała wyraz zaciętości i wyglądała dziwnie groźnie; przemknął obok nas jak strzała, znikając wkrótce w tumanach kurzu.

— To cały Chuck! — orzekła Lorraine. — Można go zabić po sto razy na dzień, a on i tak swoje. Myśli, że mnie wyprzedzi!

Przycisnęła ostro pedał gazu. Wiekowa furgonetka ruszyła w pościg. Nagły skręt na górskiej drodze wywołał nasze zaniepokojenie. Fleur

krzyknęła ze strachu: — Lorraine, proszę cię. Nie tak szybko! W każdym razie nie na tych drogach.

Lorraine westchnęła.

— Och, zdaje mi się, że masz rację. Chuck zawsze tak mnie podpuszcza. Pan Throckmorton twierdzi, że któregoś dnia skręcę przez to kark. Ale on zawsze wszystko widzi w ciemnych barwach. I za to też go lubię. — Zmniejszyła szybkość i dodała: — Jest w porządku, nie uważacie? To znaczy nie pan Throckmorton, rzecz jasna, tylko Chuck. Najlepszy mój narzeczony od lat!

Dorothy, która była przekonana, że każda uwaga o mężczyznach była adresowana do niej, poruszyła się nagle.

— Jest bardzo interesujący, moja droga. Tylko kim on właściwie jest? Skąd pochodzi?

— A kogo obchodzi, kim ludzie są i skąd pochodzą. Wystarczy, że wszyscy w Nevadzie uwielbiają go.

— To kiedy planujesz wyjść za niego, skarbie?

— Wyjść za niego? — Lorraine z wrażenia aż zakręciła kierownicą. — I to ty mi mówisz o małżeństwie?! — Wzięła już spokojniej kolejny zakręt i nagle wydała okrzyk radości. — Złapał gumę!

Zielony kabriolet Chucka stał na skraju drogi, przechylony na bok. Chuck majstrował coś przy podnośniku, natomiast Mimi poruszała się nerwowo koło niego. Gdy dostrzegli nas, oboje zaczęli machać, byśmy się zatrzymali. Lecz Lorraine wychyliła tylko głowę przez okno i krzyknęła: — A figę!

Twarz jej rozjaśnił dziecięcy uśmiech zadowolenia ze zwycięstwa nad swoim ostatnio najlepszym narzeczonym. Nucila na tę okazję coś pod nosem, kiedy zapuszczaliśmy się w dolinę Washoe i dalej, kiedy w ciemnościach błysnęły już pierwsze światła Reno; poruszające się we wszystkie strony jak diadem u pijanej księżniczki.

W niewielkim Reno porządek jak na ten świat panuje dość niezwykle. Jest to bowiem najmniejszy chyba i najweselszy zakątek na kuli ziemskiej. W przeciwieństwie do każdego innego miasta, w Reno nie ma podziału na ludzi cieszących się szacunkiem i mających złą opinię. Panie domu w okularach w stalowej oprawie, czarujące rozwódki ze wschodu, żołnierze, kowboje, sędziowie, Indianie i włóczędzy ocierają się o siebie na jaskrawo oświetlonych ulicach. Ludzie ci jedzą w tych samych lokalach, piją w tych samych barach i przegrywają srebrne dolary przy tych samych stołach.

Człowiek może się wzbogacić w Reno i może stracić. Może być żebrakiem i wygrać fortunę. I odwrotnie. Nikt nie trwa tu na szczycie lub na dnie tak długo, by stać się nieczułym na wszystko wokół.

Lorraine skręciła w Virginia Street, u wylotu której znajdowała się jasno oświetlona tablica witająca w „Reno, największym małym mieście świata”. Objechaliśmy Klub Pałacowy i dotarliśmy do miejsca, gdzie rzucał się w oczy ogromny neonowy napis: „U Chucka”.

Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy z auta. Niedawno otwarty klub gier hazardowych Chucka prowadzony był na wzór podobnych mu Klubu Harolda czy Bankowego. Lokal miał nawet kilka własnych bezpieczeństwa, niemożliwie rozpuszczonych psów, które leżały przy wejściu, w charakterze szczęśliwych maskotek, i wyłudzały od przesądnych graczy różne smakołyki. Lawirując między nimi, dotarliśmy prosto w oślepiające światła, chmury dymu i niesamowity hałas.

W ten sobotni wieczór gry toczyły się pełną parą. Pod niskim lustrzanym sufitem dziewczęta z kokardami na wymyślnych fryzurach rozdawały karty paniom z wytwornego towarzystwa i Indianom przez zielone sukno stołów do black jacka. W rogu skrzypiało koło czyjejs fortuny. Wrzaski dochodziły z miejsca, gdzie przy grze w kości pochylały się głowy wojskowych i cywilów. Szykowne damy w sukniach wieczorowych z dekolcami i bez pleców, biedacy w zniszczonych ubraniach, wojskowi w mundurach, elegancy panowie — wszyscy przepychali się wzajemnie, a każdy podekscytowany był pragnieniem wygrania według opracowanej przez siebie metody, która w zasadzie z góry skazana była na niepowodzenie.

Chuck zbijał tu niezły majątek, jak stwierdziłem.

Lorraine, jako jedna z najbogatszych kobiet świata, była i tutaj znaną osobistością. Jej wkroczenie na salę wspólnie z Iris zrobiło sensacyjne wrażenie nawet w tłumie tych zawzięcie ze sobą walczących graczy. Gdy przechodziliśmy obok labiryntu stołów, niemal każdy podnosił wzrok i szeptał coś do sąsiada. Lorraine, przyzwyczajona do tego, zdawała się obojętna na tę popularność. Iris również starała się zachowywać podobnie. Tylko Dorothy odróżniała się od nich. Zareagowała natychmiast na tę skąpioną uwagę. Kiedy tak kołysała biodrami, kusząc tym wpatrzonych w nią poządlawie mężczyzn, bałem się wręcz, że przy kolejnym kroku coś sobie zwichnie.

— Zastanawia mnie, gdzie są pozostałe osoby — odezwała się Lorraine.

Jakby na zawołanie na sali zjawili się wtedy kolejno: Kochanek French, państwo Laguno i Bill Flanders, utykający na swej kuli. Lorraine od razu przywołała ich ręką. Posępne twarze wyraźnie pokazywały, że czuli się podobnie jak my podczas jazdy.

Kochanek, zachowujący się sztywno, jakby atmosfera na sali nie była odpowiednia dla jego cnotliwej narzeczonej, objaśnił: — Chuck i Mimi złapali gumę. Minęliśmy ich po drodze. Zaraz tu dotrą.

— Cudownie. — Lorraine z czarującym uśmiechem powiodła wzrokiem po zafrasowanych twarzach zebranych wokół niej osób, jakby zaznaczając tym, że wszelkie topory wojenne tu należy zakopać. — Zabawmy się, moi kochani. Po tych wszystkich nieprzyjemnościach należy nam się to. Na początek napijmy się czegoś.

Zaprowadziła nas do gwarneho, zalanego piwem baru i zamówiła dla każdego po drinku, pozostawiając resztę z banknotu dwudziestodolarowego jako napiwek dla szczerzącego zęby w uśmiechu barmana. Swoją cołą połąkła w pośpiechu.

— No to każdy robi, co chce — powiedziała. — To będzie najzabawniejsze. Ja wybieram ruletkę. — Wsunęła rękę pod ramię swojego przyrodniego brata. — Chodź ze mną, Kochanku. Wiem, że masz przestarzałe poglądy i uważasz gry hazardowe za grzeszne. Ale możesz przynieść mi szczęście. Mam takie przeczucie. A w tobie, Dorothy — przyciągnęła panią Flanders drugą ręką — jest coś monumentalnego. Chyba też przyniesiesz mi szczęście. Jedenaście, kochani, to moja liczba. I na pewno dzisiaj wygra!

Iris, trzymając kureczowo swoją świnkę, obdarzyła mnie niewinnym uśmiechem i przemknęła do półdolarowego automatu, znajdującego się po drugiej stronie lokalu. Wydawało się, że pozostała część towarzystwa nie była zbyt skłonna „zabawiać się”, jak chciała Lorraine. Świadomie ignorując siebie, jedno po drugim ruszyli za naszą gospodynią, bez widocznego zainteresowania.

Przy stole z ruletką było bardzo tłoczno, ale gracze rozstąpili się niczym Morze Czerwone, robiąc miejsce dla Lorraine Pleygel. Ta zaś wyjęła banknot studolarowy z torebki i rzuciła go czarującej krupierce, pozdrawiając ją jak starą znajomą. Bill Flanders wśliznął się chyłkiem między Dorothy i Kochanka znajdujących się już przy stole. Państwo Wyckoff, nie patrząc na siebie, razem wcisnęli się jakoś za nim. Hrabia Laguno kręcił się niezdecydowany za plecami Dorothy. Tłoczno było niemal ze wszystkich stron.

Koło ruszyło. Zielony stół z czarnymi i czerwonymi numerami pełen był różnokolorowych żetonów. Kiedy Lorraine otrzymała swój stosik brązowych pięciodolarowych żetonów, przesunęła kilka z nich w stronę Dorothy, mówiąc: — Życzę szczęścia, skarbie. Daj dwa Kochankowi. Może to go zachęci.

Dorothy zagarnęła żetony chciwie. Kochanek obserwował ją z wyraźną dezaprobatą.

— Numer jedenasty, aniołki — oświadczyła Lorraine.

Ręka jej uniosła się już nad stosem żetonów, kiedy nagle ktoś krzyknął: — Lorraine!

Odwróciła się od stołu i dostrzegła Chucka Dawsona z Mimi Burnett, śpieszących w naszym kierunku. Prowadzili ze sobą jakiegoś nieznanego nam mężczyznę. Chuck Dawson, nie reagując na przyjacielskie pozdrowienia i poklepywanie po plecach, jak również na płomiennie spojrzenia rozwódki, przepchnął się w końcu, by stanąć przed Lorraine z grymasem rozbawienia na twarzy.

— Aleś ty niedobra — rzekł do niej. — Pozostawiłaś nas przy drodze, żebyśmy tam zgnili! — Chwycił ją mocno za ramię. — No dobrze. Chodź, dziecinko. Tam czeka twój wielbiciel, chce cię poznać. — Drugą ręką złapał jeszcze za kołnierz zaskoczonego Kochanka. — A ty, stary łobuzie, powinieneś się wstydić. Przecież twoja przyjaciółka powtarza ci do znudzenia: „Hazard to zaraza”.

Odciągnął rodzeństwo od stołu. Kochanek z trudem hamował gniew. Lorraine próbowała się opierać.

— Ależ, Chuck, kochanie — zaprotestowała — widzisz, że gram. — Nie zrobiła jednak żadnego wysiłku, by uwolnić się z uścisku jego ręki. Lubiała chyba, gdy odnosił się do niej trochę brutalnie. — Zagraj za mnie! — zawołała do Dorothy.

Porwani jak para szceniąt w silnych uchwytach rąk Chucka, Lorraine i Kochanek znaleźli się wkrótce przy Mimi i nieznanym. Mimi, przymilając się do Kochanka, jak mała dziewczynka zaczęła bawić się kłapami jego marynarki. Nieznajomy, wyglądający na Hiszpana, skłonił się nisko przed Lorraine, jakby była księżniczką krwi.

Odwrociłem się, żeby poszukać Iris. Moja żona usiłowała nie dostrzegać małej grupki kibiców zgrupowanych wokół niej i nadal wrzucała pięćdziesięciocentówki do bezdusznego automatu. Ruszyłem w jej stronę. Nagle cały automat jak gdyby eksplodował. Z jego wnętrza wysypały się z głośnym dźwiękiem monety.

Zapominając o godności gwiazdy filmowej, Iris wydała okrzyk dzikiej radości i padła na kolana, zagarniając to srebro do siebie.

— Pula! — powtarzała jak opętana. — Trafiłam pulę!

Wokół zaczęły się gromadzić kibice.

— Iris Duluth trafiła pulę! — Ich okrzyki wzmagaly sensację.

Wszyscy przy ruletce odwrócili się. Zbliżyli się nawet Lorraine, Chuck, Kochanek, Mimi i ich nowy znajomy. Powstał kompletny chaos, ludzie pełzali koło nóg innych i podnosili półdolarówki. Iris, której ambicja życiowa została zaspokojona, całowała mnie gwałtownie. Nagle przypomniała sobie o żelaznej zasadzie.

— Świnka! — krzyknęła. — Gdzie jest moja świnka?

Jak się okazało, pozostawiła ją na podłodze. Po chwili Chuck podał jej cudowną świnkę. Promieniejąc, zebrała swój niespodziewany skarb, monetę po monecie wrzucała do pękatej świnki. Tymczasem tłum prawiąc jej komplementy, usiłował zdobyć autografy.

Gdy w końcu gwar przycichł, Lorraine żądna nowych wrażeń, pchnęła do przodu południowoamerykańskiego przybysza.

— Słuchajcie, kochani, oto pan Alvarez. Jest mistrzem rumbi na scenie „Del Monte” i widział, jak tańczyłam tam właśnie rumbę z Chuckiem w ubiegłym tygodniu. Twierdzi, że robiłam to cudownie i dlatego chce ze mną zatańczyć. Czy to nie szalona propozycja? Ta hazardowa gra jest przy tym na pewno nudna. Wiecie, co teraz zrobimy? Ruszamy szturmem na tańce do „Del Monte”. A gdzie Dorothy? — Obróciła się, by stwierdzić, że Dorothy jest przy niej. — Skończyłaś już grać, moja droga?

— Skończyłam totalnie — wycedziła Dorothy, wyrównując swe białe rękawiczki na rękach i chowając srebrną torebkę pod pachę.

— Przegrałam wszystko, przykro mi. Jedenastka nie wypaliła.

— Pal to lichy. — Lorraine, zmienna jak wiatr, była już zniechęcona ruletką i myślała o nowej rozrywce. Naiwność wzięła górę — zawodowy tancerz tańczący z nią rumbę przesłonił wszystko. Cała Lorraine. Nie wpadło jej nawet do głowy, że byli tacy, co matkę by zabili, gdyby to dało im jakąś szansę u Lorraine Pleygel.

Z tancerzem i Chuckiem trzymanymi pod ręce ruszyła w kierunku drzwi. Całe towarzystwo, w nastroju posępnej rezygnacji, podążyło znowu za nią. Po kilku minutach „boska” ruletka należała już do przeszłości, a my wszyscy siedzieliśmy bez wyraźnego entuzjazmu wokół najlepszego stolika w najlepszym miejscu sali tanecznej w „Del Monte”, a starsi i młodszy

kelnerzy, nie zapominając o kierowniku sali, uwijali się niemal bez przerwy wokół nas i upewniali pannę Pleygel i Iris Duluth, że jak najlepiej pragną je obsłużyć.

„Del Monte” było w Reno jednym z lokali, który uchodził za elegancki i miał swoją markę. Wyróżniało się dyskretnym oświetleniem, dużymi lustrami i doskonałą orkiestrą. Naśladując w ten sposób Nowy Jork, pilnowało wypchanych torebek nostalgicznym rozwódek ze wschodu. Choć nawet i tu trafiało urozmaicone towarzystwo, tak charakterystyczne dla Reno. Wśród wieczorowych sukien i smokingów różowa, atlasowa koszula kowbojska lub drelichy farmera uchodziły za pewnego rodzaju ekstrawagancję.

Lorraine, znudzona ostatecznie swymi gośćmi, udała się na parkiet, gdzie w błogim nastroju zaczęła tańczyć z południowcem, poruszając rytmicznie biodrami. Mnie ślepy los posadził w rogu stołu obok Dorothy, oddzielając od Iris, która nadal kurczowo ścisnęła swoją świnkę i prowadziła ożywioną rozmowę z Kochankiem. Zanim zdążyłem wymyślić coś, aby pochyliwszy się nad biustem Dorothy prosić żonę do tańca, hrabia Laguno znalazł się przy niej i ukłoniwszy się głęboko, porwał mi Iris na parkiet.

Niemile zaskoczony zostałem sam z Dorothy.

Podano drinki, a wraz z nimi dużą kanapkę z kurczakiem dla pani Flanders. Jej oczy rozplywały się w rozkoszy na ten widok. Ściągnęła długie, białe rękawiczki, by schować je do dużej, srebrnej torebki. Machinalnie, gdy puścił zamek, rzuciłem okiem do wnętrza. Dorothy szybkim ruchem wcisnęła rękawiczki do środka, wyszarpnęła rękę, jakby coś ją nagle dźgnęło, i zatrzasnąwszy torebkę cisnęła ją na krzesło daleko od siebie.

Mimo że ruch był szybki, to jednak zdążyłem zauważyć brązowe żetony, wciśnięte pomiędzy puderniczkę i chusteczkę do nosa. Specjalistka od poważniejszych wykroczeń nie gardziła również i mniejszymi. Okłamała Lorraine, że przegrała wszystko w ruletkę. Ukryła garść pięciodolarowych żetonów swej gospodyni, zachowując je dla siebie na jakąś czarną godzinę.

Dorothy chyba jednak wyczuła, że wiem o wszystkim, bo atmosfera między nami stała się jakby bardziej napięta. Przez krótki czas panowała zenująca cisza, w czasie której pochłaniała kanapkę. Potem poprosiłem ją do tańca, gdyż wydawało mi się, że nic innego nie mógłbym w tej chwili wymyślić.

Z uśmiechem, który miał chyba rozbroić moją skolataną duszę, leniwie jak wąż wstała od stołu. Przeciskając jakoś swoje zmysłowe biodra w ciasnej przestrzeni między stołem a ścianą ruszyła za mną na parkiet. Orkiestra grała właśnie jakąś szaloną południowoamerykańską melodię. Dorothy wyciągnęła obnażone ramiona i porwała mnie w wir tańca.

Znaleźliśmy się w tłumie par i nie odzywając się do siebie ani słowem, oddaliśmy się całkowicie rumbie. Lorraine ze swym południowoamerykańskim partnerem tańcząc zbliżali się do siebie, to znów oddalali na przemian. Twarz Lorraine promieniowała radością. Mimi i Chuck, fatalnie niedobrani, wykręcali swe ciała w jedną, to w drugą stronę tuż koło nas. W drugim końcu sali dostrzegłem Iris tańczącą z Laguno. Miętkość ruchów i niezwykle temperament Dorothy Flanders mogłyby odurzyć większość mężczyzn i roztoczyć wizje dzikich przygód przy tych rytmach. Mnie jednak w tej chwili frapowało tylko jedno południowoamerykańskie skojarzenie, zatruta strzała — brakowało jej w tamtej sali z trofeami, czy też nie?

Rzuciłem okiem na nasz stolik. Janet Laguno, w żółtej sukience, wbita w swoje krzesło, wyglądała jak oklapły suflet. Kochanek na przemian zerkał na skarbonkę Iris i z niepokojem obserwował salę, wypatrując Mimi. Państwo Wyckoff oraz Bill Flanders, o dziwnie rozpalonej twarzy, obserwowali tańczące pary.

Lorraine pomachała do nas w przelocie; jej twarz błyszczała wprost radością. Gdy później wracałem myślą do tego paskudnego wieczoru, wydało mi się wprost niewiarygodne, że nawet tak lekkomyślna Lorraine nie wpadła na to, że zapraszając tę skłóconą grupę ludzi może doprowadzić do jakiejś katastrofy. Czy była aż tak naiwna? Czy był to jeden z jej nieprześlanych gestów uprzejmości? A może odgrywał tu rolę jakiś dobrze zamaskowany i złowieszczy cel? Choć Lorraine nie kierowały przecież nigdy żadne złe intencje.

Tam i z powrotem, prowadziłem w tańcu Dorothy, nagle jakoś dziwnie ociążała. Dźwięki muzyki i rytmiczne ruchy jej ciała działały na mnie otepiająco. Myśl o zatrutej strzale przypomniała mi słowa Iris: *Kochanie, czy myślisz, że on naprawdę zamordowałby Dorothy?* A potem dołączył głos Laguno: *Kurara ma też pewną szlachetność w sobie. Mogłaby służyć do... uśmiercania potencjalnych morderczyń.* Potencjalnych morderczyń! Jeśli chcesz szukać takowych morderczyń — rozważałem w myśli — to jedną właśnie trzymałem w ramionach.

Zakłopotany, jakbym wypowiedział tę myśl na głos, rzuciłem szybko do Dorothy: — Niezła ta muzyka, prawda?

Orkiestra wciąż grała rumbę. Ręka Dorothy zacisnęła się na moim ramieniu. Bez żadnych słów.

— Dorothy... — zacząłem znowu i urwałem, bo uścisk jej palców na moim ramieniu stał się tak silny, że poczułem ostry ból.

Chociaż trzymałem ją w ramionach, byłem na tyle zamyślony, że dotychczas nie spojrzałem na nią. Teraz obróciłem głowę niemal dotykając jej twarzy. Oczy Dorothy, jak u lalki, patrzyły bezmyślnie prosto przed siebie. Poniżej wspaniałych blond włosów skóra jej wyglądała jakoś dziwnie niebiesko w blasku przyćmionego światła.

Poczułem, że włosy mi się jeżą. Moje stopy wykonały jeszcze parę kroków w takt rumbi, ale umysł już był pochłonięty czym innym.

— Dorothy...

Niewiele brakowało, bym dotknął jej warg moimi ustami. A te wargi wyglądały teraz okropnie. Zaczęły się wykrzywiać, odsłaniając zęby, jak odpływ morza odsłania biały piasek. To nie był uśmiech. Miało się wrazenie, jakby każda kropla wilgoci uchodziła z jej skóry.

— Dorothy!... — powtórzyłem tak głośno, że pobliskie pary tańczących spojrzały w naszą stronę.

Ktoś z zespołu zaczął śpiewać po hiszpańsku cienkim, drżącym głosem. Marakasy grzechotały w takt rytmu, jak dobrze wyszkolone węże. Dorothy stawała się bezwładna. Opadła na mnie. Poczułem, że cała drży. Nagle ciało jej zaczęło się wyginać na wszystkie strony w straszliwej konwulsji. Jej twarz uderzyła o moje ramię i odchyliła się szybko do tyłu. Spomiędzy zaciśniętych zębów wypłynęła piana.

— Dorothy...

Plecy jej wygięły się w łuk. Po chwili ciało odchyliło się bezwładnie, coraz bliższe podłogi, podtrzymywane przeze mnie z coraz większą trudnością.

Mężczyzna wciąż śpiewał. Pary w dalszym ciągu tańczyły. Utkwiłem przerażone spojrzenie w nieruchomej postaci kobiety, która dopiero co była moją partnerką w tańcu.

Zimne krople potu wystąpiły na moje czoło.

Tu nie było już wątpliwości — najmniejszej wątpliwości.

Stałem na środku parkietu, trzymając w ramionach martwą Dorothy Flanders.

CZEŚĆ DRUGA

JANET

4.

Spróbowałem ją dźwignąć. Nie mogłem. Stałem więc tak, trzymając w rękach bezwładne ciało Dorothy Flanders.

Wydawało mi się, że rytm rumbi przewierca mój mózg. Tańczący najbliżej zaczęli się zatrzymywać. Podniósł się szum, złowieszczy jak ogień na prerii.

Kobiety i mężczyźni przeciskali się nawzajem, zerkając na Dorothy. Twarze ich niby karykaturalne maski, wyrażały zdumienie, ciekawość i przerażenie. Nie usiłowali nawet mi pomóc. To wszystko było zbyt zaskakujące. Nie mogli pogodzić się z faktem, że w tym wytwornym nocnym lokalu służącym zabawie, ktoś mógł odejść w tak niewytworny i mało zabawny sposób. Ja sam też tak czułem. Podczas dwóch lat wojny na Pacyfiku widziałem śmierć w najbardziej makabrycznych odmianach. Lecz ta była najgorsza. Umieranie na wojnie to normalne zjawisko. Śmierć tutaj nie pasowała do otoczenia.

Chuck i Mimi Burnett precyzyjnie przeszli przez pierścień tańczących, trzymając się za ręce, jakby nadal zafascynowani sobą i rumbą. Mimi dostrzegła Dorothy. A potem szybko przeniosła spojrzenie z martwej kobiety na Chucka. Zauważyłem, że jej pozornie dziewczęca uroda znika, odsłaniając jakby nową twarz, mocno pomarszczoną. Krzyknęła coś ostrym, przeraźliwym głosem.

— Chuck, proszę mi pomóc — odezwał się.

Narzęcony Lorraine stał wpatrzony w Dorothy. Na jego przystojnej twarzy trudno było dostrzec jakieś przerażenie czy odrazę. Odnosiło się wrażenie, że myślał o jakiejś innej, skomplikowanej sprawie.

— Oczywiście, poruczniku — odparł po namyśle. — Pan niech ją weźmie pod ramiona.

Ruszyliśmy, niosąc ciało. Ludzie na sali ustępowali przed nami, jak suche, rozproszone przez wiatr liście. Zauważyłem przelotne spojrzenie Iris; ręka jej jakby zastygła na ramieniu hrabiego Laguno. Poruszony do głębi kierownik lokalu, w czarnym garniturze, wskazał nam drzwi w ścianie obite czerwoną skórą. Skierowaliśmy się w ich stronę. Orkiestra wciąż grała, ale dźwięki jej brzmiały przeraźliwie smutno, jak na tonącym okręcie.

Kierownik otworzył nam drzwi. Wnieśliśmy Dorothy do biura i ułożyliśmy ciało na kanapie. Kierownik zamknął drzwi.

W moim umyśle panował nieopisany chaos. Dopiero co Lorraine chciała pogodzić trzech mężów z żonami, a kilka godzin później jedna z nich już nie żyje.

To dawało do myślenia — całkiem sporo.

— Ona nie żyje — wyjaśniłem Chuckowi. — Nie sądzę, bym się tu mylił. Niech pan jednak wezwie jakiegoś lekarza. Może być Wyckoff.

— Jasne. — Chuck ruszył w kierunku drzwi.

— I dobrze byłoby ściągnąć męża Dorothy — zawołałem za nim.

Chuck wyszedł. Kierownik „Del Monte” zbliżył się na palcach do kanapy. Spojrzał na Dorothy.

W wieczorowej sukni z głębokim dekoltem jej ciało robiło przykre wrażenie. Odślonięte mocno piersi były niebiesko-białe. Rozrzucone włosy częściowo ratowały sytuację — skrywając wykrzywioną w śmiertelnym bólu twarz Dorothy.

— To straszne, okropne — lamentował kierownik. — Ona nie żyje. Jak to się stało?

— Nie wiem — powiedziałem, co w zupełności odpowiadało prawdzie.

— I to tu, w „Del Monte”. — Myśli jego obracały się już wokół własnej kasy. — Co za okropne wydarzenie. Mam jednak nadzieję, że nie stało się to z winy personelu, obsługującego wasz stół. Mam taką nadzieję...

— Nie sądzę, by w pańskim lokalu podawano gościom drinki z trującymi dodatkami... — Sam się zdziwiłem, dlaczego to powiedziałem. Skąd przypuszczenie, że śmierć Dorothy nie była naturalna. Mimo wszystko ludzie przecież... umierają.

Chuck powrócił z Davidem Wyckoffem. Tuż za nim, opierając się na kulach, pojawił się Bill Flanders.

Choć zetknąłem się z doktorem Wyckoffem nie jeden raz tego wieczoru,

to jego postać nie utkwiała mi specjalnie w pamięci. Musiał mieć około czterdziestu lat. Pomimo że był nieco przygarbiony, wyglądał młodo. Ciemne włosy i sympatyczna, gładka twarz na pozór harmonizowały ze śliczną twarzyczką zrażonej do niego żony. Starał się być oficjalny przy wykonywaniu swego zawodu, lecz zdradzały go oczy. Dziwny lęk, który czaił się w nich od chwili przybycia do domu Lorraine, ciągle tkwił w tych oczach — a teraz był jeszcze wyraźniej dostrzegalny.

Bez słowa przeszedł koło mnie i pochylił się nad kanapą. Kierownik w tym czasie znalazł się przy Chucku i patrzył na niego z niepokojem. Ta uniżona postawa wyraźnie podkreślała, jaką ważną osobistością musiał być w tym lokalu Chuck Dawson. Podenerwowany kierownik dzielił z nim obawy o reputację „Del Monte”, licząc na to, że Chuck nie dopuści do skandalu. Mnie pozostało skupić całą uwagę na Billu Flandersie.

Eksmarynarz stał obok, oparty sztywno o kulę. Utkwił wzrok w zwłokach żony, częściowo widocznych zza pleców doktora Wyckoffa. Twarz jego była skupiona, napięta. Na dłoni, która ścisnęła kulę, niemal widać było kościste i blade stawy palców. Nie czuło się w tym jednak żalu. Tego byłem prawie pewny.

Przypominał człowieka, który wiedział o zapalonym loncie, niemożliwym już do zgaszenia, i czekał na wybuch.

Żałowałem teraz, że poprosiłem Chucka, aby go tu przyprowadził. W takim momencie zwykle wzywa się męża. Lecz Bill Flanders nie był już zwyczajnym mężem — i to nawet nie dlatego, że był o krok od rozwodu.

Zwyczajni mężowie nie postępują tak, jak on postąpił ostatniego wieczoru, kiedy to jawnie groził śmiercią żonie.

Nagle odwrócił się w moją stronę i spytał sucho:

— Czy ona nie żyje?

— Zobaczymy, co powie doktor Wyckoff— odparłem. — Sądzę jednak, że nie żyje.

Wówczas roześmiał się. Był to dziwnie nieprzyjemny śmiech, tak rażąco, że kierownik obrzucił go szybkim, oburzonym spojrzeniem.

Nie wiedziałem, co z nim zrobić. Obawiałem się, że znów mógłby załamać się psychicznie, jak wówczas przy kolacji. I Bóg wie, co mógłby powiedzieć tym razem. Z pewnością nie chciałbym tego usłyszeć.

— Byłoby lepiej... — zacząłem.

Wtedy drzwi się otworzyły i wkroczyła Lorraine Pleygel.

Na pewno nie było to miejsce ani chwila odpowiednie dla kobiety, lecz nikt z nas nie ośmielił się jej wyprosić. Tak było zawsze z Lorraine. Nie wiadomo czy z uwagi na fantastyczne bogactwo, czy może za sprawą jej energicznego usposobienia.

Lorraine Pleygel zawsze zjawiała się tam, gdzie chciała.

Ruszyła prosto ku swemu narzeczonemu, niemal podbiegła na swych absurdalnie wysokich obcasach.

— Chuck, kochanie. Ona nie mogła umrzeć. To niemożliwe.

Dostrzegła Wyckoffa przy kanapie i chciała podejść do niego.

Chuck chwycił ją za ramię.

— Nie, Lorraine.

— Ale, kochanie...

— Naprawdę nie.

Nie starała się uwolnić ręki z uścisku Chucka, jej wzrok spoczął na mnie.

— Peter, skarbie, ona tańczyła z tobą. Widziałam ją. Ludzie nie umierają tak w tańcu...

Dzięki pieniądзом całe jej dotychczasowe życie pozbawione było przykrości. Było dla niej nie do pomyślenia, by coś tak nieprzyjemnego mogło się wydarzyć i to w dodatku tak blisko niej. Znalazła papierosa w swojej szarej torebce i zapaliła go ostentacyjnie, jakby tym chciała znowu przywrócić cieplejszy nastrój wieczoru.

— To nonsens! — zawołała. — Wszystko to takie bezsensowne. — Po chwili dodała: — Gdybyż tu był pan Throckmorton...

W krytycznych chwilach zawsze pojawiał się ten pan Throckmorton. Ciągle miałem niejasne wyobrażenie o jego roli w życiu Lorraine. Przypuszczalnie był on w jakimś sensie jej opiekunem.

Lorraine zamilkła. Nawet kierownik przestał mamrotać. Zapanowała cisza pełna napięcia, które emanowało od Billa Flandersa. Obserwowałem plecy doktora Wyckoffa, jakby tylko on jeden istniał na tym świecie. A i reszta osób poszła w moje ślady.

Za chwilę Wyckoff coś powie, poinformuje nas, na co zmarła Dorothy. Moje własne podejrzenie, oparte na kilku drobnych faktach, które miały miejsce w ten wieczór, spowodowało, że to wyczekiwanie było jeszcze bardziej stresujące. Staliśmy jak zahipnotyzowane ptaki, obserwujące węża, aż

wreszcie David Wyckoff odwrócił się od kanapy. Twarz jego była posepna, lecz w typowo zawodowy sposób panował nad sobą.

Lorraine wyjęła papierosa z ust. — I co...?

Wyckoff popatrzył na swe delikatne ręce lekarza.

— Pani Flanders była moją stałą pacjentką w San Francisco. — Mówił tak cichym głosem, że trudno było go dosłyszeć. — Czas jakiś leczyłem ją na serce. To było poważne. Wielokrotnie ostrzegałem ją, aby powstrzymała emocje i unikała nadmiernego wysiłku fizycznego... jak na przykład tańca.

Po tych słowach zamilkł. Znow zapanowała śmiertelna cisza. Nie bardzo mogłem uwierzyć w to, co powiedział. Dorothy Flanders, najzdrowiej wyglądająca kobieta, jaką spotkałem w życiu, leczyła się na poważną chorobę serca!

Doktor Wyckoff zwilżył wargi językiem.

— Mówiłem jej, że jeżeli nie wypocznie dłużej, może to spowodować bardzo groźne następstwa. — Obrócił się i spojrzał prosto w oczy Billowi Flandersowi. — Jej mąż to potwierdzi. Powtórzyłem mu to kilka tygodni temu. Prawda, panie Flanders?

Gdy spojrzałem na Billa Flandersa, wydawało mi się przez chwilę, że na jego twarzy odmalowało się wyraźne zdumienie, lecz wyraz ten zniknął — jeżeli rzeczywiście był przedtem — tak szybko, że uznałem, iż to sprawa tylko mojej wyobraźni.

Flanders wzruszył ramionami, nim odparł: — No jasne, tak było, doktorze. Tak mi pan mówił.

Zdawałoby się, że napięcie powinno teraz wyraźnie opaść. Lecz tak się nie stało. Odnosiło się wrażenie, że u każdego z nas nawet wzrosło, może z wyjątkiem kierownika, który nie mógł powstrzymać ulgi i zadowolenia.

— A więc uważa pan, doktorze — powiedział — że ta pani zmarła na atak serca?

— Znając jej przeszłość — odparł doktor Wyckoff — sądzę, że pewne... hmm... emocje dzisiejszego dnia, powiązane z nadmiernym wysiłkiem przy tańcu doprowadziły do ataku serca i spowodowały śmierć.

Palce kierownika poruszały nerwowo czarny krawat. Po chwili wahania odezwał się znowu: — A więc nie trzeba będzie nadawać tej sprawie rozgłosu, wzywać policji...?

— Jestem Kalifornijczykiem — zaznaczył Wyckoff. — I nie znam

właściwej procedury postępowania w tym stanie, ale jestem przygotowany na...

Nagle wtrącił się Chuck Dawson, stwarzający pozory nader ważnego, nieustępliwego i czujnego człowieka.

— Pan był jej stałym lekarzem, Wyckoff. Pan ją leczył. Jeżeli dotąd wszystko dobrze rozumiałem, może pan bez wahania podpisać świadectwo zgonu, co zamykałoby sprawę. Jest pan gotów podpisać takie świadectwo?

— Tak, oczywiście.

Chuck obrzucił wzrokiem zwłoki leżące na kanapie.

— Możemy jeszcze się upewnić — dodał. — Mam paru przyjaciół w wydziale policji.

Podszedł do telefonu na biurku kierownika i wykrecił numer. Po zgłoszeniu się policjanta, podał mu, co się wydarzyło. I wszystko to w jego ustach zabrzmiało zupełnie niewinnie. Pewna osoba z towarzystwa panny Lorraine Pleygel właśnie zmarła w „Del Monte”. Lekarz, który leczył ją na serce, był akurat obecny i dokonał oględzin zwłok. Jest gotów podpisać świadectwo zgonu na atak serca. Chuck podkreślał przy tym nazwisko Pleygel, co musiało wywierać odpowiednie wrażenie na urzędniku policji. Dla pełnego obrazu dorzucił jeszcze dane Iris, a na koniec zaznaczył, że kierownik „Del Monte” gorąco pragnie uniknąć niepotrzebnego rozgłosu. Słuchał potem jakiś czas i odłożył słuchawkę.

— Po problemie — orzekł. — Wyckoff może podpisać świadectwo. Nie przyślą lekarza policyjnego. Rozumieją sytuację panny Pleygel, Iris Duluth i „Del Monte” i dlatego obiecują nie dopuścić reporterów do tej sprawy. Nie będzie żadnego śledztwa, nic w ogóle. Nikt nie zatruje powietrza w „Del Monte”.

W ten sposób sprawa śmierci Dorothy Flanders była zakończona. W niecałe piętnaście minut zmarła już bez przeszkód mogła zostać złożona do trumny.

Najbardziej cieszył się z tego kierownik lokalu.

Chuck odwrócił się do Lorraine.

— Posłuchaj, dziecinko. Nie ma tu już nic do roboty. Zabierz Flandersa i pozostałych gości do domu. Wyckoff i ja zajmiemy się wszystkim, łącznie z zakładem pogrzebowym. Gdy skończymy, zabiorę Wyckoffa moim samochodem i wrócimy do domu. Dobrze?

— Tak, kochanie. Zrób tak. — Twarz Lorraine nie mogąca skryć jej

naiwności, mimo pozorów, przybrała wyraz jak u małej dziewczynki zapatrzonej w lalkę, którą właśnie ktoś jej zgniótł. — Biedna Dorothy. Jak ona okropnie wygląda. Czy ktoś by pomyślał, że Dorothy umrze kiedyś na serce?

Lorraine, Bill Flanders, kierownik i ja opuszczaliśmy w pośpiechu biuro. Kierownik wyszedł pierwszy, aby jak się zdaje uspokoić gości. Lorraine wzięła mnie pod ramię. Jej słowa nadal brzmiały mi w uszach. *Czy ktoś by pomyślał, że Dorothy umrze kiedyś na serce?*

Rzeczywiście, kto by to pomyślał? Może Lorraine uwierzyła w ten atak serca. Ona wierzyła w to, co sama sobie poustawiała w głowie. Kierownik lokalu pewnie też uwierzył, bo to było najwygodniejsze dla niego.

Ale Wyckoff? Albo Flanders? Czy Chuck Dawson?

Wreszcie ja sam?

5.

Iris zamknęła na klucz wypełnioną półdolarówkami świnękę-skarbonkę w szufladzie toaletki. Zdjęła czarną, wieczorową suknię i usiadła z wdziękiem przed lustrem, aby uczesać ciemne włosy. Zmartwienie wraz z okropnym wieczorem mieliśmy już za sobą i znów byliśmy tylko we dwoje.

Wiedziałem właśnie mundur w szafie, gdy usłyszałem głos Iris:

— A więc Dorothy zmarła na atak serca?

— Tak mówią. — Zacząłem rozpinać koszulę. — Nie należy nigdy tańczyć rumbi z kimś, komu grozi śmierć na atak serca. Naprawdę.

Iris czesała wolno włosy. Wziąłem piżamę, elegancką, z niebieskiego jedwabiu, kupioną głównie dla wywarcia wrażenia na służbie Lorraine. Udałem się do łazienki i zacząłem szorować zęby.

Znów dał się słyszeć głos mojej żony, stłumiony nieco przez szum bieżącej wody.

— Rozsądnie z nią postąpili, nieprawdaż?

Zorientowałem się, że wypuściła balon próbny. Mając pastę do zębów w ustach, mruknąłem wymijająco: — Z pewnością.

Iris zjawiała się nagle w drzwiach łazienki, wysmukła, piękna, i zaczęła przyglądać się, jak myłem zęby.

— Kochanie, chciałbyś na pewno, żeby twój urlop był przyjemny, prawda? Żeby był przyjemny i spokojny?

— Oczywiście.

— I chciałbyś być tylko ze mną?

Wyglądała tak ponętnie, że w odpowiedzi chciałem ją pocałować, ale przeszkadzała mi w tym pasta do zębów w ustach.

— Przebywanie sam na sam z tobą jest jedyną rzeczą, która mi najbardziej odpowiada — odparłem z przekonaniem.

Zmarszczyła czoło.

— W takim razie opuszczamy to miejsce już jutro. Jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy mieszkać w namiocie na pustyni. A... — zawahała się — a Dorothy Flanders zmarła na atak serca.

Wróciła do sypialni, pozostawiając mnie z własnymi myślami i ustami pełnymi pasty do zębów. Myśli były o wiele bardziej kłopotliwe niż mycie zębów. Szukałem jakiegoś powodu, dla którego mógłbym wydostać się z obecnej, niezbyt przyjemnej, sytuacji chociaż na krótko, abym mógł spokojnie spędzić czas jedynie z żoną. Traf chciał, że już przedtem, za starych dobrych czasów, nim wstąpiłem do Marynarki Wojennej, a Iris stała się gwiazdą filmową, zostaliśmy wmieszani w kilka zbrodni. Zawsze potem orzekaliśmy, że to było okropne. A kiedy pojawiała się nowa taka okazja, musieliśmy być przy tym. I działo się wtedy coś wręcz zabawnego i niesamowitego zarazem — przesywał nas jakby dreszczyk emocji. I teraz znowu go poczułem.

Mocowałem się jakiś czas z pizamą, jedynym moim cywilnym ubraniem. Nie wiedząc, co za burzę tym spowoduję, zawołałem przez drzwi:

— Kochanie, czy pamiętasz tego starego pijaka z brodą we Frisco, który ostrzegł nas, że Eulalia Crawford zostanie zamordowana?

— Tak — odparła bez chwili wahania moja żona.

— A Fogarty'ego w kaftanie bezpieczeństwa u doktora Lenza?

Iris już stała w drzwiach łazienki. Jak na gwiazdę filmową przystało, założyła czarny negliz, którym zaszokowałyby pewnie co poważniejszych członków służby Lorraine. Jej oczy jaśniały znanym mi od dawna blaskiem.

— Rozumiem, że chcesz tu zostać, Peter. Dobrze. Spróbujemy odkryć, co tu się stało naprawdę.

Obserwowałem ją jakiś czas, po czym odezwałem się:

— Pamiętaj, dziecinko. Jesteś Iris Duluth! Gwiazda filmowego biznesu. Jeżeli wyniknie z tego jakiś skandal, opiekunowie twojej fortuny...

— Nie bądź dla nich taki cyniczny, Peter. Sądziś, że naprawdę tak się tym przejmuję? Jeżeli nawet wybuchnie z tego jakiś skandal, a Will Hays uzna, że mnie to skompromitowało, w jednej chwili wytrząśnie sobie następną gwiazdę.

Podsumowawszy tym zdaniem sprawę kariery filmowej, Iris chwyciła mnie za rękę i pociągnęła na brzeg jednego z ekstrawaganckich łóżek Lorraine.

— Kochanie, biorąc pod uwagę groźby Billa, że zabije Dorothy, nie należy uznawać tak łatwo, że zmarła ona na atak serca. To zbyt wielki zbieg okoliczności. Ponadto przekonałeś się na własne oczy, że przed śmiercią była zdrowa jak koń. Opowiedz mi dokładnie, co wydarzyło się w biurze kierownika?

Opowiedziałem jej. A wtedy zauważyła: — Jeśli Dorothy została zamordowana, Wyckoff naraził się na zniszczenie swojej kariery, stawiając fałszywą diagnozę. Dlaczego?

— Hm, co do osoby Wyckoffa, to więcej jest chyba tych zagadek. Przede wszystkim, po co tutaj przybył? Na pewno nie po to, żeby pogodzić się z żoną. Przecież nie odezwał się ani słowem do Fleur, odkąd tu przyjechał.

— Ukrywając prawdę podjął okropne ryzyko, uzależnił wszystko od Billa Flandersa. Bill mógł przecież zaprzeczyć, że wie cokolwiek o chorobie serca Dorothy.

— Musiał zaryzykować. Nikt nie uwierzyłby jego wyjaśnieniom, gdyby nie poparł go mąż Dorothy. Pamiętajmy o kolacji. Wiedział, że byłoby po Billu, gdyby wyszło na jaw, że żona jego została zamordowana. Byłby od razu podejrzanym numer jeden. Chociaż ja, gdyby to zrobił, nie miałbym mu tego za złe.

— Ja także — przyznała Iris. Zawahała się, nim spytała: — A co z Chuckiem Dawsonem? Czy uważasz, że tamci dwaj potrafili wyprowadzić w pole Chucka?

— Prawdę powiedziawszy, to on sam od razu przyklasnął temu orzeczeniu o ataku serca. To dzięki jego wpływom policja nie przeprowadziła śledztwa. Chociaż nie widzę żadnego sensu w tym, by miał pomagać komuś w zatuszowaniu zbrodni. O ile mi wiadomo, znał Dorothy zaledwie tydzień, od kiedy tu się zdomowila.

— Przez tydzień Dorothy dałaby się poznać każdemu — zauważyła Iris, zakładając nogę na nogę i oplatając rękoma kolana. — Peter, jeśli to nie był atak, na co ona umarła?

— Sądzę, że została otruta. I chyba też wiem, co to za trucizna i skąd została wzięta. — Opowiedziałem jej o indiańskiej strzale z kurarą, której brakowało w gablotce w sali z trofeami. — Gdy to spostrzegłem, nie mówiłem ci nic. Nie chciałem cię niepokoić.

— Kurara! — rzuciła Iris z przejęciem. — Tego wieczoru hrabia Laguno opowiadał Dorothy o kurarze.

— Właśnie.

— Peter, co ty wiesz o kurarze?

— Tyle co z opowieści kryminalnych. Nie wystarczy jej zwyczajnie pokłnąć. Dorothy zjadła kanapkę z kurczakiem w „Del Monte”. Nie uważam jednak, by była ona zatruta. Kurara musi dostać się do krwi człowieka. Wystarczy ukłucie szpilką, żeby zabić.

— U Dorothy znalazłoby się sporo miejsc łatwych do ukłucia. Kurara działa szybko, nieprawdaż?

— Tak. Ale nie wiem, jak szybko. Wydaje mi się, że od trzech do dwudziestu minut.

— To wyklucza więc klub Chucka. W „Del Monte” byliśmy dłużej niż dwadzieścia minut. Choć to w niczym nie pomaga. Każdy mógł z łatwością ukłuć Dorothy, gdy tłoczyliśmy się przy stoliku. — Iris wyglądała na zakłopotaną. — Kochanie, tak czy owak nie wyobrażam sobie Billa Flandersa kłującego Dorothy zatrutą strzałą. Chciał ją zabić, to prawda. Ale taki facet jak on szybciej walnąłby ją w głowę albo...

— ...albo pogoniłby za nią z nożem — wtrąciłem. — Tylko że to wcale nie musi być Bill. Państwo Laguno i Wyckoff znali Flandersów w San Francisco. Lorraine również знаła Dorothy. A każdy, kto znał Dorothy, znalazłby powód do zamordowania jej.

Iris zerknęła na mnie z determinacją.

— A więc spróbujmy rozgryźć tę sprawę, kochanie. Odtwórzmy wszystkie fakty, które wydarzyły się ostatniego wieczoru.

Po godzinie odtwarzaliśmy jeszcze te fakty, leżąc w łózkach pomalowanych w zebkę. Iris przedstawiała je coraz mętniej, aż w pewnym momencie westchnęła i usnęła.

Ja nie mogłem jakoś zasnąć. Leżałem w łóżku rozmyślając i paląc papierosa w ciemnościach. Zebrane przez nas fakty potwierdzały tylko, prócz

kilku mglistych podejrzeń, że nie ma żadnego motywu zbrodni. Nie mieliśmy nawet pewności, że strzała została zabrana z sali z trofeami. Jedyne sekcja zwłok mogła wykazać, czy orzeczenie Wyckoffa było prawdziwe. A dziwnie by to wyglądało, gdybyśmy z Iris zażądali sekcji zwłok czyjejś żony.

Około drugiej w nocy powrócili Chuck Dawson i doktor Wyckoff. Usłyszałem ich kroki przed drzwiami naszego pokoju. Chuck rzucił cicho: „Dobranoc, Wyckoff. A po chwili doszedł moich uszu odgłos kroków oddalających się mężczyzn.

Ciało Dorothy zostało już prawdopodobnie przekazane do zakładu pogrzebowego w Reno.

Stopniowo ogarniał mnie niespokojny sen. Niespodziewanie ujrzałem przerażające niebiesko-białe zwłoki Dorothy z opadającymi blond włosami, leżące na marmurowej płycie w jakimś ponurym pokoju.

Musiałem zasnąć, choć niezbyt twardo, bo nagle przebudziłem się i uniosłem na łóżku. Poczulem, że serce bije mi w przyspieszonym tempie. Fosforyzowane wskazówki zegarka pokazywały wpół do czwartej. Niezupełnie jeszcze wytrącony ze snu, usiłowałem zorientować się, co mogło mnie obudzić. Po chwili zrozumiałem.

Za drzwiami, na cedrowej podłodze korytarza, rozległy się niewyraźne stąpania.

Odgłos kroków, nawet o trzeciej trzydzieści rano, nie powinien chyba zbyt niepokoić. Te jednak były ukradkowe. Delikatne szurnięcie i ciche skrzypnięcie. Szurnięcie, skrzypnięcie...

Wyglądało to tak, jakby ktoś mijał nasze drzwi na palcach, z duszą na ramieniu.

Palilem papierosa leżąc na wznak, dopóki kroki nie ucichły. Zmierzały w kierunku schodów. Wypaliłem całego papierosa, rozmyślając. Nie powinno mnie w zasadzie obchodzić, kto szedł i dokąd, ale detektywistyczna ciekawość wzięła jednak górę. Po około pięciu minutach, gdy nie było słychać kroków zdążających z powrotem, wygramoliłem się z łóżka, włożyłem pantofle i szlafrok, i wymknąłem się na korytarz.

Księżyc zaszedł akurat za chmury. Ciemności w korytarzu były isticie egipskie. Stałem przez chwilę, by zorientować się w sytuacji. Wtedy zauważyłem niewyraźną smugę światła, wydobywającą się spod drzwi pokoju po drugiej stronie korytarza, pomiędzy mną i schodami. Nagle światelko

znikło równo ze szcękaniem naciskanej klamki u drzwi. Po chwili znów dały się słyszeć kroki. Zbliżyły się w moim kierunku od strony tamtego oświetlonego pokoju.

Szurnięcie, skrzypnięcie... Szurnięcie, skrzypnięcie...

Miałem dziwne uczucie, stojąc tak w ciemnościach i słysząc kroki tajemniczej postaci, zbliżającej się do mnie. Okres różnorodnych zmagania na Pacyfiku wyostrzył mój zmysł na wszelkie skryte dźwięki, które mogły zawsze zwiastować niebezpieczeństwo.

Kroki było słyhać niemal tuż przy mnie po drugiej stronie korytarza. Mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć tej postaci. Nie uczyniłem jednak tego. W willi milionerki goście nie rzucają się na siebie bez wyraźnej przyczyny.

— Kto tam? — spytałem.

Zapanowała kompletna cisza. Po chwili ktoś niewidoczny rzucił się błyskawicznie naprzód jak Królik z „Alicji w krainie czarów”. Nim zdążyłem się obrócić, usłyszałem trzask otwieranych i zamykanych drzwi jakiegoś pokoju. I znowu zapanował spokój i nieprzenikniona ciemność.

Trudno było orzec, w jakim pokoju zniknęła tajemnicza postać. Nie byłem w stanie jej odnaleźć. Odwróciłem się w kierunku schodów. Od razu zacząłem intensywnie przypominać sobie rozkład budynku. Między mną a schodami znajdowały się tylko trzy pokoje. Dwa pokoje po mojej stronie zajmowane były przez Chucka Dawsona i Janet Laguno.

Ten znajdujący się po drugiej stronie korytarza, z którego dopiero co wyszedł intruz, należał do Dorothy Flanders.

Szybko udałem się w tę stronę. Drzwi były uchylone. Bez chwili wahania wśliznąłem się do środka, zamykając drzwi za sobą. Błądziłem jakiś czas, szukając lampki nocnej. Wreszcie znalazłem ją i zapaliłem.

Dorothy oddano do dyspozycji jeden z kilku zwyczajnie urządzonych pokoi w tym zwariowanym domu. Niemniej jednak, wewnątrz dalekie było od schludności. Szuflady w antycznej komodzie były wysunięte. Wytworne ubiory w szafie ściennej zastałem w potwornym nieładzie. Puste walizki leżały porozrzucane na dywanie.

Przeprowadziłem krótką lustrację pokoju. Pierścionki i naszyjniki leżały na widocznym miejscu na toalecie. W jednej z otwartych szuflad ujrzałem sporą ilość srebrnych dolarów. Było oczywiste, że osoba, która tak

gorączkowo przetrząsnęła pokój, nie mogła być zwykłym złodziejem. To dawało jeszcze jeden dowód zbrodni. Na ogół ludzie nie przewracają do góry nogami pokoi, należących do kobiet, które umierają na atak serca.

Kto jednak i w jakim celu dokonał włamania? Rozejrzałem się dookoła. Nie znalazłem nic, co dałoby mi wskazówkę do rozwiązania zagadki. Jestem skończonym idiotą, że pozwoliłem jemu lub jej prześliznąć się obok w korytarzu. Lampka nocna znajdowała się przy oknie. Podszedłem, zgasiłem ją i stałem tak przez chwilę zastanawiając się, co robić dalej. Spojrzałem na dół, w świetle gwiazd zarysował się niewyraźny brzeg tarasu. I było jeszcze coś — czerwony ogień palącego się papierosa.

Każdy człowiek o tej porze nocy wart był bliższego poznania. Wymknąłem się z pokoju na korytarz i schodami zszedłem na dół. Minąłem salon i pchnąłem oszklone drzwi na taras.

Na zewnątrz było dużo widniej. Gwiazdy na granatowym niebie Nevady świeciły pełnym blaskiem. W miejscu, gdzie przed chwilą jarzył się papieros, nikogo już nie było. Przez moment wydawało mi się, że taras jest pusty. Potem dostrzegłem żarzącego się papierosa za kępą krzaków. I mało wyraźną sylwetkę.

Ruszyłem przez taras, nie starając się tłumić kroków. Chciałem, żeby ten ktoś odniósł wrażenie, iż nie mogąc usnąć wyszedłem na małą przechadzkę. Poznałem już, że to był mężczyzna. Siedział na jasnym, drewnianym krześle pochylony nieco do przodu. O krzesło coś było oparte. Kula.

Wiedziałem przynajmniej jedno. Człowiek, który przetrząsnął pokój Dorothy, nie był jej mężem.

Ruszyłem w kierunku Billa. Był kompletnie ubrany i to tak samo, jak minionego wieczoru. Patrzył zamyślony w lśniąca powierzchnię jeziora Tahoe, nie zdając sobie sprawy ani z mojej obecności, ani czegokolwiek innego.

— Nie przeszkadzam? — odezwałem się.

Poruszył się gwałtownie, wypuszczając z ręki papierosa.

— Któż to...? Och, to sam porucznik Duluth!

— Nie mogłem spać — wyjaśniłem. — Wydaje mi się, że pan ma ten sam problem.

— Ze spaniem?! — odparł zdziwiony. — Sądził pan, że ja dzisiaj będę mógł usnąć?

Poczułem się jak skończony łajdak. Nie podejrzewałem go o zamordowanie żony, a jednak szpiegowałem.

Odwróciłem się, zamierzając odejść, lecz eksbokser niespodziewanie złapał mnie za ramię.

— Niech pan nie odchodzi, poruczniku — rzekł ochryplym głosem. — Muszę z kimś pogadać, bo inaczej chyba zwariuję.

W milczeniu usiadłem w pobliżu niego na balustradzie tarasu. Nie widziałem jego twarzy, ale i tak mogłem stwierdzić, że ledwie nad sobą panuje.

— Muszę coś panu wyznać, poruczniku, bo nie jestem w stanie dłużej tego tłamsić w sobie. W ubiegłym tygodniu, tuż przed wyjazdem żony do Reno usiłowałem ją zamordować.

Tyle było zaskakujących wydarzeń w tak krótkim czasie, że to, co powiedział mi Flanders, nie zdziwiło mnie ani nie zaskoczyło, gdyż było tylko godnym uwagi potwierdzeniem tego, co już wcześniej mówiła jego żona.

Utkwił wzrok we mnie, zaciskając dłonie.

— Być może weźmie mnie pan za szaleńca lub kogoś w tym rodzaju, kto powinien być zabrany do szpitala. I być może będzie pan miał rację. Sam nie wiem. Dawniej byłem zrównoważonym, spokojnym człowiekiem. Byłem bokserem. Poznałem się na pewnych podstępnych sztuczkach stosowanych na ringu. Nie czułem się jak sportowiec podczas walki. To była moja praca, rozumie pan? Pracowałem, jak każdy inny mężczyzna, zarabiając wytrwale pieniądze, bo chciałem być z Dorothy, wieść spokojne życie i mieć dzieci. Wybuchła wojna. Ludzie zabijali innych i sami ginęli. A ja cały czas myślałem o Dorothy, że wrócę do niej. Nie wiedziałem, czy jestem jej wart. Zanim się pobraliśmy się, była już wcześniej mężatką i obracała się pośród ludzi z wytwornego towarzystwa. A jednak wyszła za mnie i myślałem...

Nagle głos mu się załamał. Przykro było go słuchać.

— Potem straciłem nogę i wtedy wróciłem, poruczniku. I... pan już wie, jakiego dokonałem odkrycia. Przehulała całą moją forszę. Flirtowała z każdym, kogo miała na widoku. Zacząłem jej tłumaczyć, że przecież walczyłem z Japończykami również i o nią, a co ona w tym czasie robiła? Wówczas zaczęła ciskać we mnie rachunkami, które — jak się spodziewała — zapłacę i... Och, czy wolno tak kogoś traktować? Pan mnie rozumie?

— Rozumiem — odparłem cichym głosem. — Gdyby mnie to spotkało, to chyba też bliski byłbym morderczych odruchów.

— Mówi pan poważnie? — Jakby się ożywił. Ale po chwili głos jego znów stał się apatyczny. — To nie wszystko, poruczniku. Przedwczoraj Lorraine Pleygel zadzwoniła do mnie, chcąc bym przyjechał tutaj i pogodził się z żoną. Tak to określiła. — Roześmiał się. — To mnie naprawdę rozbawiło. Pogodzić się z Dorothy! Nim jednak zrozumiałem, co robię, powiedziałem do niej: „Oczywiście, z przyjemnością skorzystam z pani zaproszenia”. No, i przyjechałem, ale tylko dla jednego powodu. — Po chwili dodał ochryplym głosem: — Przyjąłem to zaproszenie, żeby zrobić z Dorothy to, na co już dawno zasłużyła.

Nie odezwałem się. Znaleźliśmy się na niezbyt pewnym gruncie. Bill Flanders poruszył się nagle na krześle.

— Miałem już to wszystko dobrze obliczone. Planowałem zabić ją wieczorem. Chciałem udusić ją w łóżku i następnie oddać się w ręce policji. Gdybym tego nie zrobił, nie mógłbym żyć dłużej. Lecz istnieje coś takiego, co jest silniejsze od nas, co samo kieruje obrotem spraw. Dlatego nie dostałem tu szansy, by ją zabić. Ona sama umarła tak zwyczajnie... na serce.

Po tym, co wyznał, trudno było uwierzyć, że Bill Flanders zamordował żonę.

— Czy jest pan pewien, że umarła na atak serca? — spytałem ostrożnie.

Głos jego stał się teraz chrapliwy jak zgrzyt piły: — Co pan ma na myśli? Przypuszcza pan, że jednak to jaja zabiłem?

— Pan jej nie zabił, Bill. Tylko że...

— Wyckoff ją przecież badał. Jest lekarzem. On wie...

— A jeżeli Wyckoff nie powiedział prawdy?

— Czy pan wątpi w to, że Dorothy była chora na serce? Jeżeli tak, to pan się myli. Naprawdę była chora. Słyszał pan przecież, mówiłem już o tym, prawda? Wyckoff powiedział mi o tym przed kilku tygodniami. — Roześmiał się. — Dobrze o tym wiedziałem. I sporo zapłaciłem. Nawet tu mam... — Pogrzebał w górnej kieszeni marynarki i wyciągnął plik papierów. Drżącą ręką zapalił zapałkę i zaczął przerzucać kartki. — To rachunki, których Dorothy nigdy nie zapłaciła. Noszę je, żeby nie zapomnieć. Są i od Wyckoffa. Oto te, niech pan zobaczy.

Dał mi trzy kartki papieru. Czulem, że kręci mi się w głowie, gdy zapalałem zapalną. Każda kartka miała u góry napis „Wyckoff” i przedstawiała rachunek za porady lekarskie. Adresowane były do pani Dorothy Flanders.

— A jeżeli mi pan nie wierzy, poruczniku, może pan przejrzeć kartotekę Wyckoffa...

Flanders mówił coś jeszcze, ale już go nie słuchałem. Mój cały motyw zbrodni opierał się przecież na fakcie, że Dorothy nie umarła na atak serca. Obecnie — jeśli cała sprawa nie była o wiele bardziej skomplikowana, niż nam się wydawało — stało się jasne, że umarła jednak na serce.

Tkwiliśmy z Flandersem nadal na werandzie. Chciał opowiedzieć komuś o swoich zagmatwanych, koszmarnych sprawach. Żał mi go było. Tym bardziej, że sam poczułem się jak skończony osioł. W brzasku porannym zaczęły się wynurzać wysokie szczyty Sierry na widnokręgu. Wtedy pozostawiłem go i udałem się schodami na górę.

Kiedy mijałem pokój Dorothy, nagle zdecydowałem się jeszcze raz zajrzeć do niego. Ostatecznie, jeżeli nawet nasz motyw zbrodni upadł, to nadal nie była wyjaśniona sprawa włamania. Ostrożnie otworzyłem drzwi, pamiętając nieład, jaki zastałem poprzednim razem. Szare światło dnia, przenikające przez okno, zupełnie wystarczało dla zlustrowania wnętrza pokoju.

Wszystkie szuflady w komodzie były zamknięte, garderoba starannie zawieszona w szafie, a walizki, równo ułożone jedna na drugiej, stały przy łóżku. Najmniejszego śladu, że pokój został przez kogoś przetrząśnięty. Nie popełniono morderstwa. A teraz... nie dokonano włamania. To było już ponad moje siły.

Chyłkiem wróciłem do naszego pokoju. Iris ciągle spała. Wśliznąłem się do łóżka obok niej, starając się nie myśleć, jakiego to wariata robiono tu ze mnie. I jakoś w końcu usnąłem.

6.

— Wciąż myślę i myślę, moje aniołki, i nic. Wydaje mi się, że najlepiej byłoby nie zaprzętać tym sobie już głowy! — Lorraine Pleygel skierowała to spostrzeżenie do nas, siedzących na tarasie przy zalanym słońcem stole podczas śniadania. — Pan Throckmorton powiedziała, że powinniśmy

poruszać się teraz wszędzie w długich, czarnych woalkach. Lecz Throckmorton pochodzi z Bostonu, gdzie wszystko jest strasznie przygnębiające. Ostatecznie żadne chorobliwe myślenie nie pomoże już biednej Dorothy. Bawmy się więc lepiej. Chciałabym, żeby po mojej śmierci ludzie się bawili.

Stosując w praktyce ten osobliwy przykład prywatnej filozofii, Lorraine miała na sobie bardzo frywolny strój, i to taki, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem. Był to kostium kąpielowy, wykonany wyłącznie z oślepiająco błyszczących, srebrnych łusek. Wyglądała w nim jak terrier udający syrenę.

Mimo wysiłków Lorraine na tarasie nie było zbyt wesoło. Iris i ja, po przedyskutowaniu moich wrażeń z ubiegłej nocy, siedzieliśmy w milczeniu. David i Fleur Wyckoff zupełnie nie zwracali na siebie uwagi, jak dwoje obcych ludzi w kolejce podziemnej, którzy przypadkowo zajęli sąsiadujące miejsca. Bill Flanders, Janet Laguno, Kochanek French i Mimi Burnett nie pokazali się jeszcze przy stole. Chuck, który poruszył kwestię Dorothy krótkim oświadczeniem, iż pogrzeb jej odbędzie się następnego dnia, wyglądał na wyraźnie pozbawionego humoru. Ubrany w stare dżinsy i czerwoną sportową koszulę, spacerował po tarasie, spoglądając spode łba na spokojną powierzchnię pięknego jeziora Tahoe.

Tylko hrabia Laguno wyglądał na zadowolonego z życia. Miał na sobie jaskrawą marynarkę sportową, marynarskie spodnie i niebieską jedwabną apaszkę. Zdawało mu się prawdopodobnie, że wygląda jak człowiek z Dzikiego Zachodu. W rzeczywistości wyglądał jak podejrzany osobnik z jednego z mniej schludnych lokali Riwiery. Obserwował każdego wesołymi, ciemnymi oczyma, zjadając jednocześnie wszystko, co podał lokaj.

Kilka minut później Kochanek i Mimi trzymając się za ręce wyszli na taras. Brat przyrodni Lorraine i jego narzeczona nie wnieśli nic interesującego do ogólnego nastroju. Kochanek miał pogrzebową minę, a Mimi ubrana w szarą powłóczystą kreację, wyjętą prosto z baśniowych klimatów, była uosobieniem żalu.

— Lorraine, moja droga. — Lekko pocałowała ją w czoło, podczas gdy przebiegłe oczy myszkowały jak zwykle na wszystkie strony. — Zdaję sobie sprawę, jak wam wszystkim musi być smutno po tym przykrym wydarzeniu. Nie zmrużyłam oczu przez całą noc. Ani mój Kochanek, nieprawdaż, mój drogi?

Kochanek z posepną miną potrząsnął głową.

— Oczywiście, że tak, Mimi.

Wyraźnie nie mając chęci do stworzenia weselszej atmosfery, zasiedli do stołu.

— Po śniadaniu — odezwała się nagle Lorraine — wsiądziemy wszyscy do motorówek i będziemy pływać po jeziorze Tahoe. To będzie wspaniałe, naprawdę wspaniałe. A wieczorem przy pełni księżyca zjedziemy w dolinę i popływamy w gorących źródłach. To taki mój basen z ciepłą wodą. Sami zobaczycie. Nie mogę tylko zrozumieć, skąd akurat tam bierze się gorąca woda, skąd się wydostają te źródła. To coś wspaniałego. — Spojrzała rozpromienionym wzrokiem na doktora Wyckoffa i potem na Fleur, jakby jeszcze nie zrezygnowała z myśli pojednania ich. — To niezwykle romantyczne. Wszyscy tak mówią. Uwielbiam to miejsce.

W tym momencie z trzaskiem rozwarły się oszklone drzwi i stanęła w nich Janet Laguno. Nigdy nie widziałem, aby ktoś tak nagle się pojawił. W przekrzywionej, szarej spódniczce i arcykomicznym, karmazynowym swetrze, przy którym twarz jej przybrała kolor ziemisty jak u selera, wparowała na taras, rzucając na nas piorunujące spojrzenie.

— Jestem kobietą małomówną — oznajmiła. — Toteż powiem tylko dwa słowa do mojego tak zwanego męża. — Obróciła się do hrabiego tak gwałtownie, aż jej perłowy naszyjnik się rozkołysał. — Ty kreaturo, nędzna kreaturo!

Stefano Laguno starł serwetką z twarzy jakiś urojony okruch i obdarzył żonę nikłym uśmiechem.

— Dzień dobry, moja droga. Wydaje mi się, że spałaś niezbyt dobrze tej nocy.

— Niezbyt dobrze spałam! Ja nie przysnę nawet na chwilę, dopóki ty będziesz pod jednym dachem ze mną.

Zaczęła grzebać w dużej, szkarłatnej torbie, wyrzucając na taras puderniczkę i papierosy. Po chwili znalazła jakąś kartkę i pomachała nią.

— Oto list — oświadczyła — napisany niewyrobioną ręką człowieka, nazywającego się, dla ośmieszenia chyba, hrabią Laguno.

Stefano wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Nagle jego twarz znieruchomiała i nabrała jakby wyrazu lisa złapanego w potrzask. Gwałtownie poderwał się z krzesła, usiłując pochwycić list. W tym momencie Janet zdążyła

jednak cofnąć rękę i pozostało mu opaść na miejsce z niezbyt mądrą miną.

— Kiedy byłam dzieckiem — odezwała się Janet złowieszczo — chwaliłono mnie za ładne deklamowanie. Mam nadzieję, że nie straciłam tego talentu. Posłuchaj, będę czytała to arcydzieło dosłownie, poprawiając tylko rażące błędy. List jest adresowany do nieżyjącej już na szczęście pani Flanders.

Po chwili zaczęła czytać, naśladowując drwiąco uczucie:

„*Dorothea, mia carissima.*

O kim marzyłem cały dzień? Czy muszę odpowiadać? Oczywiście, że o Tobie. Wieczór spędziłem okropnie, przesuając z trudem moją Poczwarę po parkiecie w jakimś drogim, obrzydliwym klubie nocnym. Tylko obraz Twojej cudownej twarzyczki utrzymywał mnie przy zdrowych zmysłach. Kochanie, myślałem, że jestem cynikiem, znudzonym życiem i kobietami. Zawsze mniej więcej po tygodniu rzucałem kobietę jak wyciśniętą cytrynę. Lecz spotkałem Ciebie... i co się stało z moim cynizmem? Słowo to... nie ma już znaczenia. Najdroższa, ciągle marzę i marzę o naszym szczęściu. Miałem zamiar przekazać Ci prezent, lecz Poczwara pilnuje swoich klejnotów jak smok. Ona ma chyba oczy również z tyłu głowy. Musisz być cierpliwa, moja gołąbeczko. Na razie jestem biedny. Lecz — jak wiesz — Poczwara pozostawi mi wszystko. Co noc ubolewam nad tym, że cieszy się takim dobrym zdrowiem. Czy dałoby się coś w tej sprawie zrobić? Ach, *mio tesoro*, pozbycie się tej Poczwary to nasza szansa na boski duet aż po wieczność. Ty i ja.

Mój skarbie, całuję Cię i myślę o Tobie. *Addio, Dorothea* moich marzeń i snów.

Twój kochający Cię Pimpus”.

Przez cały czas czytania tego niezwykle listu, hrabia siedział nieruchomo, z wypiekami na twarzy, sięgającymi niemal aż po nasadę jego rzadkich włosów. Przypuszczam, że słowo „Pimpus” z właściwą intonacją odczytane przez Janet, zdruzgotało jego ostatnią linię obrony. Pozostałe osoby siedziały przy stolikach z szeroko otwartymi ustami, zdumione kompletnie.

List ten, z jego śmiesznym stylem, oszołomił i mnie. Jakkolwiek Iris i ja uważaliśmy, że jakieś wzajemne powiązanie mogło istnieć między hrabią i zawsze głodną męskich serc Dorothy, to nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś równie nikczemnego.

W złowrogiej ciszy Janet złożyła list i wsunęła go z powrotem do torby. Złożyła rękę na karmazynowym swetrze i obserwowała męża.

— Poczwara! — powiedziała oschle. — Dziękuję ci, Stefano. Prawdopodobnie jestem jedną z niewielu żon w historii, o której mąż w listach miłosnych wyraża się „Poczwara”.

Żenujący rumieniec zaczął ustępować z policzków hrabiego. Powróciła mu zimna krew i pewność siebie.

— Przykro mi, moja droga — odezwał się — że przezwisko to nie jest zbyt atrakcyjne. Wiesz przecież, że list ten nie był przeznaczony dla ciebie.

— Rzeczywiście. Lecz przyjmij do wiadomości, Pimpusiu, że Poczwara nie potrzebuje oczu z tyłu głowy, by dojrzeć to, co trzeba. Wiedziałam, że Dorothy była zepsuta jak przejrzały melon. I Bóg mi świadkiem, iż nie mam żadnych złudzeń co do ciebie. Nigdy mi jednak na myśl nie przeszło, że zmwiałaś się z nią przeciwko mnie.

Lorraine, jak zwykle gdy była świadkiem jakiejś sprzeczki, usiłowała zażegnać awanturę. Delikatnie zbliżyła się do Janet.

— Aniołku, musiało zajść jakieś nieporozumienie. Wydaje mi się, że ludzie nie piszą takich listów. I ten Pimpus! To jakaś bzdura. Twój mąż nie może być żadnym Pimpusiem. Powiedz nam lepiej, gdzie znalazłaś ten list?

— Gdy obudziłam się dziś rano, zauważyłam, że był wciśnięty pod moje drzwi. Jakiś życzliwy przyjaciel sądził widocznie, że przeczytanie go powinno wpłynąć na moje dobre samopoczucie przed śniadaniem. Na pewno maczał w tym swe delikatne, włoskie palce mój mąż. A właściwie, czy to nie wszystko jedno, kto go tam położył?

Dla mnie nie było wszystko jedno. Dorothy należała do kobiet, które przechowują kompromitujące listy, tak jak potrafią przywłaszczyć po kryjomu na czarną godzinę pięciodolarowe żetony Lorraine. Byłam prawie pewny, że osoba, która przetrząsnęła jej pokój w nocy, znalazła wówczas ten niewygodny dla kogoś dokument i czy to przez złośliwość, czy też w innym celu, wsunęła go pod drzwi Janet.

Janet znów obrzuciła hrabiego surowym spojrzeniem.

— Gdy wyjeżdżałam do Reno, byłam przygotowana na rozwód z tobą, Stefano. Chciałam wyleczyć moje rany i przeprowadzić sprawę do końca. Obecnie sytuacja całkowicie się zmieniła. Ten list daje do zrozumienia, że miałeś zamiar zamordować mnie i z osiągniętych zysków żyć nadal z twoją wspaniałą blondynką. „Co noc ubolewam nad tym, że ona cieszy się tak

dobrym zdrowiem”. Istotnie! Oczywiście rozumiem, że to było właściwe wyrażenie myśli. Lecz ty nigdy nie miałeś odwagi doprowadzić jakiegokolwiek zamiaru do końca. Gdyby nie ja, może i policja nie dowiedziałaby się o twoich planach. Ponieważ jestem jednak jeszcze twoją żoną, więc mam zamiar natychmiast tam zadzwonić. Surowe warunki więzienne powinny cię czegoś nauczyć.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie.

— Wątpię, czy ty lub ktokolwiek w tym domu wezwie policję, moja droga.

Nadstawiłem uszu. A Janet spytała:

— Niby dlaczego?

— Doprawdy, Janet, nie bądź głupia. To jest jedyna rzecz, której nie mogłabyś wykonać. — Hrabia wyjął papierosa i zapalił go z wyszukaną elegancją. — Nie chciałem poruszać tego nieprzyjemnego tematu. Twoja postawa nie daje mi jednak wyboru. Jeżeli wezwiesz policję, żadne skrupuły nie powstrzymają mnie, by poinformować, że Dorothy Flanders została zamordowana ubiegłej nocy. Wówczas cały wysiłek Wyckoffa i pozostałych osób pójdzie na marne.

Była to z pewnością najbardziej wstrząsająca wiadomość, jaką usłyszałem przy śniadaniu. Rzuciłem wzrokiem na Iris. Tutaj tkwił nasz motyw zbrodni, który wracał jak bumerang.

Wyckoff poderwał się na równe nogi. Twarz jego stała się trupio blada. Mimi — to niewinne dzieciątko — przywarła do mocnego ramienia Kochanka. Szmer rozmów nagle umilkł. Chuck Dawson odwrócił się i warknął przez zęby:

— Dorothy zamordowana? Czy pan zwariował?

— Tylko spokojnie — odparł hrabia, strzepnąwszy popiół z papierosa na spodek, gdzie stała jego filiżanka kawy. — Dopóki Janet nie zainteresuje się kryminologią, nie ma się czego obawiać. Ten najbardziej nierozważny list ja napisałem. Przyznaję się do tego. Nie mam pojęcia, w jaki sposób trafił do rąk mojej żony, ale to nie ma teraz znaczenia. A nie ma znaczenia dlatego, że Janet nie wymieniła daty. List został napisany ponad miesiąc temu. Moje uczucie do pani Flanders nie trwało zbyt długo. Nie mogłem już jej znieść. A więc rozumiecie teraz, że po tak krótkotrwałym uczuciu z przyjemnością uwolniłbym się od niej, podobnie zresztą jak i wy wszyscy.

To znaczyło, że metodę „wyciśniętej cytryny” hrabia zastosował również

i do Dorothy. W myśli odnotowałem to sobie, jakkolwiek było też wiele innych okoliczności godnych zapamiętania. Fleur Wyckoff spoglądała z przerażeniem na męża. Była tak strasznie blada, że wydawało się, iż lada moment zemdleje. Sam Wyckoff nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia.

— Chciałbym wiedzieć, hrabio — odezwał się opanowanym głosem — czy pan zarzuca mi rozmyślnie wystawienie świadectwa zgonu niezgodnego z prawdą. Świadectwo zgonu oparte było na mojej diagnozie, stwierdzającej, że pani Flanders zmarła na atak serca.

Stefano Laguno uśmiechnął się, ukazując poźółkłe zęby.

— Moim zdaniem, to nie był atak serca, doktorze Wyckoff. Oczywiście nie jestem tak dobrze zorientowany w tych sprawach jak pan. Lecz w mojej niezbyt pomyślnej młodości przebywałem przez pewien okres w okolicy Amazonki, na bardzo rozmokłej, nieprzyjemnej plantacji kauczuku. Widziałem człowieka, który zmarł od kurary. Nie miałem okazji obejrzeć dokładnie pani Flanders ubiegłej nocy. Właściwie to prawie wcale jej nie widziałem. Chciałbym jednak poznać pańską opinię na temat śmierci od kurary.

Ścisnąłem kurczowo poręczę fotela.

Lorraine z trudem łapiąc powietrze, wykrztusiła:

— Kurara?!

Wyckoff nic nie odpowiedział. Hrabia natomiast mówił dalej:

— Oczywiście nie mam pojęcia, kto ją zamordował, dlaczego i w jaki sposób to zrobił. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego pan, Wyckoff, zdecydował się na zatuszowanie tej zbrodni, jak również dlaczego kilka innych osób tak chętnie panu w tym pomogło. Nie jestem nawet specjalnie zainteresowany rozwiązaniem tej zagadki. Przedstawiłem wyraźnie swój punkt widzenia. Jeżeli moja żona zachowa się przyzwoicie, wówczas nie podejmę żadnej akcji. Natomiast jeśli żona przez jakąś najbardziej niegodną damy złośliwość, będzie usiłowała narazić mnie na przykrości... — Wzruszył ramionami. — Wówczas będę musiał przysporzyć i wam kłopotów.

Chociaż hrabia Stefano Laguno nie posiadał zbyt wielu zalet, to przynajmniej był szczery. Ta szczerość mogła olśnić każdego, nie zrobiła jednak żadnego wrażenia na jego żonie.

Janet słuchała go z narastającą wściekłością.

— Nie dajcie się okpić — odezwała się nagle. — To wszystko kłamstwo. On dobrze wie, że mogłabym wsadzić go do więzienia za usiłowanie kradzieży, a może i za planowanie morderstwa. Zmyśla to wszystko, aby mnie zastraszyć. Nie ma najmniejszego dowodu.

— Oczywiście, że nie mam żadnego dowodu, moja droga Janet. — Odwrócił się w jej stronę na krześle i obdarzył ją najczulszym uśmiechem. — Lecz jest jeden prosty sposób, aby udowodnić, iż mam rację, nie sądzisz? Wystarczy tylko, żebym powiedział policji o moich podejrzeniach. Sekcja zwłok zrobi resztę.

Spojrzał ponownie na Wyckoffa, przyglądającego mu się z całą powagą, która mogła oznaczać pewność siebie lub ogromne panowanie nad sobą.

— I ma pan zamiar zażądać przeprowadzenia sekcji zwłok, hrabio? — spytał.

— Bzdura — wtrąciła Janet. — Niech pan się nie da oszukać, Davidzie. — Jest jeszcze coś ważnego. — Hrabia Laguno bawił się brzegiem obrusa. — Gdy policja stwierdzi, że Dorothy została zamordowana, wówczas zaczynają szukać motywów zbrodni. A kiedy zobaczą ten list, moja droga Janet, ty będziesz miała najlepszy motyw. Odtrącona z pogardą żona zabija rywalkę w napadzie niepohamowanej zazdrości.

Twarz Janet okryła się purpurą, która klóciła się raczej ze szkarłatem jej swetra.

— Odtrącona z pogardą żona — powtórzyła z trudnością.

— Pomyśl o tym, moja droga. — Hrabia odłożył serwetkę i podniósł się z krzesła. — Wydaje mi się, że będziesz rozsądna.

Skinął głową Lorraine i wolnym krokiem opuścił taras.

7.

Po wyjściu męża Janet stała przez chwilę bez słowa. Następnie rzuciła okiem na Lorraine.

— Teraz, moja droga — odezwała się — masz do wyboru. Albo ty wyrzucisz Stefano ze swojego domu, albo ja spakuję rzeczy i wrócę do Reno. Nie ma mowy o pogodzeniu się! Ktoś powinien przejąć twoje wspaniałe pomysły, przewiązać je różowymi wstążeczkami i rozdać ubogim.

Po wypowiedzeniu tych słów, w pośpiechu opuściła taras, kierując się w przeciwną stronę niż Laguno.

Lorraine utkwiała spojrzenie w oszklonych drzwiach, za którymi zniknął hrabia.

— Co za okropny człowiek! — krzyknęła. Gdy zwróciła się do Wycykoffa, twarz jej nagle spoważniała: — Davidzie kochany, Janet oczywiście miała rację. Uważam tę całą gadaninę o zbrodni za kompletnie pozbawioną sensu... Hrabia wymyślił ją specjalnie, by powstrzymać Janet od wezwania policji, prawda?

Plecy Davida Wycykoffa zgięły się, jak gdyby pod ciężarem. Wyglądał teraz starzej niż na swoje czterdzieści lat. Wobec faktów musiałem nadal wierzyć w opowieść Flandersa, że Wycykoff leczył jego żonę. Jednak przyszła mi nowa myśl do głowy. Może Dorothy rzeczywiście miała słabe serce, a do tego jeszcze została otruta kurarą?

Nikt nie poruszył się, jakby w oczekiwaniu, że Wycykoff coś powie. Nie patrząc na nikogo, odezwał się w końcu:

— Posłuchałaś jego, Lorraine. A wczoraj wieczorem usłyszałaś, co ja mówiłem. I podtrzymuję nadal swoją opinię.

Pozbawiona wątpliwości, Lorraine uśmiechnęła się szeroko.

— No to nie ma się czym przejmować. Wiedziałaś, że tak będzie. Ale co za straszny z niego mężczyzna... Janet ma chyba rację. Jest tu jednak gościem. Skoro zaprasza się kogoś do swego domu, nie można go później wyrzucać. Będę musiała pogadać z Janet. Ach, pan Throckmorton mógłby się pospieszyć i już tu być. Hm, no tak... skarby moje, zapomnijcie na chwilę o tym wszystkim! — Znowu uśmiechnęła się radośnie. — Na piknik wszystko już jest przygotowane. Wskakujemy do motorówek i ruszamy na drugi brzeg jeziora. Szkoda tak pięknego, słonecznego dnia.

Wyruszyliśmy — to znaczy Chuck, Lorraine, państwo Wycykoff, Iris i ja. Mimi z Kochankiem nie chcieli jechać z nami. Mimi powiedziała, że oboje mają zamiar spędzić ranek z poezją Edny St. Vincent Millay. To podobno najlepszy lek. Choć słońce i urzekające piękno kalifornijskiego jeziora Tahoe wydawały się równie znakomitą odtrutką na wszystko. Wypłynęliśmy na jezioro, w Szmaragdowej Zatoce uraczyliśmy się lunchem przygotowanym przez Lorraine, popływaliśmy trochę i potem położyliśmy się na suchym, srebrnym piasku. Iris była przy mnie — miałem teraz wszystko, czego pragnąłem. Choć ciągle nie czułem się wypoczęty.

Mimo że Janet wyraziła się lekceważąco o planowanym spisku męża na jej życie, to jednak ten niewiarygodny wprost list hrabiego zawierał pogroźkę pod jej adresem. Groźbę tę skojarzyłem z uwagą Laguno rzuconą do Dorothy późnym wieczorem, gdy z Iris przeszkodziliśmy im w tête-à-tête w sali z trofeami. *Kurara ma też pewną szlachetność w sobie. Mogłaby służyć do... uśmiercania potencjalnych morderczyń.*

Iris i ja interpretowaliśmy to jako złośliwość pod adresem Dorothy. Ale mogło oznaczać przecież i spisec hrabiego z Dorothy dla pozbycia się Janet, aby oboje mogli stworzyć „boski duet aż po wieczność”, korzystając przy tym z majątku Poczwały...

Może był jakiś plan, który zawiódł? A może ktoś inny uprzedził ich i zamordował Dorothy, nim ona i Laguno...

Gdy małe motorówki niosły nas w stronę domu po szmaragdowej, akksamitnej toni jeziora, byłem jakoś dziwnie rozdrażniony tym, co się już stało i co jeszcze mogło nastąpić.

Na przystani czekała na nas Mimi Burnett — jej bawełniana suknia przywodziła na myśl postać Wendy, choć zgubiła gdzieś swojego pulchnego Piotrusia Pana. Pospieszyła do Chucka Dawsona, opowiadając mu o jakimś zamiejscowym telefonie do niego. Wsunęła swą dziewczęcą rękę pod jego muskularne ramię i oboje się oddalili. Obserwowałem ją z niemałym zdziwieniem. Lorraine także. A po chwili odezwała się oschle:

— Omotała już mojego nieszczęsnego brata. A teraz może myśli, że jej się uda zrobić to samo z moim narzeczoną?

Nigdy przedtem nie słyszałem tak złośliwej uwagi z ust Lorraine. Twarz jej zaczerwieńnięła się z oburzenia. A ja zauważyłem w myśli, że Kochanek do majątnych nie należał, natomiast Chuck Dawson robił wrażenie, że cały świat mógłby kupić za pieniądze. Czyżby Mimi się odmieniło w kwestii kochanków? A może nauczyła się czegoś ze strof Edny St. Vincent Millay?

W zaciszu naszego pokoju, uwolnieni wreszcie od innych osób, mogliśmy w końcu z Iris porozmawiać o zajściu, które miało miejsce przy stole podczas śniadania. Bez zdziwienia stwierdziłem, że moja żona doszła do takich samych wniosków co ja. A nawet poszła dalej.

— Ciągłe intryguje mnie pewna myśl, Peter. Jeśli Laguno i Dorothy planowali otruć kurarą Janet, to może Dorothy przez pomyłkę sama wbiła sobie zatrutą strzałę? Oczywiście, jedno do drugiego nie pasuje. Wyckoff

jest specjalistą od chorób sercowych. Od razu poznałby, czy Dorothy została otruta. Jeśli tak było, on także byłby wplątany w to wszystko. A co wtedy z Chuckiem? I czy Bill Flanders mówił prawdę? A hrabia... ta nędzna kreatura pozująca na arystokratę? Nawet jeśli knuli coś z Dorothy, to czy myślisz, że miałyby odwagę zamordować Janet?

— Nie wiem... — zacząłem, kiedy ktoś zapukał do naszych drzwi.

— Proszę — powiedziała Iris.

Do pokoju weszła dumnym krokiem Janet Laguno. Miała na sobie nadal pogniecioną szarą spódnicę i szkarłatny sweter. Z jej szerokich ust zwiślał papieros. Zaczynało mi się podobać jej prowokacyjnie mało eleganckie zachowanie się; szczególnie przypadła mi do gustu jej bezlitosna szczerść przy śniadaniu. Janet Laguno miała swoje zasady. Nie bała się mężczyzn.

Trzymała w rękę kartkę papieru. — Jak widzicie, moi drodzy, ciągle tu jestem. Grzeczność Lorraine nie pozwoliła jej na wyeksmitowanie Stefano, a ja obdzwońiłam wszystkie hotele w Reno i okazało się, że nigdzie nie ma wolnego miejsca. W ten sposób muszę pozostać tutaj jeszcze do jutra... — Usadowiła się na poręczy jednego z foteli pomalowanych w zebłą i pogłaskała kartkę papieru, którą położyła na kolanie. — Zdziwi to was zapewne, moi państwo. Ten dokument jest moim testamentem. Nowym testamentem. Chcę, byście go poświadczili. — Wykrzywiła usta. — Pomyślicie zapewne, że jestem nerwowo chorą kobietą. Może i tak. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za Stefano. Nie sporządziłam tego testamentu z jakichś melodramatycznych przyczyn. Wiem z całą pewnością, że Stefano brakuje odwagi, aby mi coś zrobić. Lecz los płata złe figle. Nie jest wykluczone, że mogę kiedyś upaść i skrzyć kark w wannie lub potknąć się o bramkę podczas gry w krokieta. Gdyby mój najdroższy Pimpus otrzymał wtedy choć centa z moich pieniędzy, rozniosłabym wówczas cały tamten świat.

Iris i ja wymieniliśmy przerażone spojrzenia. Mimo że Janet potraktowała to wszystko beztrzesko, sprawa ta poważnie nas zaniepokoiła. Hrabina Laguno rozłożyła kartkę papieru i wręczyła ją mnie, zrzucając przy tym sporo popiołu z papierosa.

— Może przedtem to przeczytacie — zaznaczyła. — Nie powinno się poświadczać dokumentów bez poznania ich treści.

Iris zerknęła mi przez ramię, gdy trzymałem testament w rękę.

Treść jego była krótka i przejrzysta. Unieważniał wszystkie poprzednio sporządzone testamenty. Stanowczo eliminował Stefano z prawa do spadku. Cały majątek zapisywany był... Billowi Flandersowi. Oboje z Iris spojrzeliśmy ze zdziwieniem.

— Bill Flanders? — spytała Iris. — Nie wiedziałam, że to pani bliski przyjaciel, czy może...

— To nie tak. Zupełnie nie tak. — Janet zdusiła papierosa w jakimś dziwnym przedmiocie szklanym, który mógł uchodzić za popielniczkę. — Nie mam żadnej rodziny prócz jednej obrzydliwej ciotki w Seattle. Rozmawiałam z Billem dziś po południu. To całkiem przyjemny facet; stracił nogę w jednej z bitew i przez Dorothy pozostał bez środków do życia. Żał mi go. I nic mnie to nie obchodzi, że Stefano będzie się wściekał, że wdowiec po Dorothy zajął jego miejsce. A więc, moi drodzy... — Wyciągnęła rękę przed siebie. — Potwierdzicie ten testament? Pióro też mam. Ludzie przeważnie nie mają piór, gdy ich akurat potrzebują.

Iris i ja złożyliśmy nieco drżącymi rękami podpisy w dolnej części dokumentu. Janet wstała i wręczyła mi z powrotem testament.

— Powinłam chyba sporządzić go w dwóch egzemplarzach, ale nie zrobiłam tego. Dlatego proszę przechowywać go w bezpiecznym miejscu. — Ruszyła do drzwi, zatrzymała się jednak jeszcze i roześmiała cierpko. — Nie patrzcie tak tragicznie na mnie, moi drodzy. Na pewno nic mi się nie stanie. Poczwara nigdy nie cieszyła się tak dobrym zdrowiem jak obecnie.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Iris mruknęła:

— Mam nadzieję, że wie, co mówi.

Schowaliśmy testament w szufladzie, gdzie Iris trzymała swoją świnkę-skarbonkę, i zamknęliśmy ją na klucz. Wyraźnie podenerwowani przebraliśmy się do kolacji i zeszliśmy na dół.

Słońce już zachodziło i panował półmrok, gdy na tarasie podano koktajle. Janet i Bill Flanders siedzieli na długim krześle jak para zakochanych, wpatrując się w purpurowe niebo, rozdwojone olbrzymimi szczytami Sierry. Lorraine, Mimi i Chuck Dawson obojętni na piękno natury, popijali martini pod żółtym parasolem.

Gdy Iris i ja dołączyliśmy do nich, Chuck, przystojny mężczyzna wyglądający na luzaka w sztruksowych spodniach i skórzanej marynarce, żartował właśnie z wytwornych strojów Lorraine, twierdząc, że w kostiumie kąpielowym ze srebrnych łusek wygląda jak rasowa ryba na odłów. Na co

zaśmiała się Mimi, rzucając kokieteryjne spojrzenie w stronę Chucka.

Lorraine odparła wtedy sucho: — Dobrze, Chuck. Jeżeli mój kostium kąpielowy ci się nie podoba, to go wyrzucę.

Ręka Mimi zsunęła się po ramieniu Chucka i ścisnęła mu palce.

Lorraine, z twarzą płonąącą z oburzenia, nie wytrzymała dłużej.

— Na litość boską, przestań tak bezczelnie podrywać Chucka!

Chuck poczuł się wyraźnie skrępowany. Głęboko osadzone oczy Mimi zamigotały groźnie. Byłem zaskoczony tak gwałtownym napięciem, jakie powstało między tymi dwiema kobietami.

I wtedy pojawił się łobuzersko beztroski Kochanek z Fleur Wyckoff, trzymającą go pod ramię. Mimi natychmiast podbiegła do niego, wołając: — Mój niegrzeczny Kochanek lekceważy mnie i ogląda zachód słońca w towarzystwie innej kobiety. A Lorraine opowiada tymczasem okropne historie... — Przyłgnęła do jego ręki, znajdując tam błogie schronienie.

Potem pojawił się na tarasie Wyckoff. A tuż za nim, pogardliwie obojętny na utkwione w niego spojrzenia, zbliżał się do stołu hrabia Laguno. Po chwili i on nalał sobie martini. Lorraine, zapominając o przykrościach, które ją spotkały, znów stała się bardzo energiczną panią domu. Kiedy zasiedliśmy do kolacji, szczebiotała już i tryskała humorem jak zawsze.

Przypomniała też, że po kolacji wszyscy udają się do basenu z ciepłą wodą, aby zażyć wspaniałej kąpeli przy świetle księżyca. Dla jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny goście kazali się bardziej prosić niż zwykle. Janet oświadczyła, że nie ma kostiumu kąpielowego. Nawet małeńka Fleur zaproponowała nieśmiałym głosem. Chuck mruknął coś o wycieczce do Reno zamiast do kąpieliska. Jednak Lorraine, której wrócił wspaniały nastrój, osiągnęła swój cel.

Po godzinie nasza niezbyt ucieszona grupka udała się na górę po stroje kąpielowe i zebrała się potem na podjeździe. Stały tam już dwa samochody. Lorraine weszła pierwsza do furgonetki, a za nią Iris i ja oraz Bill Flanders, Janet Laguno i Fleur. Księżyc jeszcze się nie pojawił. Ruszyliśmy w gęsty mrok. Wokół nas słychać było cykanie świerszczy i rechot żabek drzewnych. W końcu Lorraine zatrzymała auto przez zarysowującą się w ciemnościach alejką wysadzaną topolami.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła.

Po opuszczeniu samochodu minęliśmy białą bramę. Lorraine przekreśliła jakiś wyłącznik i osłepiło nas światło. Niebotyczne topole rozmieszczone były w prostokącie, a każdą z nich przyozdabiała kępa kwiatów. W środku rozciągał się olbrzymi basen kąpielowy z szerokim, kamiennym obramowaniem. Kabiny do przebierania, w formie pojedynczych chatek, tworzyły małe wioski po obu stronach. Nad lśniącą wodą migotały sznury wielobarwnych świateł.

— Nieźle to wygląda, co? — uśmiechnęła się Lorraine. — Nie wiem, dlaczego nie bywam tutaj zbyt często. Peter, Bill, mężczyźni przebierają się po drugiej stronie.

Domki były tak luksusowe jak wszystko, co należało do Lorraine. Każdy miał małą bawialnię z nieprzemakalnymi pokryciami tapicerskimi na krzesłach, szafkę zamykaną na klucz i prysznic. Bill i ja przebraliśmy się pierwszy. W spodenkach kąpielowych Bill Flanders jeszcze bardziej przypominał budową ciała boksera, tylko kikut jego nogi wyglądał żałośnie. Opierając się o kulę, zszedł po stopniach do basenu i po chwili znalazł się w wodzie. Ruszyłem za nim.

Zanurzanie się w tej wodzie, gorącej jak w wannie, dawało niesamowitą wprost przyjemność. Ułożyłem się beztrąsko na plecach, wchłaniając mdły zapach leczniczej siarki, promieniującej błogim ciepłem po całym ciele. Wielobarwne światła błyszcząły nade mną jak gwiazdy. Nad nimi, powyżej sklepienia górskich szczytów, dostrzegłem na niebie blask poprzedzający wschód słońca.

Bill pluskał się w pobliżu, szczęśliwy jak niedźwiedź polarny. Ód strony przebieralni damskich ukazała się Janet. Miała na sobie kostium kąpielowy z rybich łusek, z którego zrezygnowała Lorraine. Skoczyła do wody i podpłynęła do nas. Wyglądała jak nieco przerażona, fosforyzująca poczwara wypływająca z głębiny.

Po chwili wyszła Iris z Fleur i Lorraine. Wszystkie były w spokojnych, ciemnych kostiumach kąpielowych. Skoczyły do wody i zaczęły wyprawiać różne szaleństwa, dopóki nie stało się coś z górą kostiumu Fleur. Wtedy Lorraine i Janet chichocząc głośno, pomknęły z nią szybko do przebieralni. Iris, Bill i ja zostaliśmy sami w basenie.

Tymczasem nadjechał drugi samochód. Wysiadła z niego Mimi i jako jedyna kobieta udała się lekkim krokiem niczym sylfida do damskiej garderoby. Męskie przebieralnie zaczęły rozbrzmiewać tupotem nóg, urywkami rozmów, a nawet fałszywie nuconą śpiewką „Nie majak góry”. Towarzystwo ożywiało się.

Iris i ja przybieraliśmy właśnie nonszalanckie pozy w najpłytszej i najcieplejszej części basenu, gdy nagle wszystkie światła w alejce zgasły. Iris chwyciła mnie za rękę. Wokół nas rozległy się w ciemnościach pomruki niezadowolenia. Ktoś krzyknął. A potem dobiegł nas wesoły, cienki głos Lorraine: — Kochani, spaliły się bezpieczniki. Czy to nie wspaniałe? O wiele zabawniej jest w ciemnościach. Niech nikt nie usiłuje ich naprawiać. Zaraz ukaże się księżyc.

Usłyszałem plusk wody, przede mną zamajaczyło coś jaśniejszego, a po chwili usłyszałem kolejne pluśnięcia. Najwidoczniej wszyscy zgodzili się z opinią Lorraine, że w ciemności jest zabawniej. Sam musiałem przyznać, że to pływanie w ciepłej, przyjemnej wodzie w nieprzeniknionych ciemnościach miało swój urok.

Wszyscy zaczęli się nawoływać. Słysząc było podniecone i piskliwe okrzyki kobiet. Straciłem zupełnie kontakt z Iris i płynąłem na ślepo. Każdy z nas zderzał się od czasu do czasu z innym, gorącym i mokrym ciałem. W pewnym momencie usłyszałem głos Chucka Dawsona:

— Lorraine, dziecino. Czy to ty?

I Lorraine odpowiadająca: — Tak, kochanie. Czy to nie zabawne?

Pływałem dalej. Znów zderzyłem się z kimś. Wyciągnięte ręce ścisnęły mnie za ramię. — Chuck — szepnęła do mnie Mimi. — Szukałam cię cały czas. Boję się. Boję...

— Nie jestem Chuckiem — odparłem. I szybko odpląnałem, żeby oszczędzić jej krepującego zażenowania.

Po jakimś czasie ciepła woda i przedłużająca się ciemność stały się nie do zniesienia. Jediną widzialną rzeczą był promienisty blask na niebie. Pływając na plecach, obserwowałem coraz wyraźniejsze światło księżycy. Po chwili jego tarcza wyskoczyła na niebo jak fajerwerk. Znów można było widzieć topole i jasne kontury przebieralni. Na wodzie ukazała się srebrna smuga. Teraz byłem w stanie dostrzec nawet podskakujące na powierzchni głowy. W ciągu tych kilku sekund ciemność rodem ze Styksu przemieniła się w krainę czarów.

Zauważyłem Iris i podpląnałem do niej.

Chuck i Lorraine płynęli w naszym kierunku kraulem. Lorraine robiła wrażenie zaniepokojonej.

— Za gorąco — stwierdziła. — Wyjdźmy stąd, nim się ugotujemy.

Znaleźliśmy się przy schodkach. Pierwsza wspięła się do góry Lorraine. Za nią podążył Chuck. Potem Iris i ja. Miałem ochotę na papierosa.

— Tu jest taki barek — oświadczyła Lorraine. Po chwili krzyknęła w stronę basenu: — Wyskakujcie, aniołki! Chodźcie się napić.

Goście ruszyli do nas, rozbryzgując wodę. Pierwszy pojawił się Kochanek pomagając Billowi Flandersowi wejść po stopniach na górę. Następna była Mimi. Wyszła z basenu obejmując w pasie Fleur.

Wyckoff wyszedł z wody na drugim końcu basenu i szedł wolno w naszym kierunku. Natomiast hrabia Laguno, ośmielony faktem, że nikt nie zwracał na niego uwagi, wdrapał się z rozbiegu na kamienne obramowanie tuż przy nas.

Lorraine powiodła wzrokiem dokoła i spytała: — Wszyscy są?

— Bez Janet — odezwała się Fleur. — Gdzie jest Janet?

— Janet! — powtórzyła spokojnie Lorraine. — Janet, wychodź z basenu.

Nie było odpowiedzi. Puls mój zaczął bić szybciej. Rzuciłem okiem na błyszczącą w świetle księżyca powierzchnię wody. Nic nie mąciło spokojnej toni.

— Janet! — krzyknęła teraz Mimi. — Janet, gdzie jesteś?

— A może wyszła z basenu przed pokazaniem się księżyca? Może jest w przebieralni — podsunęła Iris, chwytając za ramię Lorraine. — Chodź, poszukamy jej.

Po chwili obie pobiegły wzdłuż basenu, znikając w domkach. Reszta osób stała w miejscu, coraz bardziej zaniepokojona tajemniczym zniknięciem Janet. Tylko dwie kobiety wciąż rozpaczliwie nawoływały:— Janet!... Janet!...

Nagle Chuck skoczył do basenu. To był znak dla pozostałych. Jedno po drugim rzuciliśmy się za nim. Nikt nie wypowiedział słowa. Mimi przepłynęła koło mnie. Oczy Laguno lśniły jasnym blaskiem, gdy rękami i nogami przebierał w wodzie. Nawet Bill Flanders znów znalazł się w basenie, prując wodę silnymi ramionami.

Miało się wrażenie, że światło księżyca jest teraz tak jasne, iż przekracza granice ludzkiej wytrzymałości. Coś zaszumiało koło mnie. Ale było to tylko pluśnięcie wody. Po chwili doleciało znowu wołanie Lorraine i Iris.

Nagle w drugim końcu basenu dał się słyszeć przeraźliwy krzyk kobiety. Po głosie poznałem Fleur Wyckoff.

— Janet... jest tutaj! Widzę ją... jest pod wodą... utopiła się!

CZEŚĆ TRZECIA

FLEUR

8.

Fleur Wyckoff przestała krzyczeć. Nastąpiła krótka, złowroga cisza, a potem wszyscy nagle ożyli. Rozbryzgując ramionami wodę każdy chciał szybko dopłynąć do Fleur. Ja miałem najdłuższy odcinek do pokonania. Ciemne głowy osób znajdujących się przede mną zaczęły tworzyć pierścień wokół Fleur. W świetle księżyca wyglądały groteskowo... same głowy unoszące się na ciemnej i gładkiej jak lustro tafli wody.

W końcu dotarłem do nich.

Głębokość w tym końcu basenu wynosiła przynajmniej trzy metry. Każdy kręcił się w miejscu, mówił coś do pozostałych i czekał na rozwój wypadków. A w środku tego pierścienia Fleur powtarzała coś płacziwym, przyciszonym głosem. Podpłynąłem do niej. Chuck Dawson, poruszając się w wodzie z taką łatwością jak foka, zatoczył łuk w moją stronę.

— Gdzie ona jest, Fleur? — spytałem. — Gdzie ją pani spostrzegła?

Chwyliła mnie kurczowo za ramię.

— Tam, pod wodą. Widać jej kostium. Błyszczą się...

Rzuciłem okiem. Miała rację. Na dnie migotało coś srebrnego, odbijającego się w świetle księżyca.

— Nurkujemy, poruczniku — odezwał się Chuck.

Dał nurka do wody. Jego silnie zbudowane nogi zatrzepotały w górze i zniknęły z pola widzenia. Uczyniłem to samo.

Dziwne wrażenie sprawiało to nurkowanie w ciepłej wodzie, aby dotrzeć do tego błyszczącego przedmiotu, który mógł być wszystkim, ale ja wiedziałem, że to musi być ciało Janet Laguno. Miałem cały czas oczy otwarte. Na skutek zawartości siarki w wodzie, zaczęły mnie szczypać.

Ręce trzymałem wyciągnięte przed siebie. Nagle moja dłoń natknęła się na coś gładkiego i masywnego. To była ręka.

Ścisnąłem ją mocno obiema dłońmi w okolicy ramienia. Chuck znalazł się po drugiej stronie. Poruszając nogami, zaczęliśmy unosić do góry bezwładną postać kobiecą. Gorąca woda była tutaj jak klej, niemal oblepiała nas. W końcu uwolniłem się od niej, mogłem normalnie odetchnąć.

Odgarnąłem mokre włosy z piekących oczu. Twarz Chucka znajdowała się niedaleko mojej. Spojrzałem na niego. Następnie przeniosłem wzrok na postać znajdującą się pomiędzy nami.

Pod wodą nie wyglądała jeszcze tak kiepsko; naszą uwagę koncentrowaliśmy zresztą wtedy na wydobyciu jej, lecz teraz, gdy spojrzałem na nią, unosząc się bezwładnie na wodzie, ogarnęło mnie przerażenie. W świetle księżycy twarz Janet Laguno była szarzielona. Jej otwarte usta miały jakiś zagadkowy i głupkowaty wyraz. Włosy, zawsze tak trudne do utrzymania w porządku, ułożyły się na powierzchni wody w poskręcanych lokach.

Chuck, z trudem łapiący powietrze, wymamrotał:

— Schodki. Za nami. Zabierzmy ją na schodki.

Wszyscy pierchnęli na boki jak niezdarne, przestraszone kaczki. Ostatecznie Chuck i ja przenieśliśmy Janet na schodki, następnie pociągnęliśmy ją do góry i położyliśmy na chłodnym, kamiennym obramowaniu.

Z przebieralni biegły w naszym kierunku Lorraine i Iris.

— Peter, co się stało? — zawołała Iris.

A Lorraine spojrzała tylko i wydała okrzyk przerażenia. Wszyscy stłoczyli się wokół Janet. Ciała były rozgrzane i mokre po kąpielu w basenie.

— Cofnijcie się! — krzyknąłem.

Jeden z mężczyzn, mający na sobie ciemne spodenki kąpielowe, przebiegł się do mnie. Był to David Wyckoff.

— Pozwoli pan, że spojrzę na nią, poruczniku — odezwał się. — Lorraine, proszę o kilka koców z przebieralni. Trzeba ją rozgrzać.

Za Lorraine pobiegli inni. A Wyckoff ukląkł i rozluźnił z przodu kostium Janet. Po chwili Lorraine, Iris i Kochanek przybiegli pędem z powrotem, niosąc koce, poduszki i kilka ciepłych rzeczy. Wyckoff podsunął coś pod Janet, następnie okrył ją i zaczął robić sztuczne oddychanie.

Chuck i ja staliśmy niezdecydowani. W końcu Chuck powiedział:

— Lorraine, zabierz stąd wszystkich. Nic tu nie pomogą. Niech się ubiorą. Potem zaprowadź ich do baru i daj coś do picia. Tu nie powinni się teraz kręcić.

Po chwili dał się słyszeć tupot oddalających się mokrych stóp. Przy brzegu basenu oświetlonego blaskiem księżyca pozostały tylko trzy osoby. Chuck zwrócił się do mnie:

— Pan również może odejść, poruczniku. Kiedy Wyckoff się zmęczy, wyręczę go.

— Dziękuję — odparłem — ale wolę zostać.

Poprzedniego dnia, gdy zmarła Dorothy, to właśnie oni — Wyckoff z Chuckiem — załatwiali wszystko. Nie miałem już do nich zaufania.

Chuck spojrział na mnie ze zdziwieniem, wzruszył ramionami i odwrócił się do Wyckoffa, który pracował w ponurej ciszy. Po jakimś kwadransie Chuck zajął jego miejsce. Później ja wyręczyłem Chucka, a mnie z kolei odciążył Wyckoff. Zmienialiśmy się tak ponad godzinę. Iris przyniosła nam płaszcze kąpielowe — po ciepłej kąpielu w basenie szybko poczuliśmy zimno.

W końcu Wyckoff podniósł się.

— Nic z tego — stwierdził. — Nie przywrócimy jej życia. Ona jest martwa.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się niczego innego.

— Zanieśmy ją do którejś z przebieralni, będziemy mogli dokładniej ją tam obejrzeć — dodał Wyckoff.

We trzech zanieśliśmy ją do najbliższej chatki i położyliśmy na kanapie. Przebywaliśmy przez dłuższy czas przy świetle księżyca, teraz światło elektryczne wydawało się wprost oślepiające. Padało na sino-szarą skórę, szklane oczy i poplątane mocno włosy Janet Laguno.

Przypomniały mi się nagle jej słowa, wypowiedziane dziś wczesnym wieczorem: *Nie martwcie się. Na pewno nic mi się nie stanie. Poczwarą nigdy nie cieszyła się tak dobrym zdrowiem jak obecnie.*

Nie martwcie się!

Wyckoff, z głębokimi bruzdami na twarzy, dokonywał oględzin obnażonych rąk i nóg. Nie wypowiedział przy tym ani słowa. Było rzeczą zrozumiałą, że szukał jakichś zadrapań, które mogłyby wskazywać na walkę stoczoną z kimś przez Janet.

Według mnie, żadnych takich śladów nie było.

Potem Wyckoff odsunął się od kanapy, zdjął płaszcz kąpielowy i położył go na zwłokach Janet.

— Muszę się czegoś napić — stwierdził sucho. — Chodźmy do tego baru.

Po włożeniu ubrań spotkaliśmy się ponownie. Chuck poprowadził nas wzdłuż oświetlonego blaskiem księżyca basenu w kierunku parterowego domku. Chuck i Wyckoff szli blisko siebie, jakby istniało między nimi jakieś tajemnicze porozumienie. Zrównoważony, znany kardiolog z wielkiego miasta i zagadkowy twardy człowiek z Nevady stanowili niezbyt odpowiednią parę. Wiele bym dał, by poznać teraz ich myśli.

Weszliśmy do luksusowego, nowoczesnie urządzonego baru, który mógł powstać obok basenu kąpielowego tylko dzięki milionom Lorraine i jej szalonym pomysłom. Reszta towarzystwa też już tu była. Na kominku ogień płonął jasnym płomieniem. Długą kanapę zajmowały stłoczone Lorraine, Iris, Fleur i Mimi Burnett, jakby takie bliskie sąsiedztwo miało im pomóc. Bill Flanders siedział sztywno w szarym fotelu. Jego kula stała oparta obok. Kochanek, jak ponury barman, usadowił się na taborecie za oszklonym bufetem w kształcie półksiężyca. Natomiast Stefano Laguno najwyraźniej nie zdający sobie sprawy z wrogości otoczenia, spacerował tam i z powrotem. Jego sylwetka odbijała się w ciemnych zwierciadłach zawieszonych na ścianach.

Wszyscy pili jakieś trunki.

Nikt się nie odezwał, gdy we trzech weszliśmy do baru i przygotowaliśmy sobie whisky z wodą sodową. Iris wyczuła mój wzrok na sobie. Przytłumionym głosem zapytała:

— Peter, ona... ona nie żyje?

— Niestety, nie żyje — odparłem.

Hrabia Laguno podszedł do Wyckoffa z lekkim uśmiechem na ustach, który mógł oznaczać zarówno zażenowanie, jak i bezczelność.

— A więc, doktorze — odezwał się — jakie jest pańskie orzeczenie tym razem? Utopiła się, czy została zamordowana!

Jego oczywisty cynizm podziałął jak trzaśnięcie z bicia. Fleur Wyckoff splotła gwałtownie drobne ręce i utkwiała wzrok w mężu. Pozostałe osoby były również wstrząśnięte. Wyckoff starał się nie dostrzegać przerażonych oczu żony.

Po chwili odezwał się spokojnym głosem:

— Porucznik Duluth i Chuck dokonali wspólnie ze mną oględzin zwłok pańskiej żony, hrabio. Sądzę, iż zgodzą się ze mną, że na zwłokach nie było żadnych widocznych śladów walki.

Uśmiech Stefano stał się teraz bardziej naturalny.

— Co za ulga dla nas wszystkich — rzucił przeciągle. — A zwłaszcza dla mnie. Całe szczęście, że Janet, po odczytaniu listu, nie wezwała policji, inaczej znalazłbym się w bardzo niewygodnej sytuacji. — Zawahał się, po czym dodał: — Niemniej jednak, byłem na tyle przezorny, że wśliznąłem się do przebieralni i wyciągnąłem go z jej torebki. — Mówiąc to, wyjął z górnej kieszeni ekstrawaganckiej sportowej marynarki list do Dorothy, którego treść zawierała między innymi projekt pozbycia się żony. — A ponieważ nikt z wyjątkiem mojej żony nie czytał osobiście tego listu, nie będzie więc mógł potwierdzić jego treści. — Podczas gdy obserwowaliśmy go w napiętym milczeniu, podszedł szybkim krokiem do kominka i rzucił list w płomienie.

— Teraz jestem czysty. — Odwrócił się do nas, wciąż się uśmiechając. — Obecnie, gdyby nawet spotkały mnie jakieś przykrości, nie będę wyraźnie podejrzany, pomijając może tylko fakt bycia jedynym spadkobiercą nieszczęsnej Janet. Choć to raczej normalne, że mąż dziedziczy majątek po zmarłej żonie.

Spojrzałem na twarze znajdujących się w barze osób. Zorientowałem się, co w tej chwili myśleli o Stefano Laguno. Z zapożyczonym od niego ironicznym uśmiechem zwróciłem się więc do hrabiego:

— Mam nadzieję, że nie zamordował pan swojej żony. Gdyby tak było, to obawiam się, że trudził się pan niepotrzebnie. Proszę przyjąć do wiadomości, że dziś wieczorem Janet sporządziła nowy testament. Moja żona i ja poświadczylimy go własnymi podpisami. I wynika z niego, że panu nie zostawiono ani centa.

Zuchwały wyraz zniknął z jego twarzy natychmiast. Stała się ona kredowo biała.

— Janet... — zdołał tylko wykrztusić.

— Tak — potwierdziłem. — Sporządziła nowy testament. Wspólnie z żoną schowaliśmy go w bezpiecznym miejscu. Jestem pewien jego ważności pod względem prawnym. Janet zapisała wszystko Billowi Flandersowi.

Wdowiec po Dorothy obrócił się w fotelu. Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Twarz Flandersa była bez wyrazu.

— Mnie? To niemożliwe. Ja jej prawie nie znałem. Ja...

— Wiem o tym — odparłem. — Janet uznała jednak, że Dorothy i Stefano swym nikiżemnym postępowaniem wyrządzili panu taką samą krzywdę jak jej. Uważała, że przekazując panu cały majątek, doprowadzi męża do ruiny. I wydaje się, że miała rację. — Zwróciłem się do kompletnie załamanego hrabiego. — Oczywiście nie sądziła, że tak szybko spotkają śmierć.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Mimi całkowicie zapomniała o zachowaniu pozy zakochanej w przyrodzie i sztuce. Jej ruchliwe oczy przeskakiwały z twarzy na twarz, jakby obserwowała szybko rozgrywany mecz w ping-ponga. W końcu to Lorraine rozładowała nastrój.

— Ależ, moi drodzy, po co ta cała rozmowa? Czy ma to teraz znaczenie, kto otrzyma pieniądze biednej Janet? David stwierdza, że ona... ona utopiła się. — Czy jej błyskały spod długich rzęs, rozpaczliwie usiłowała pomóc sobie w znalezieniu odpowiednich słów, byśmy mogli lepiej ją zrozumieć. — Przepalił się bezpiecznik. To się zawsze może zdarzyć. Nad basenem było kompletnie ciemno. Coś musiało się jej stać, mogła doznać skurczu, czy czegoś w tym rodzaju. Woda jest tu ciepła, chyba nawet zbyt ciepła. Ja sama nieraz poczułam się w niej słabo. Może i ona zasłabła. Wołała o pomoc, ale nie zwróciliśmy na to uwagi, bo krzyczeliśmy do siebie i śmialiśmy się głośno.

To jest, oczywiście, straszne. Niedawno Dorothy, a teraz biedna Janet. Hrabia jest okropnym człowiekiem i chyba wyproszę go ze swego domu. Cieszę się, że nie otrzyma pieniędzy Janet. Jak dobrze, że ona sporządziła ten testament. Ja także chcę spisać testament, gdy tylko przybędzie pan Throckmorton. Ale nie to jest teraz ważne. Ważne jest, że biedna Janet nie żyje, że znów zdarzył się wypadek.

— O tym zadecyduje policja, Lorraine — odezwałem się.

Wyckoff i Chuck Dawson przysunęli się bliżej siebie. Wszyscy odwrócili się i utkwili we mnie wzrok, jakbym był ich wrogiem.

— Policja? — Lorraine ścisnęło coś w gardle. — Ależ, Peter, skarbie, David mówi... Czyżbyś nie miał zaufania do Davida?

— Tu nie chodzi o zaufanie do kogoś — odparłem. — O wszelkich wypadkach, które kończą się śmiercią, należy bezwzględnie zawiadomić policję. Policja musi przeprowadzić śledztwo. Zresztą Chuck wyjaśni ci to.

Narzęcony Lorraine obserwował mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

— Na pewno. Oczywiście — potwierdził. Zerknął na Kochanka siedzącego za bufetem. — Wykręć numer. I wezwij tych z Genoa. Mają najbliżej. Zresztą wydaje mi się, że podlegamy kompetencji władz sądowych tego miasta.

Kochanek starał się dodać sobie odwagi i wymamrotał ulubiony zwrot: „Oczywiście, że tak”. Potem połączył się z policją, objaśnił zdawkowo, co się stało, i odłożył słuchawkę.

— Zaraz przyjadą — powiedział, po czym nalał sobie whisky.

Nastąpiło ponure i przedłużające się w nieskończoność oczekiwanie. Nikt się nie odzywał. Od czasu do czasu ktoś podchodził do bufetu i przyrządzał sobie drinka. Zastanawiałem się, jak byśmy się zachowywali stanowiąc grupę zwyczajnych osób, z których jedno utopiło się nagle w basenie kąpielowym. Z pewnością nie tak.

Naszą dziesiątkę trudno też było nazwać zwyczajnymi osobami. Stanowiliśmy grupę powiązaną teraz powikłanym łańcuchem podejrzeń i obaw — z tuzina zmniejszoną do dziesięcioosobowego składu.

Oczywiście Janet mogła utopić się zupełnie przypadkowo. Prawnie sprawa ta nie nasuwała żadnych uzasadnionych podejrzeń, w przeciwieństwie do wypadku z Dorothy — pomijając ciemny charakter męża Janet i nieprawdopodobny zbieg okoliczności naturalnej śmierci dwóch kobiet w ciągu dwóch dni. Ja jednak byłem przekonany, że Janet została zamordowana. Ktoś rozmyślnie spowodował spięcie w przewodach elektrycznych, aby w kompletnych ciemnościach trzymać głowę Janet w wodzie tak długo, aż spowoduje jej śmierć. Kto to zrobił i dlaczego, nie wiedziałem, podobnie jak nie wiedziałem, kto i w jaki sposób zamordował Dorothy. Janet lubiłem, więc byłem zdecydowany poświęcić się wykryciu mordercy nawet w przypadku, gdyby mój cenny urlop został całkowicie przez to zakłócony.

W obecnym stanie rzeczy nie mogłem jeszcze wszystkiego zrozumieć, bo nie miałem dowodów. W takich warunkach, gdybym oświadczył policji, że sprawa pachnie morderstwem, zrobiłbym z siebie skończonego durnia. Policja powinna przeprowadzić dochodzenie. Jeżeli stwierdzi, że to tylko nieszczęśliwy wypadek i wyniki śledztwa to potwierdzą, wówczas zrobimy z Iris wszystko, co będzie w naszej mocy, aby wyjaśnić władzom, dlaczego ośmioro rozsądnych, cieszących się szacunkiem osób zawarło ciche porozumienie i kpi sobie ze sprawiedliwości.

Bo moim zdaniem tak właśnie to wyglądało.

Wreszcie przybyła policja. W trzyosobowym składzie, z przedstawionym nam przez Chucka sierżantem Davisem — niskim mężczyzną o wyjątkowo bystrym spojrzeniu. Chuck i Wyckoff zabrali ich od razu do zwłok Janet. Przebywali tam dosyć długo. Kiedy wrócili po dokonaniu oględzin, sierżant nie stwierdził nic podejrzanego. Wiedział o śmierci Dorothy poprzedniego wieczoru i określił to jako nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Po kilku szczegółowych, stereotypowych pytaniach do każdego z nas i po odnotowaniu w notatniku odpowiedzi, oświadczył, że przekaże raport swemu zwierzchnikowi, który prawdopodobnie zarządzi przeprowadzenie śledztwa następnego dnia rano. Dodał, że jedynie Laguno, jako mąż zmarłej, oraz Chuck i Wyckoff będą potrzebni na policji. Rozumiał, że panna Pleygel i Iris Duluth nie chcą rozgłosu, i obiecał, że uczyni wszystko, aby sprawić jak najmniejszy kłopot podczas wykonywania przykrych obowiązków służbowych.

— Szczerze mówiąc — powiedział nam na zakończenie — byłem w pewnym sensie zaskoczony, gdy dowiedziałem się o śmierci drugiej damy. Jeżeli pani Laguno umiała dobrze pływać, to będziemy musieli głębiej się nad tym zastanowić. Jednak w takim chaosie, ciemnościach, mogło się zdarzyć, że straciła orientację, siły, poszła na dno i... — Zawahał się i zwrócił do Wyckoffa, stojącego w milczeniu ze spuszczoną głową. — Jak powiedział pan, doktorze, leczył pan ją we Frisco, a i pańska małżonka przyjaźniła się z nią. Pana zdaniem denatka nie była też zbyt dobrą pływaczką... — Przeniósł wzrok na Laguno. — Czy to prawda?

— Tak, to się zgadza — odpowiedział szybko Laguno. — Moja żona kiepsko pływała.

Bystre oczy sierżanta przeniosły się teraz na Fleur.

— Czy pani może to potwierdzić, pani Wyckoff?

Fleur utkwiała wzrok w swym mężu. Odnosiło się wrażenie, że nie wie, co powiedzieć. Po chwili wahania odezwała się: — Tak, mój mąż był lekarzem Janet. A ja znałam ją od lat.

— I naprawdę słabo pływała?

Twarz Fleur stała się bardzo blada. Zastanawiała się jakiś czas, po czym odparła: — Nie, nie przypuszczam, by Janet dobrze pływała.

Po chwili sierżant wyszedł, zabierając ze sobą Wyckoffa i Chucka. Wszystko odbyło się tak spokojnie, jak się spodziewałem.

— No to po wszystkim. — Lorraine wstała, by nalać sobie kolejnego drinka. — Wiecie, co ja myślę? Ten sierżant mówił bardzo rozsądnie i zna się na prowadzeniu dochodzenia. Skoro uznał, że wszystko jest w porządku... — Odwróciła się do Fleur, z niewinnym spojrzeniem. — Fleur, aniołku, pewna sprawa powoduje jednak zamęt w mojej głowie. Czy można zapomnieć, jak się pływa? Nie pamiętasz już, kochanie? Gdy Janet była dziewczynką, zawsze zdobywała nagrody i puchary. Była mistrzynią szkoły w pływaniu...

Przez moment Fleur stała sztywno wyprostowana, spoglądając bezmyślnie przed siebie.

A potem, jak kukielka, której obcięto sznurki, upadła bezwładnie na podłogę.

9.

Mimi, jak duszek leśny po kursie pierwszej pomocy, starała się ocucić Fleur. Gdy pani Wyckoff oprzytomniała, cichym głosem zauważyła, że w pokoju jest bardzo gorąco. I dodała, że przegrzane pokoje zawsze doprowadzają ją do omdlenia. Wszystko to było jednak mało przekonujące.

Lorraine zaczęła zbierać wszystkich, by wyruszyć w powrotną drogę do domu. Iris i ja oznajmiliśmy wtedy, że chcemy się trochę przejść. Gdy pozostałe osoby odjechały samochodem, ruszyliśmy pieszo alejką zacienioną topolami i oświetloną blaskiem księżyca.

Żona wsunęła mi rękę pod ramię.

— No to się namieszało, prawda, Peter?!

— I to nieźle — przyznałem.

— Chciałam krzyknąć do tego policjanta, żeby wysilił trochę mózg, ale nic by to chyba nie dało. Janet została zamordowana, to oczywiste. A najgorsze, że wszyscy stoją po stronie mordercy. Nawet Lorraine. Może tylko nie zdaje sobie z tego sprawy, przez ten szalony optymizm życiowy. Peter, to wszystko jest bezsensowne. Biedaczka została zamordowana tak łatwo, tak zręcznie i tak banalnie. Nie mogę zrozumieć, komu zależało na jej śmierci i dlaczego.

— Na pewno Laguno. Nie wiedział, że sporządziła nowy testament. Jego twarz to wyrażała, gdy mu oznajmiłem tę smutną wieść.

— Masz rację. Dziś po południu zakładaliśmy, że Laguno z Dorothy

planowali zabójstwo Janet, a przez pomyłkę zginęła Dorothy. Ale myślałam potem nad tym. Rano ewidentnie uznano zgon Dorothy w wyniku ataku serca. Laguno jako jedyny z naszego grona wysunął hipotezę morderstwa. Tylko idiota wskazałby na to, gdyby wcześniej sam ją zamordował, a do tego jeszcze planował śmierć Janet.

— A może to Bill Flanders — podsunąłem. — Miał poważny powód, aby zamordować Dorothy i skorzystał z dobrodziejstw testamentu Janet. Może Janet powiedziała mu o tym nowym testamencie i...

— Ależ, kochanie, Bill Flanders nie mógł zamordować Janet. On jedyny był przy nas w basenie, kiedy zgasły światła. Nie mogło tam chyba być dwóch morderców. Ten, kto wyłączył światła, zamordował i Janet.

— A może bezpieczniki spaliły się przez zwykły przypadek i ktoś po prostu skorzystał z ciemności...

Iris ścisnęła moją rękę.

— Nie bierz pod uwagę przypadków, kochanie. Nie oszukuj się.

— Dobrze, no to przejdźmy teraz do Wyckoffa i Chucka. Tak pokierowali sprawą, żeby śmierć Dorothy nie wzbudzała podejrzeń. W podobny sposób postąpili z Janet dziś wieczorem. Tylko nie widzę związku pomiędzy nimi a Dorothy, a teraz i Janet.

— Dorothy i Janet były pacjentkami Wyckoffa w San Francisco. Możliwe, że to taki lekarz-wampir, jak na filmach, co morduje swoje pacjentki!

— To raczej ohydny sposób zarabiania na życie. A w przypadku śmierci Janet klucz do zagadki stanowi pływanie. Sierżant policji na pewno zareagowałby inaczej, wiedząc, że Janet była mistrzynią w pływaniu. To Wyckoff podał, że Janet słabo pływała. A Laguno to potwierdził. Laguno skłamał, bo bał się o swoją skórę. Ale Fleur...

— Właśnie. Fleur wiedziała, że Janet umiała pływać, a jednak jej matkę, śliczną usteczka skłamały. Gdy Lorraine nadmieniła o tym, Fleur zemdlała. Nie dowierzałem jej od samego początku. Niby cichutka jak myszka i tylko zerka dookoła, czy ktoś nie zastawił jakiejś pułapki. A z mężem obchodzi się tak, jakby w ogóle nie istniał. Skoro Janet była jej przyjaciółką, dlaczego skłamała? Aby pomóc mordercy swej przyjaciółki?

— A dlaczego każdy z nich kłamie, dlaczego ukrywa mordercę?

Iris westchnęła.

— Och, Peter, to jest beznadziejne. Nic z tego nie wynika.

Zbliżyliśmy się do zakrętu drogi i czas jakiś nie odzywaliśmy się do siebie. W świetle księżycy patrzyłem na wspaniałą profil mojej żony. Poczulem nagle wielką ochotę zabrać ją stąd na taki zwyczajny urlop, jak mąż z żoną.

— Kochanie, a może wyjedźmy? — podsunąłem. — Mimo wszystko twoja kariera gwiazdy filmowej może być tu narażona i...

— Bądź rozsądny, Peter! — Obróciła się do mnie gwałtownie. — Lubiśmy przecież Janet. Jej morderca musi zostać wykryty, inaczej nie dałoby to nam spokoju... — Zawahała się. — A w dodatku te dwie kobiety zostały zamordowane w ciągu dwóch dni! Kto wie, czy coś jeszcze się nie zdarzy?

— Dobrze, dziecinko — powiedziałem. — Zostajemy.

Chwyliła moją dłoń i uściśnęła.

— Gdybyśmy tylko mieli coś konkretnego, żeby zacząć — westchnęła znowu.

— Może to włamanie do pokoju Dorothy. Wiemy, że było. Ale nie wiemy, kto go dokonał...

— Nie wiemy też, czy zatrutą strzałę zabrano z tamtej sali, czy nie. Gdyby upewnić się, że została stamtąd skradziona... Peter, ja nie widziałam tej gąbki. Chodźmy tam teraz, może coś nowego wpadnie nam do głowy...

Kiedy weszliśmy do ogrodu, cały parter tego wariackiego przybytku Lorraine tonął niemal w kompletnych ciemnościach. Światła w oknach na piętrze wskazywały, że goście szykowali się do spania. Wśliznęliśmy się do pokoju stołowego przez oszklone drzwi i potem korytarzem ruszyliśmy prosto do sali z trofeami. Tu również było ciemno. Zapaliłem światło. Widok zawieszonych na ścianach łbów zwierząt sprawiał niesamowite wrażenie. Różne zebry, niedźwiedzie i krokodyle lypały na nas szklanymi oczami, gdy szliśmy w kierunku gąbki z dmuchawkami i strzałami znad Amazonki. Olbrzymia lalka Lorraine siedziała jak na tronie, spoglądając na nas bezmyślnie i uśmiechając się głupkowato. Spojrzałem na trzy grupy strzał poukładane w kształcie wachlarzy. Na ich ostre groty nałożona była lepka czerwonawo-brunatna trucizna.

— Zobacz — powiedziałem do Iris — pierwsze dwa wachlarze mają po sześć strzał. Natomiast trzeci...

Zaniemówiłem, czując się głupio. Trzeci wachlarz, który wczoraj wieczorem zawierał tylko pięć strzał, miał ich obecnie sześć. Nie mogłem tego zrozumieć. Spróbowałem otworzyć gablotę, tak jak wczoraj — teraz jednak zamknięta była na klucz. Iris popatrzyła i spytała niepewnym głosem:

- Peter, czy ty się nie pomyliłeś?
- Oczywiście, że nie. Ktoś musiał dołożyć szóstą strzałę dzisiaj.

Utkwiłem wzrok w wachlarzu z sześcioma strzałami. Końcówka każdej powleczonej była czerwonawą substancją.

— Strzała była na pewno skradziona — upierałem się. — A to, że na grocie każdej z nich jest trucizna, oznacza tylko, że nie skorzystano z kurary. Chociaż... — Pochyliłem się nad gablotę. — Spójrz na drugą strzałę od lewej strony. Substancja na grocie tej strzały ma nieco inną barwę, prawda? Jest bardziej czerwona i jakby świeższa.

— Masz rację, Peter, teraz mamy pewność. Dorothy została otruta kurarą. — Iris odwróciła się do mnie. — Gdybyśmy mogli jeszcze dowiedzieć się nieco więcej o kurarze, jak ona działa i... Kochanie, zajrzyjmy do biblioteki. Lorraine powinna mieć jakąś encyklopedię. Chodźmy.

Pospieżyliśmy do biblioteki. Lorraine miała bardzo osobliwy wybór książek. Wśród nich znaleźliśmy jednak i encyklopedię. Niecierpliwie odczytaliśmy tekst o kurarze. Wynikało z niego, że kurara pochodzi z rośliny zwanej *Strychnos ignatii*. Ma trujące działanie. I co zwróciło moją uwagę: Po wstrzyknięciu kurary pod skórę śmierć następuje w ciągu dziesięciu do piętnastu minut. Jednak porażenie mięśni następuje o wiele szybciej. Już po trzech minutach dla ofiary otrutej kurarą nie ma ratunku.

— Po trzech minutach! — wykrzyknąłem. — A więc ktoś musiał ukłuć Dorothy strzałą lub jakąś igłą z nałożoną na jej czubek kurarą na trzy minuty przedtem, nim zemdląca w moich ramionach na parkiecie. Prawdopodobnie wówczas jeszcze żyła. Umarła wtedy, gdy przenosiliśmy ją do biura.

Iris utkwiała wzrok we mnie.

— Tańczyłeś z nią jakieś trzy minuty — stwierdziła. — To znaczy, że ktoś na parkiecie musiał wstrzyknąć jej kurarę. Nie przypominasz sobie, kto tańczył blisko ciebie?

Cofnąłem się myślami wstecz.

— Lorraine ze swoim południowoamerykańskim znajomym kilkakrotnie kręcili się blisko nas — odezwałem się po namyśle. — Jestem

jednak niemal pewny, że żadne z nich nie dotknęło Dorothy. Ani nikt inny. W każdym razie nie mógł to być nikt z naszego towarzystwa.

— Co oznacza, że musiało się to stać tuż przed pójściem na parkiet. Kto siedział przy niej?

Uśmiechnąłem się słabo.

— Ja siedziałem po jednej stronie, a ty po drugiej. Później, gdy poszłaś tańczyć z Laguno, siedział przy niej Kochanek, ale dość daleko. Nawet nie zwracał na nas uwagi. Rozmawiał cały czas z Janet.

— Wzruszyłem ramionami. — Jesteśmy więc genialni. Rozwiązaliśmy zagadkę. Ty albo ja otruliśmy Dorothy... Zaraz zaraz! — Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. — Oczywiście, teraz rozumiem. Tuż przedtem, nim poszliśmy tańczyć, Dorothy ściągnęła z rąk rękawiczki i schowała je do torebki...

Opowiedziałem jej, co się wydarzyło.

— I tak to wyglądało. Nikt nie musiał siedzieć blisko niej, aby ją zamordować. To było naprawdę zręczne. Ktoś przymocował igłę do torebki w taki sposób, że musiała się ukłuć, gdy ją otworzyła. Mój Boże, gdzie jest teraz ta torebka?! Ciekaw jestem, czy Bill Flanders ją ma...

— Nie ma. Myślałam o tej torebce dziś po południu. I spytałam go o nią. Powiedział, że nikt mu jej nie przekazał.

— A może podczas zamieszania pozostała na półce pod stolikiem. Pojedziemy jutro do Reno na pogrzeb. Może ją odnajdziemy.

Oczy Iris błyszczały.

— Wreszcie — uśmiechnęła się — wreszcie coś mamy!

Uradowani takim obrotem spraw, mogliśmy spokojnie iść spać.

Rozważaliśmy wszystko raz jeszcze jakieś pół godziny później, kiedy ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołałem.

Drzwi lekko się uchyliły i ukazała się w nich drobna postać Fleur Wycokoff. Gdy zauważyła, że jesteśmy już w łóżku, najwyraźniej się zmieszała i chciała cofnąć się szybko na korytarz, ale Iris zachęciła ją, mówiąc:

— Proszę wejść. Niech się pani nie krępuje. Proszę usiąść na moim łóżku i zapalić papierosa. I tak nie chce nam się jeszcze spać.

Po chwili wahania Fleur zamknęła za sobą drzwi i podeszła do nas. Miała na sobie długi ciemnoniebieski szlafrok, spod niego ukazywały się

malutkie skórzane pantofle o czerwonym odcieniu. Uśmiechając się lekko, usiadła na brzegu łóżka Iris.

— Nie mogłam zasnąć — powiedziała. — Nie lubię być sama. Zapra-
gnęłam z kimś porozmawiać... chociaż przez chwilę.

Oboje z Iris już gorączkowo myśleliśmy, co mogło być faktycznym po-
wodem jej przyścia, ale staraliśmy się ukryć naszą ciekawość. Iris poczę-
stowała ją papierosem.

— Znam ten ból — przyznała. — Kiedy Peter jest na morzu, odczuwam
straszłą samotność.

Fleur zapaliła papierosa i wypuściła kłęby dymu. Jej dziecięce ręce
drżały z podniecenia. Nie odzywając się, czekaliśmy na to, co powie.

— Strasznie mi żal Janet — odezwała się nagle. — Tak byłam wstrzą-
śnięta tym wypadkiem, że gdy policjant zwrócił się do mnie, to kompletnie
nic nie mogłam sobie przypomnieć. Powiedziałam wówczas, że Janet nie
umiała pływać. — Obdarzyła nas nikłym uśmieškciem, bez powodu, który
zdradzał jej zdenerwowanie. — Oczywiście, wiedziałam, że Janet umiała
pływać. Zdałam sobie z tego sprawę kilka minut później, ale... było już za
późno. I tak mnie to przeraziło, że podobno zasłabłam.

Czy przyszła tylko po to, by nam to powiedzieć? Aby przekazać nam ofi-
cjalną i rzeczywistą przyczynę zemdenia?

Oczy Iris wyrażały współczucie. Wydawało się, że skłania to Fleur do
zwierzeń.

— Jestem naprawdę tym zmartwiona — dodała po chwili. — Ale czy
sądziecie, że podanie temu policjantowi, że Janet umiała pływać, mogło być
aż tak ważne? Nie narobiło to chyba...

— Sądzę, że byłaby to kolosalna różnica — odezwałem się spokojnym,
lecz stanowczym głosem. — Mimo wszystko, czy nie wydaje się to pani
dziwne, że mistrzyni w pływaniu topi się na głębokości trzech metrów,
tylko dlatego, że zgasły światła?

Fleur wyraźnie się zaniepokoiła.

— Pan przypuszcza, że ktoś ją zamordował? I sądzi pan zapewne, że
to ten okropny łotr hrabia?

Uznałem, że trzeba jej to powiedzieć.

— Sądzę, że została zamordowana przez tę samą osobę, która po-
przedniej nocy zamordowała Dorothy Flanders.

Papieros wypadł z drżącej ręki Fleur.

— Ależ Dorothy nie została zamordowana. To ohydne kłamstwo. To ten bezduszny hrabia je uknuł, żeby siebie osłonić. Pan nie powinien w to wierzyć. Dorothy zmarła, bo miała chore serce.

— Czy pani wiedziała, że ona chorowała na serce?

— Oczywiście, że wiedziałam. David... mój mąż leczył ją.

— Mąż pani leczył również Janet, prawda?

— Leczył Janet? Nie. Na pewno nie. Jej nic nie dokuczało. Och, kiedyś, dawno, tak, przychodziła do niego. Janet była naszą dobrą znajomą. Zawsze przychodziła do Davida, gdy czuła się chora.

— Jaka jest specjalność pani męża jako lekarza? — spytałem szybko, nie dając jej czasu na zastanawianie się.

— Davida? To pan nie wie? On jest przecież kardiologiem — odparła prowokująco. — Jednym z najlepszych kardiologów w San Francisco. Może pan sprawdzić w „Książce adresowej lekarzy”.

— Pani mąż dokonał oględzin zwłok Dorothy. Czy mógł z całą pewnością orzec, że zmarła na atak serca?

— Naturalnie.

— A gdyby została otruta, mógłby powiedzieć o tym od razu?

— Oczywiście.

— Nawet tak rzadko spotykaną trucizną jak kurara?

— Tak, oczywiście.

— I poznałby wszelkie objawy związane z otruciem kurarą?

— Bezsprzecznie.

— A więc z łatwością mógłby otruć ją kurarą i oświadczyć, że zmarła na atak serca.

Podziałało to na nią tak silnie, jakbym cisnął w nią jakimś ciężkim przedmiotem. Skurczyła się gwałtownie na łóżku i zakryła twarz ręką. Po chwili poderwała się na równe nogi, szlafrok zawirował wokół niej. Oczy jej błyszczały jak nafosforyzowane.

— A więc podejrzewa pan mojego męża o zamordowanie Dorothy i Janet. Jako lekarz obu tych kobiet skorzystał niby z okazji, by w ten sposób osiągnąć jakieś korzyści? To jest plugawe, wstrętne...

Zrozumiałem, że posunąłem się zbyt daleko. Zauważyła to Iris. Zeszła z łóżka i zbliżyła się do niej.

— Droga Fleur. Peter nie to miał na myśli, ale powinna pani jedną rzecz zrozumieć. Przypuszczamy, że Dorothy i Janet zostały zamordowane. Naprawdę tak myślimy. Czy w takim przypadku może pani mieć nam za

złe, że chcemy się czegoś dowiedzieć? Usiłujemy dociec prawdy. Musimy podejrzewać każdą osobę, próbujemy każdego możliwego sposobu...

Fleur usiłowała uwolnić swoją rękę z uścisku Iris.

— I co wam z tego przyjdzie? Jaka korzyść z tego odniesiecie?

— Fleur, czy pani mogłaby się pogodzić z tym, że ktoś bezkarnie zamordował dwie kobiety i nie zostanie wykryty?

Pani Wyckoff bezradnie wzruszyła ramionami.

— Pewnie, że nie mogłabym się z tym pogodzić. Jeśli uważacie, że... Rozumiem... To jednak przykre. — Znów usiadła na brzegu łóżka. — Czy wszystko, co tu usłyszałam, zamierzacie powtórzyć policji?

— Dopóki się nie upewnimy, nic nie powiemy — zaznaczyłam.

— Możemy się przecież mylić i dlatego na razie nie chcemy robić szumu wokół tych domniemanych zbrodni.

Fleur siedziała zupełnie bez ruchu. Nagle powiedziała:

— Nie przypuszczacie chyba, że chroniłabym za wszelką cenę mojego męża, gdybym uznała, że jest winny? Ostatecznie i tak się z nim rozwodzę.

— Fleur, nie chcę być ciekawska — odezwała się Iris — ale to mogłoby nam pomóc. Dlaczego rozwodzi się pani z mężem?

— Och, to proste. Bo zawsze jest taki zajęty. Pracuje w dzień i w nocy w szpitalu albo w swoim gabinecie. Nigdy go nie widuję. — Podniosła wzrok na nas. Zauważyliśmy, że wargi jej drżą. — Jaki sens ma małżeństwo, gdy żona prawie nie widuje męża?

Obserwowaliśmy ją uważnie.

— Mąż pani znał Dorothy, prawda? Mam na myśli, że znał ją ze spotkań towarzyskich... nie jako pacjentkę.

— Nie! — Słowo to zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. — Nie! Nie znał jej na pewno. Nawet ja się z nią nie widywałam... To znaczy, odkąd opuściłyśmy szkołę.

Spróbowałam na chybił trafił.

— A więc pomyliłam się w swym przypuszczeniu. Myślałam, że pani rozwodzi się z mężem dlatego, że miał romans z Dorothy.

Fleur znowu zerwała się na równe nogi.

— To nieprawda! — krzyknęła.

— Czy jest pani tego pewna?

— Oczywiście, że jestem pewna. — Jej delikatna twarz nagle zaczerwieniła się z wściekłości. — I powiem wam coś jeszcze. Nie wiem, kto

zamordował Dorothy i Janet. Nie przypuszczam nawet, żeby zostały zamordowane. Uważam, że oboje jesteście okrutni, cyniczni, gonicie za sensacją, sprawiając innym przykrość, bo w ten sposób macie tanim kosztem dreszczyk emocji. Ale nie możecie wyżywać się kosztem mojego męża. — Zawahała się, obrzucając nas nienawistnym spojrzeniem. — Dziś wieczorem David nie mógł zamordować Janet w basenie. Cały czas, gdy światła się nie paliły, był... ze mną. Odwróciła się na pięcie i podeszła do drzwi.

Wyskoczyłem z łóżka.

— Fleur...

Otworzyła już drzwi i wybiegła na ciemny korytarz. Pospieszyłem za nią. Już otworzyłem usta, aby przywołać ją z powrotem, ale zrezygnowałem z tego słysząc odgłos jej kroków.

Szurnięcie i następnie bardzo lekkie skrzypnięcie... skrzypnięcie jej skórzanych, czerwonych pantofli. Szurnięcie, skrzypnięcie... Nie pierwszy raz słyszałem ten odgłos.

Wróciłem do pokoju. Iris czekała na mnie.

— I cóż teraz, Peter. Co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem — przyznałem. — Ale coś już jednak odkryłem. Słyszałem właśnie kroki Fleur oddalającej się korytarzem. Takie same jak na korytarzu ubiegłej nocy. — Podeszedłem do żony. — To Fleur wcisnęła list hrabiego do Dorothy pod drzwi pokoju Janet. I właśnie Fleur przetrząsnęła pokój Dorothy.

10.

Lorraine szczebiotała bez przerwy przy śniadaniu, jakby nic się nie stało. Oczy jej skrzyły się jak dwie gwiazdy. Miała szczególny powód do radości, bo otrzymała wiadomość, że pan Throckmorton leci już samolotem i przybędzie dziś wieczorem. On pomoże jej i nam we wszystkich sprawach. Miała pojechać po niego na lotnisko i dlatego kolacja może się opóźnić, jak zaznaczyła. My wszyscy, jej zdaniem, powinniśmy od razu polubić pana Throckmorta za to, że jest taki łagodny jak baranek i taki inteligentny, mimo że pochodzi z Bostonu. Odnosiło się wrażenie, że ten Throckmorton jest w stanie wskrzesić nawet Dorothy i Janet.

Lorraine karmiła nas tymi wieściami o panu Throckmortonie niemal przez całe śniadanie.

Niestety, nikt z naszego towarzystwa nie miał takiego Throckmorta dla polepszenia nastroju. Zaraz po śniadaniu Chuck, Wyckoff i Laguno pojechali na policję w sprawie przesłuchania po śmierci Janet. A ci, którzy pozostali, mogli tylko cierpliwie oczekiwać ich powrotu z oświadczeniem lekarskim, by potem mieć wątpliwą przyjemność uczestniczenia w pogrzebie Dorothy, jaki miał się odbyć tego popołudnia w Reno. Bill Flanders otrzymał telegram od jedynych żyjących krewnych Dorothy, mieszkających we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Przesłali kondolencje i wyrazy ubolewania, że nie mogą wziąć udziału w pogrzebie. Wywnioskowałem z jego treści, że jak dotychczas, bliższe czy dalsze osoby związane z Dorothy nie wyrażały zbyt dużego żalu z powodu jej śmierci.

Po wyjściu Fleur z naszego pokoju poprzedniego wieczoru, Iris i ja zdecydowaliśmy się zbadać jej pokój, aby stwierdzić, czy Fleur nie ukradła jeszcze czegoś z rzeczy Dorothy. Opracowaliśmy prosty i pozbawiony raczej skrupułów plan. Pod pozorem przeprosin za nasze wieczorne zuchwale pytania, Iris miała zaraz po śniadaniu zatrzymać rozmowę Fleur na dole, podczas gdy ja wśliznąłbym się do jej pokoju. Plan nasz, mimo że wykonany sprawnie, nie przyniósł żadnych rezultatów. Dokładne zbadanie rzeczy pani Wyckoff nie ujawniło nic takiego, co mogłoby wzbudzić podejrzenie. Fleur jak zwykle pozostała zagadkowa. Wszystkie nasze nadzieje oparliśmy więc teraz na odnalezieniu torebki Dorothy w Reno.

Okolo wpół do dwunastej powrócili Chuck, Wyckoff i Laguno. Na tarasie oczekiwali na nich Lorraine, Mimi, Fleur, Iris i ja. Raczej mało przyjazna atmosfera była wynikiem przede wszystkim napięcia, jakie zaistniało pomiędzy Mimi i Lorraine. Ich wrogie nastawienie osiągnęło szczyt, kiedy Chuck zjawił się na tarasie z wiadomością o orzeczeniu komisji śledczej, że śmierć Janet nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Lorraine i Mimi uniosły się w tym samym momencie ze swych miejsc na jego widok.

Mimi z dziewczęcym uśmiechem podeszła do niego i chwyciła za rękaw. — Biedaku mój — zaczęła pieszczotliwie — po spełnieniu tak przykrego obowiązku chcesz na pewno czegoś się napić. Chodź, zrobię ci drinka.

Twarz Lorraine pociemniała.

— On sam umie przyrządzić sobie coś do picia, jeżeli będzie miał na to ochotę.

Na przystojnej twarzy Chucka odbiło się zażenowanie, ale Mimi trzymając kurczowo jego rękę, pociągnęła go do domu. Nie sprzeciwił się temu, a kiedy już oddalali się od nas, dotarł do mnie jeszcze głos Mimi: — Biedaku, od czasu do czasu można przecież cię porozpieszczać...

Tym samym Mimi znowu odniosła wielkie zwycięstwo nad Lorraine.

Okazja do odnalezienia torebki Dorothy nadarzyła się sama. Wszyscy ubrani na ciemno dwoma samochodami Pleygelów udaliśmy się na pogrzeb Dorothy. Przybyliśmy do małego, mrocznego kościoła o pół godziny za wcześnie. Korzystając z tego, moja żona szepnęła reszcie coś na temat poczty i znaczków i szybko zagłębiliśmy się w tłumnie wypełnione uliczki Reno, by dotrzeć do „Del Monte”. Minęliśmy Klub Bankowy, Klub Pałacowy oraz Klub Chucka. Interes szedł pełną parą. Choć była dopiero godzina pół do trzeciej, ludzie już wygrywali i przegrywali pieniądze przy stolikach, pijąc mocne trunki i rozprawiając w najlepsze. Wesole głosy w „Del Monte” były miłą odmianą dla nas po nerwowej atmosferze w domu Pleygelów.

Kierownik „Del Monte” nie tylko przypomniał mi sobie, ale i był olśniony wizytą samej Iris Duluth. Tak, rzeczywiście — odparł — jeden z jego kelnerów znalazł torebkę Dorothy na skórzanej kanapie, gdzie wtedy siedzieliśmy. Miał zamiar przesłać ją Lorraine dzisiejszego popołudnia. Zapewnił mnie, że nikt jej nie otwierał, gdy kelner ją przyniósł, a on sam wiedział do kogo należy, bo widział ją u Dorothy pamiętnej nocy. Gotowość oddania nam torebki ukazywała, z jaką szybkością chciał uwolnić się od wszystkiego, co wiązało go tak niefortunnie z kłopotliwą śmiercią Dorothy.

Z dużą, srebrną torebką pod pachą szybkim krokiem wyszedłem za Iris na ulicę. Kiedy trafiliśmy na małą, boczną, wyludnioną uliczkę, wtargnęliśmy tam jak spiskowcy.

— Kochanie, na litość boską, bądź ostrożny! — odezwała się z przejęciem Iris. — Jeżeli przypuszczenie nasze jest słuszne, to może być bardzo niebezpieczne. Wewnątrz powinna znajdować się igła z kurarą lub...

Ostrzeżenie Iris nie było potrzebne. Delikatnie ścisnąłem zameczek i torebka otworzyła się. Na samym wierzchu ujrzeliśmy długie, białe

rękawiczki, które Dorothy zdjęła z rąk przy mnie przedwczorajszego wieczoru. Wyjąłem je i podałem Iris. Potem przyjrzałem się uważnie reszcie rzeczy w torebce. Ujrzałem żetony, które Dorothy ściągnęła ze stołu podczas gry w ruletkę, puderniczkę ozdobioną klejnotami, grzebień, pomadkę do ust, lusterko, kilka banknotów dolarowych i chusteczkę do nosa. Wszystko to wyglądało zupełnie nieszkodliwie.

Nagle Iris krzyknęła podnieconym głosem: — Spójrz, Peter!

Trzymała w wyciągniętej ręce prawą rękawiczkę. Na koniuszku środkowego palca znajdowała się niewyraźna, czerwona plama.

— To musi być kurara, Peter. Ona dotknęła jej... dotknęła czegoś palcem, gdy miała jeszcze na dłoniach rękawiczki.

— Zdjęła je jednak przed otwarciem torebki — zauważyłem. — Otworzyła torebkę, żeby schować rękawiczki.

— To może rękawiczki poplamyły się o igłę lub coś innego, gdy wkładała je do torebki. Ten trop na pewno jest dobry, Peter. Popatrz tam jeszcze, ale uważaj.

Bardzo ostrożnie zacząłem wyjmować przedmioty z torebki jeden po drugim, oglądałem je i przekazywałem Iris. Trudno mi sobie wyobrazić, co myśleli o nas ludzie, przechodzący u wylotu uliczki. W końcu zbadaliśmy wszystko: każdy żeton, pomadkę do ust i pozostałe przedmioty. Wywróciliśmy również podszewkę torebki. I tak upewniliśmy się, że jeżeli przedtem torebka stanowiła śmiertelną pułapkę, to na pewno nie była już nią teraz.

Iris spojrzała na mnie niepokieszona.

— Mamy przynajmniej rękawiczkę. To też coś... O Boże, jak już późno. Zbierajmy się, bo nie zdążymy na pogrzeb.

Nabożeństwo już się rozpoczęło, gdy na palcach wchodziliśmy do małego kościoła. Lorraine i jej goście siedzieli razem w dwóch głównych ławkach. Wraz z nimi obecny był jakiś mężczyzna o znudzonym wyglądzie, zapewne adwokat Dorothy przeprowadzający jej rozwód. Oplakiwał teraz widocznie utracone honorarium. Pastor, całkowicie obojętny na obecność pod jego dachem jednej z najbogatszych na świecie dam, mówił monotonym, bezdzwięcznym głosem. Drobna Fleur Wyckoff pochłonięta tymi słowami, siedziała na końcu drugiej ławki. Usiadłem przy niej, a Iris obok mnie.

W trakcie nabożeństwa coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z groteskowej sytuacji. Na pewno jedna z tych ośmiu osób zamordowała Dorothy.

Natomiast kilka było co najmniej wdzięcznych za jej sprzątnięcie. Skupiłem myśli na czerwonej plamie na palcu rękawiczki Dorothy, próbując rozwikłać tę tajemnicę.

Podczas tych bezbożnych refleksji w pewnym momencie zerknąłem w dół i zauważyłem dużą, czarną torebkę Fleur. Leżała na lśniącej powierzchni ławki między jej łokciem a moim. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Przetrzęsaliśmy pokój Fleur w poszukiwaniu przedmiotów, które ukradła z pokoju Dorothy, ale nie przyszło nam do głowy, że malutka pani Wyckoff mogła nosić coś takiego, cokolwiek to było, ze sobą.

Cała sprawa zaczynała się obracać w tragicomedię torebek.

Fleur utkwiała wzrok w pastorze, pochłonięta zupełnie, jak się zdawało, smutnym obrządkiem. Torebka jej, podobnie jak ta Dorothy, miała zamknięcie, które wystarczyło tylko przycisnąć, aby się otworzyło. Ganiąc się za to w duchu, sięgnąłem ręką do zamka torebki. Fleur się nie poruszyła. Uchwyciłem zamek dwoma palcami i nacisnąłem. Torebka gwałtownie otworzyła się i przesunęła nieco w moją stronę, ukazując podszewkę różowego koloru. Odniosłem wrażenie, że lekkie trzaśnięcie zamka zagrzmiało jak wystrzał z karabinu. Fleur nic jednak nie usłyszała. Zajrzałem do otwartej torebki i... serce zaczęło mi walić jak miotem.

Między chusteczką do nosa i małą, zamszą portmonetką znajdował się list. Na zewnętrznej stronie koperty zdołałem odczytać napisane atramentem: *Sz. P. Dorothy Fland...*

Zwinnym ruchem, bardziej przypominającym złodzieja kieszonkowego niż porucznika marynarki wojennej, wyjąłem ten list i schowałem go błyskawicznie do kieszeni. Wyciągnąłem ponownie rękę, aby zamknąć torebkę, gdy zagrały organy i w kościele rozległ się lekki szmer. Fleur się poruszyła. Torebka nadal była otwarta. Nie namyślając się dłużej, sięgnąłem niezdarne po książeczkę do nabożeństwa i przy okazji zrzuciłem łokciem torebkę z ławki. Upadła na podłogę, a z jej wnętrza wyleciały i rozsypały się wszystkie przedmioty. Stało się to tak szybko, że Fleur nie przypuszczała chyba nawet, by zamek torebki mógł być otwarty przedtem.

Uśmiechając się przepaszająco, schyliłem się, powkladałem z powrotem wszystkie rzeczy do torebki, zamknąłem ją i podałem Fleur. Ta nadal była pogrążona w smutnej zadumie. Jak automat wzięła torebkę i wsunęła ją pod pachę.

Wyglądało na to, że znalazłem tajemniczy list, który Fleur ukradła z pokoju Dorothy Flanders.

List napisany do Dorothy... ale przez kogo?

Chuck miał jakieś interesy do załatwienia w Reno, więc nie wrócił z nami. W furgonetce, oprócz Iris i mnie, jechali Kochanek, Mimi i Fleur.

Kiedy dotarliśmy do domu, Mimi i Fleur wyszły razem z samochodu, Kochanek odprowadził wóz do garażu, a my spotkaliśmy się z Lorraine, która przybyła akurat drugim autem. Wymachiwała telegramem, skarżąc się, że jakaś pilna sprawa zmusiła pana Throckmorta do opuszczenia samolotu w Cheyenne. W takiej sytuacji będzie mógł przybyć dopiero jutro.

Po kilku słowach wyrażających nasz żal, udało mi się jakoś uwolnić od Lorraine i zaciągnąć szybko żonę na górę do naszego pokoju, gdzie dumnie pokazałem jej list, wyjaśniając jednocześnie, w jaki sposób go zdobyłem. Iris była pełna podziwu dla mnie.

— No to szybko, kochanie. Przeczytajmy go.

Nie zwracając uwagi na etyczną stronę mojego postępowania, wyjąłem z koperty pojedynczą kartkę papieru, zapisaną wyraźnie męskim charakterem pisma. Iris zaintrygowana stanęła obok mnie, gdy zacząłem czytać:

Dorothy,

Wreszcie udało ci się coś osiągnąć. Od razu przejrzałem Twoje zamiary. Rozumiem teraz, jakiego pokroju kobietą jesteś i co za idiotę ze mnie zrobiłaś. Nie rozumiem tylko, o co Ci chodzi. Z pewnością nie o małżeństwo. Przypuszczam, że o pieniądze. A więc szantaż. Delikatnie, ale dajesz to do zrozumienia. Jednak ja nie pozwolę się szantażować. Możesz więc robić swoje. Rozgłaszać na wszystkie strony, że doktor Wyckoff—ulubieniec setek schorowanych, bogatych wdów — wykorzystał Ciebie wbrew Twojej woli, gdy przyszłaś do niego z wizytą jako pacjentka. O ile sobie przypominam, zdobycie Ciebie przyniosło korzyści nie tylko mnie. Jeżeli jednak sprawiłoby Ci przyjemność zrujnowanie mojej kariery, proszę bardzo. Nie zasługuję na nic lepszego. Dochodzę do wniosku, że nie możesz zaszkodzić nikomu innemu, tylko mnie. To będzie już ostatni kontakt między nami. Będę pamiętał o Tobie aż do śmierci... chyba że Ty wcześniej umrzesz.

David Wyckoff

Spojrzałem na Iris, a ona na mnie. Grymas wykrzywił jej usta, gdy mówiła: — A więc Wyckoff również! Im więcej dowiadujemy się o Dorothy, tym mniej wydaje się przyjemna.

— Z pewnością. Oszukuje Flandersa, traci wszystkie jego pieniądze, prowadzi nikczemną grę z Laguno kosztem Janet, kradnie żetony pięciodolarowe Lorraine, ma romans z Wyckoffem i usiłuje go szantażować, grożąc mu zrujnowaniem kariery. To typ kobiety, którą chyba każdy mężczyzna mógłby zamordować bez zastanowienia.

— „...aż do śmierci... chyba że Ty wcześniej umrzesz” — powtórzyła z zadumą w głosie Iris. — To brzmi tak, jakby Wyckoff miał na myśli zbrodnię, nie uważasz?

— Uważam! — odparłem.

Postępowanie Fleur było teraz jasne i godne litości. Wyraźnie okłamała nas ubiegłej nocy, podając nieprawdziwą przyczynę projektowanego rozwodu z mężem. Musiała wiedzieć albo podejrzewała, co łączyło Dorothy z jej mężem. Dlatego, gdy Dorothy zmarła, a Wyckoff stwierdził śmierć na skutek ataku serca, Fleur doszła do wniosku, że popełniono zbrodnię i mąż jej stara się ją zatuszować, bo maczał w niej palce. Fleur wiedziała, że Dorothy była tego typu kobietą, która może przechowywać kompromitujące listy, przewiązane różowymi wstążeczkami. Dlatego też zakradła się do pokoju Dorothy, aby upewnić się, czy nie ma w nim jakiegoś dowodu przeciwko jej mężowi. Wówczas znalazła ten list oraz list Laguno do Dorothy, który następnie wsunęła pod drzwi pokoju Janet. Od tego czasu kłamała ciągle, aby uchronić Wyckoffa.

Dorothy czy nie Dorothy, rozwód czy nie rozwód, jedna rzecz była pewna, że Fleur kochała nadal Davida Wyckoffa.

— Biedaczka — westchnęła Iris. — Musiała cierpieć piekielne katusze. — Twarz jej się nachmurzyła. — A cóż ty o tym myślisz? Wszystko przemawia za tym, że Dorothy została zamordowana przez Wyckoffa. Takie rozwiązanie najlepiej tu pasuje.

— Ale dlaczego miałyby uśmiercać Janet?

— Nie rozumiesz? Wyckoff wiedział, że Janet ma list Laguno do Dorothy. Uznał, że to właśnie Janet przetrząsnęła pokój Dorothy i ona zatrzymała list, który go kompromitował.

— Mogło tak być. — Włożyłem list do koperty. — Lecz nim zaczniemy działać, trzeba będzie porozmawiać z Wyckoffem. Gdy zobaczy ten list, chcąc nie chcąc będzie musiał coś nam powiedzieć.

Iris, gotowa już do nowej akcji, spytała ochoczo: — Czy teraz pójdziemy go poszukać? Pocałowałem ją.

— Nie pójdziemy, kochanie... ja sam go poszukam. Taka rozmowa może dotyczyć bardzo drażliwych, intymnych spraw i wydaje mi się, że powinna być przeprowadzona w męskim gronie.

Zostawiłem Iris i z listem w kieszeni wyszedłem na poszukiwania Wycokffa. Znalazłem go od razu — był w swoim pokoju.

Doktor Wyckoff miał jeden z najbardziej szokujących pokoi, jakie oddała do naszej dyspozycji Lorraine. Usytuowany w rogu budynku, wyróżniał się dwoma olbrzymimi oknami, które niemal całkowicie zajmowały miejsce dwóch ścian. Popołudniowe światło dzienne stopniowo zamierało, a widoki z okien były tak nieprawdopodobne, jak olbrzymie fototapety ścienne. Jeden ukazywał szczyt Mount Rose ze stromym urwiskiem i zyg-zakowatą drogą, opadającą stromo na pierwszym planie, natomiast drugi — mur otaczający dom oraz dużą powierzchnię lśniącego jeziora Tahoe z zawisłymi jakby nad nim górami.

David Wyckoff miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, lecz w takim wagnerowskim otoczeniu robił wrażenie małej i niepozornej istoty. Obdarzył mnie wyraźnie wymuszonym uśmiechem.

— Och, sam pan porucznik Duluth. A skoro i butelka żytniówki tu stoi, napijemy się chyba...

— Nie, dziękuję. — Mogłem na to przystać, ale chyba nie wypadało pić wódki, gdy zamierzałem oskarżyć go o dokonanie dwóch zbrodni. — Przeszedłem tylko na małą pogawędkę.

— Pogawędkę? — powtórzył ze zdziwieniem. — Czy to coś ważnego?

— Nawet bardzo ważnego.

— Mam więc nadzieję, że będę mógł panu pomóc. — Głos mu się zmienił. Przybrał ton zawodowej uprzejmości. — Cóż to takiego?

— Uważam, że Dorothy Flanders i Janet Laguno zostały zamordowane. Wiem, która strzała z grotem pokrytym kurarą została skradziona z sali z trofeami przed śmiercią Dorothy, i wiem, że podłożono ją z powrotem na to samo miejsce następnego dnia z grotem pokrytym czymś na wzór kurary. Jestem prawie pewien, że Dorothy została otruta kurarą za pomocą pułapki zastawionej w jej torebce. Podobnie jak jestem pewny, że pan również wie o tym, iż została otruta... — Przerwałem, aby zrobiło to na nim

silniejsze wrażenie. — I o tym właśnie chciałbym z panem pogawędzić.

Wyckoff trzymał się niezłe pod moim nagłym obstrzałem. Po chwili odezwał się spokojnie:

— Mogę odpowiedzieć panu pytaniem, które zadałem już hrabiemu Laguno, gdy wystąpił z podobnym oskarżeniem. Jeżeli wierzy pan w to co mówi, poruczniku, to dlaczego nie zażądał pan sekcji zwłok, nim Dorothy została pochowana?

— Ponieważ jestem tutaj gościem Lorraine. I nie chciałem robić zamieszania, zanim się nie upewnię, że mam rację.

— Pan podejrzewa mnie o wydanie fałszywej diagnozy, aby zatuszować zbrodnię. Po co miałbym narażać całą moją karierę zawodową?

Wyckoff miał naprawdę sympatyczną twarz, szczerą i łagodną. Dlatego też ten wyniosły ton zupełnie nie pasował do niego.

— Pańska kariera zawodowa była już wcześniej narażona — stwierdziłem. — Wystarczy obrzucić kogoś błotem we właściwym momencie, a kariera lekarska może być zrujnowana. Zarzut Dorothy, że została przez pana zgwałcona podczas wizyty w pańskim gabinecie, był dla pana niebezpieczny. Zamordowanie Dorothy mogło dać panu dużą szansę na ocalenie własnej kariery, lecz było dla pana tysiąc razy bardziej niebezpieczne. Doszedł pan w końcu do wniosku, że niewielkie kłamstwo zawodowe oczyści pana z wszelkich podejrzeń, a ją będzie można zapakować do trumny bez zadawania różnych nieprzyjemnych pytań.

Wyckoff oparł rękę na oparciu wymyślnego krzesła stworzonego przez dekoratora Lorraine. Na tle wielkich okien wyglądał teraz jak ponury cień bez życia.

— A więc co pan zamierza mi teraz powiedzieć? — spytał z trudnością.

— Z reguły nie lubię czytać listów innych ludzi, przy tym jednak postanowiłem zrobić wyjątek.

Wyjąłem z kieszeni list i wręczyłem go Wyckoffowi. Wziął go ode mnie drżącymi palcami i utkwiał w nim przerażone spojrzenie, jak człowiek, który zobaczył nagle wyrok śmierci. Wyglądał teraz na dużo starszego i pokonanego.

— Czy ma pan zamiar pójść na policję, poruczniku Duluth?

— Przykro mi, ale nie darzę sentymentem morderców.

Oddał mi list. Potem wstał, usiłując rozprostować ramiona.

— No dobrze. Zakończmy to wszystko możliwie szybko. To ja zamordowałem Dorothy i ja zamordowałem Janet.

11.

Przez chwilę byłem oszołomiony tym, co usłyszałem. Miałem dowód przeciwko niemu, to prawda, ale nie wystarczający, aby z całym przekonaniem uznać go za mordercę.

Z zaskoczenia zadałem mu więc pytanie: — To jaka była ta pułapka uśmiercająca Dorothy?

— Ja... ja — zaczął się jąkać. — Dokładnie...

Teraz go zrozumiałem.

— Niech pan nie komplikuje sobie życia. Sprawy i tak zaszły za daleko bez pańskiej szlachetnej postawy. Pan jej nie zamordował, prawda? Pan przypuszcza, że to uczyniła pańska żona. I tym się pan zadreżca.

— To kłamstwo! — wybuchnął z gniewem. — Jeżeli pan uważa, że może...

— To niemal zabawne. Podejrzewa pan Fleur o morderstwa, podczas gdy ona fałszywie usprawiedliwia pana, wymyśla jakieś bajeczki, włamuje się do pokoi, kradnie pewne przedmioty... I to wszystko dlatego, iż jej się wydaje, że pan jest winny.

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o zachowaniu się Fleur. Ze zdumieniem stwierdziłem zachodzącą w nim nagle zmianę. Zachowywał się znów jak młodzieniec, był niemal wesoły. Gdy skończyłem, nabrał wielkiej ochoty do mówienia.

Jego historia była mniej więcej taka, jakiej się spodziewałem — trywialna opowieść o kobiecie, nie wartej nawet spojrzenia, i mężczyźnie, który na kilka minut stracił kompletnie głowę w przekonaniu, że ta albo żadna... Wyckoff i Fleur pobrali się przed ośmiu laty i przez cały ten okres nic nie zmąciło ich miłości. Aż do dnia, gdy w gabinecie Wyckoffa zjawiała się Dorothy, skierowana do niego przez innego lekarza. Odczuwała lekkie dolegliwości serca.

— Stwierdziłem słaby skurcz mięśnia, był prawie niewyczuwalny, raczej nic poważnego — zaznaczył Wyckoff. — Gdy ją zbadałem, celowo przedłużała swój pobyt u mnie. Zaczęliśmy rozmawiać. I... Och, pan wie

przecież, jaka była. Nie muszę chyba mówić o tych okropnych szczegółach, prawda?

Dorothy wyraźnie zadowolona z rozwoju sytuacji składała mu nadal regularne wizyty. Chcąc stworzyć wrażenie, że korzysta z pomocy lekarskiej, domagała się od Wyckoffa, aby wysyłał jej co jakiś czas rachunki, które gromadziła dla przebywającego jeszcze w szpitalu Billa Flandersa, by śmielej spojrzeć mu w oczy po jego powrocie do domu.

Mimo oszalemiającego czaru Dorothy, Wyckoff kochał nadal Fleur i żył w nieustannym strachu, że żona coś odkryje; z tygodnia na tydzień czuł się coraz gorszym łajdakiem. Ta historia mogła mieć tylko jedno zakończenie. Dorothy, znudzona jego skrupułami i wzajemnym obwinianiem, mając już na oku Laguno, próbowała naciągnąć go na pieniądze. Oburzony takim zachowaniem napisał do niej list. Na co wkrótce otrzymał odpowiedź, że list ten potwierdza tylko jej racje i może się przydać w wypadku wytoczenia mu procesu za wyrządzone jej krzywdy. Dała mu dwa tygodnie, by mógł dobrze rozwiązać — jak zaznaczyła — całą sprawę. Wtedy zrozumiał, że może przez to pożegnać się z karierą. I czuł, że zasznużył na to wszystko, co go spotkało.

Nie chciał jednak, by Fleur znalazła się w tym całym bagnie z nim. Zanim powziął decyzję, udał się do żony. Nie powiedział jej nic o Dorothy, poprosił tylko o rozwód, nie podając przy tym żadnych wyjaśnień. Była wstrząśnięta, ale nie zadawała żadnych pytań.

— Ona jest taka dumna i nieustępliwa — powiedział Wyckoff z odrobiną chępliwości w głosie. — Nigdy by mi na myśl nie przyszło, że cały czas wiedziała o Dorothy. Nigdy nie dała tego po sobie poznać. Chciała oszczędzić mi upokorzeń.

Kiedy Fleur ze złamanym sercem wyjechała do Reno, David Wyckoff pozostał w domu, spodziewając się każdego dnia najgorszego. Zwłaszcza że wtedy w jego gabinecie zjawił się Bill Flanders. Ale Flanders wykazał zaniepokojenie jedynie z powodu rachunków żony. Wyckoff opowiedział mu częściowo prawdziwą historyjkę o słabym sercu Dorothy, w co Bill uwierzył. W trakcie rozmowy Flanders nieopatrznie powiedział, że Dorothy pojechała do Reno.

— Ona musiała — wtrąciłem. — Flanders dowiedział się czegoś o niej. Zaczął grozić nożem. San Francisco przestało być dla niej bezpieczne.

Usta Davida Wyckoffa ciągle były blade.

— Kilka dni później Lorraine zaprosiła mnie do siebie. Był to dziwaczny pomysł, ale zgodziłem się przyjechać. Nie miałem oczywiście żadnej nadziei na pogodzenie się z Fleur. Po tym, co zrobiłem, nie byłem wart sznurować jej butów. Odczuwałem jakiś lęk przed ponownym spotkaniem. Do przyjazdu skłoniła mnie informacja Lorraine, że Dorothy także jest u niej. Ogarnęło mnie przerażenie na myśl, co może wyniknąć z tego, że Dorothy i Fleur są w tym samym domu; bałem się, żeby Dorothy nie powiedziała czegoś mojej żonie. Mało nie zwariowałem, tak się przejmowałem całą sprawą. Pomysł z tym przyjazdem był idiotyczny, ale łudziłem się, że potrafię przekonać Dorothy, by zwróciła mi mój list. Prawdopodobnie wyśmiałyby mnie tylko. To była jednak moja ostatnia szansa.

— A kiedy pan tu przybył, czy rozmawiał pan z Dorothy?

— Nie miałem takiej okazji. Zetknąłem się tylko z Fleur. Przyszła do mojego pokoju tuż przed wyjazdem wszystkich do Reno. Była bardzo spokojna i chłodna. Powiedziała: „To Dorothy, prawda?” A gdy nic nie odparłem, roześmiała się i dodała: „Doprawdy, czy to nie zabawne, że całe moje życie jest zmarnowane przez Dorothy... kobietę, z którą każdy pijany marynarz mógłby się zabawić w sobotnią noc. Rozumiem, że masz zamiar ożenić się z nią. Wobec tego, życzę ci szczęścia”. I wybiegła na korytarz. Później już ani razu nie dała mi okazji do rozmowy...

Tego samego wieczoru Dorothy zmarła w „Del Monte”. Na twarzy Wyckoffa znów wystąpił grymas cierpienia, gdy odtwarzał w pamięci oględziny jej zwłok w biurze kierownika lokalu. Od razu zorientował się, że zmarła z powodu wady serca. Stwierdził też jednak objawy paraliżu. Był prawie pewny, że sama wada serca nie mogła spowodować niedotlenienia w następstwie paraliżu przepony i mięśni płucnych. Wszystko wskazywało na fakt, że śmierć powstała na skutek działania trucizny w układzie oddechowym.

— Pan mówił o kurarze, Duluth. Niewiele wiem na ten temat, lecz widziałem, jak posługiwano się nią w szpitalu w przypadkach tęcza, i dlatego dopuściłem możliwość otrucia kurarą. A zatem pan może sobie wyobrazić, jak się czułem. — Uważnie mnie obserwował.

— Wiedziałem, że gdyby inny lekarz zobaczył zwłoki, nie wydałby diagnozy, że zmarła na zwykłą chorobę serca. Ale pomyślałem o moim liście, Dorothy miała go w Reno. Gdyby policja wiedziała, że Dorothy została

zamordowana, podczas rewizji odnalazłaby ten list, a to oznaczałoby mój koniec. Przy badaniu obecny był również Bill Flanders. Wiedziałem, co myślał o Dorothy. Gdyby on ją zamordował, czy mógłbym obwinać go za to? I była również Fleur. Przypuszczała, że zakochałem się w Dorothy i że miałem zamiar ożenić się z nią, a wtedy całe życie Fleur byłoby zmarnowane przez Dorothy. A jeżeli to Fleur zamordowała... To właśnie zadecydowało o moim stanowisku w tej sprawie. To, co zamierzałem uczynić, było ohydne. Zdawałem sobie jednak sprawę, że to doskonała okazja, aby mój podstęp mógł się udać. Byłem przecież osobistym lekarzem Dorothy, a Flanders i lekarz, który przysłał ją do mnie, byli przekonani, że miała słabe serce. — Zgarnął do tyłu opadające mu na czoło czarne włosy. — Bóg raczy wiedzieć, co by się zdarzyło, gdyby nie udało mi się przekonać Chucka. Dzięki temu, że Chuckowi udało się, z kolei przekonać policję, by nie przeprowadzała dochodzenia, mój nieczyny czyn stał się możliwy do zatuszowania...

Później w nocy, gdy powrócił z Chuckiem z Reno, udał się do pokoju Dorothy, żeby odszukać swój list. Zastał pokój w nieładzie, ale listu ani śladu. Nie wiedział oczywiście, że pokój przetrząsnęła wcześniej Fleur i że zabrała list. Doprowadził wówczas pokój do porządku, zdając sobie sprawę, że gdyby rano stwierdzono bałagan, ktoś zacząłby coś podejrzewać.

W ten sposób wyjaśniła się sprawa idealnego stanu pokoju, jaki zastałem po mojej nocnej rozmowie z Flandersem na tarasie.

— A o Janet — dodał Wyckoff — nic nie wiem. W każdym razie nie została otruta kurarą. To mogę panu powiedzieć z całą pewnością. Jednakże... przypuszczam, że ma pan rację. Wydaje mi się, że również została zamordowana... Ktoś przytrzymał ją pod wodą. Chociaż nie rozumiem motywu, chyba że Laguno... — Podszedł do mnie i chwycił za ramię. — Powiedziałem panu prawdę. Przysięgam. To, co uczyniłem, jest przestępstwem i jako lekarz poniosę wszelkie konsekwencje. Sam pan jednak powiedział, że Fleur sądziła, że to ja zamordowałem Dorothy. To by oznaczało, że chyba pan jej nie podejrzewa, czy tak?

Miało to sens.

On myślał, że Fleur zamordowała Dorothy, a Fleur wydawało się, że to on zamordował. To wyraźnie wyklucza ich z udziału w zbrodni. Chociaż należałoby wziąć jeszcze pod uwagę i to, że oboje mogli wspólnie

wyreżyserować nie spotykany przykład podwójnego oszustwa. Trudno mi było jednak uwierzyć w tak podstępą grę, gdy spoglądałem na wymizerowaną twarz Wyckoffa.

Skończył swoją opowieść — tragiczną relację o mężu i żonie, nadal zakochanych w sobie. Jedno było zbyt dumne, a drugie zbyt skromne, aby przyznać się do tego.

Zbliżyłem się do jednego z okien, aby przemyśleć, co robić dalej. Bezwiednie spojrzałem na dół. Przed otoczonym kolumnami wejściem do domu stała furgonetka Lorraine. Kiedy wcześniej wyglądałem przez okno, nie było jej tam.

Odezwałem się do Wyckoffa przez ramię:

— Gdybym poszedł na policję i zażądał przeprowadzenia sekcji zwłok Dorothy, pan jako lekarz byłby wówczas skończony, czy tak? Mogliby nawet pana aresztować za świadome zatuszowanie zbrodni...

Staął obok mnie przy oknie.

— Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego — odparł ochryplym głosem. — Nie mogę jednak uczynić nic, aby pana powstrzymać.

— Sądzę, że jednak mógłby pan coś uczynić... — Odwróciłem się do niego, wyjmując jednocześnie list, który Wyckoff napisał do Dorothy Flanders. — Jestem gotów ubić z panem interes.

Utkwił bezmyślnie wzrok w liście, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Ten list jest jedynym dokumentem, który obciąża pana i pańską żonę. Oddam go panu, jeżeli otrzymam przyrzeczenie, że pójdzie pan ze mną jutro rano na policję i sam pan poprosi o przeprowadzenie sekcji zwłok Dorothy.

Patrzył nadal bezmyślnie na list.

— Ja sam?

— To jedyny sposób, aby ocalić pana, i najłatwiejszy, żeby rozpocząć dochodzenie. Gdybym ja poszedł na policję, wzięliby mnie za idiotę. Pan natomiast jest tym lekarzem, który podpisał świadectwo zgonu. Jeżeli podejdzie pan do tego spokojnie, zabrzmi to zupełnie niewinnie. Niech pan powie im, że Dorothy miała słabe serce i nigdy by panu do głowy nie przyszło, że została zamordowana, aż do chwili, gdy opowiedziałem panu historię o skradzionej strzale, której grot był pokryty kurarą. Zresztą zaraz wyjaśnię to panu szczegółowo. Im poda pan, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że Dorothy mogła zostać otruta i że w związku z tym nie ma pan

już przekonania co do słuszności swojej diagnozy. Sekcja zwłok wykaże kurarę, policja przystąpi do pracy, a my zrobimy w ten sposób to, co do nas należało. — Nadal trzymałem list w ręku. — Mogą jedynie odkryć pański romans z Dorothy, ale przynajmniej będzie pan mógł zniszczyć ten dokument...

Wziął list. Z jego twarzy mogłem wyczytać, o czym teraz myślał. Nie tylko udowodniłem mu, że żona kocha go nadal, ale dawałem też szansę wybrnięcia z najgorszej opresji, w jaką wplątał się jako lekarz. Czuł się chyba oszołomiony, że sprawa przybiera tak pomyślny dla niego obrót.

— Oczywiście pojedę z panem na policję — odezwał się po chwili. — Obawiam się jednak, że sekcja zwłok nie wyświetli zagadki tak łatwo, jak panu się wydaje. Wątpię, czy znajdzie się w kraju patolog, który będzie mógł stwierdzić, w jaki sposób zastosowano tu kurarę.

Nie pomyślałem o tym.

— Czy pan uważa, że policji trzeba dokładnie wykazać, jak zastosowano tę kurarę, nim zaczną swoją pracę?

— Raczej tak to sobie wyobrażam. Policja prawdopodobnie będzie chciała zobaczyć narzędzie zbrodni — igłę czy co to było. I będzie chciała również upewnić się, skąd pochodzi kurara. Nie tak łatwo przecież o tę truciznę.

— Jest w tym domu. Lorraine posiada jej sporo w gablotce. To nie sprawi nam kłopotu. Tylko to narzędzie zbrodni...

Opowiedziałem mu o moim domyśle, że ktoś zastawił śmiertelną pułpkę w torebce Dorothy. Spytałem go o zdanie w tej sprawie.

— Ogólnie panuje opinia, że nawet najmniejsza dawka kurary wstrzyknięta do krwi przez ukłucie powoduje śmierć. To nie pokrywa się jednak całkowicie z prawdą. W środowiskach naukowych powiedzą panu, że dawka mniejsza niż dwadzieścia pięć miligramów nie może być śmiertelna i że powinna ona być wstrzyknięta głęboko, domięśniowo. Prawda znajduje się gdzieś pośrodku. Istnieje wiele różnych okoliczności i dlatego trudno jest dokładnie ustalić, jaka dawka w danym wypadku mogłaby być śmiertelna. Zależy to między innymi od ogólnego stanu zdrowia ofiary, uczulenia i tak dalej. Gdyby mnie pan spytał, czy ktoś mógłby zostać zamordowany przez ukłucie igłą pokrytą kurarą, odpowiedziałbym, że tak, zwłaszcza w takim przypadku, jak u Dorothy, która miała lekką wadę serca.

W innych wypadkach nie liczyłbym na to tak łatwo. Ktoś mógłby być ukłuty raz lub dwa razy i nie umarłby.

— W takim razie człowiek, który zamordował Dorothy, w dużym stopniu ryzykował?

— Niekoniecznie. Jest bardziej prawdopodobne, że jako laikowi wydało mu się, że jedno ukłucie doprowadzi do śmierci, i tym razem miał rację. Większość ludzi wie o kurarze to, co piszą w kryminałach.

— Ja też do nich należę — uśmiechnąłem się. — Nie zamierzam olśniewać policji, ale sądzę, że jestem w stanie znaleźć to narzędzie zbrodni lub wykalkulować sobie, w jaki sposób Dorothy mogła zostać otruta kurarą. Dziękuję panu, Wyckoff. Bardzo mi pan pomógł.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Pan mi dziękuje? To ja powinienem panu podziękować. W jaki sposób będę mógł panu się odwdziżyć...

Poczułem się zakłopotany.

— Na pana miejscu poszedłbym poszukać żony i wspólnie z nią zaczął analizować swoje przeżycia. — Uśmiechnąłem się. — Może Lorraine nie jest znów taką lekkomyślną dziewczyną. Państwo Laguno i Flanders nie wykazali poprawy. Wszystko wskazuje jednak na to, że państwo Wyckoff są na drodze do trwałego pojednania się.

Twarz Wyckoffa rozjaśniła się.

— Tak, muszę znaleźć Fleur. Ja...

Urwał, zapatrzony w okno. Spojrzałem tam również i dostrzegłem drobną sylwetkę Fleur Wyckoff biegnącą z domu prosto do furgonetki.

— Gdzie ona chce jechać? — spytał zaniepokojony Wyckoff.

— Nie wiem.

Spróbował otworzyć okno, by ją zawołać. Ale nawet nie drgnęło. Podenerwowany powtórzył czynność. Fleur tymczasem wsiadła już do samochodu. Po chwili ruszyła ostro, skrzyła raptownie na zakręcie, aż pojazdem zakołysało, i zniknęła nam z oczu.

Zaskoczyła nas brawurą, z jaką poprowadziła samochód. Pobiegliśmy do drugiego okna, skąd widać było niżej położony odcinek drogi, opadającej niebezpiecznie w dół stokiem zbocza w kierunku podnóża Mount Rose. Dziwne wrażenie robiło to wyglądanie przez okno z piętra. Przypominało obserwowanie na ekranie kinowym czegoś, co nie było całkiem realne.

Drogą szły wolno dwie osoby. Rozpoznałem je. Mimi z Kochankiem.

Samochód Fleur wciąż się nie pojawiał. Wyckoff, niemal przyklejony do okna, patrzył z najwyższym napięciem.

— Co jej się stało, poruczniku? Prowadziła samochód jak szalona. Ona...

Samochód pojawił się wreszcie. Oczom naszym ukazał się wstrząsający widok: wóz nie jechał normalnie, pędził zygzakowato opadającą stromo w dół drogą, jak okręt pozbawiony steru na pełnym morzu. Mimo że było niemożliwe, by Fleur mogła go usłyszeć, przerażony Wyckoff krzyknął w jej stronę:

— Fleur! Fleur!

Patrzyłem w osłupieniu, jak zahipnotyzowany. Samochód pędził wprost na Mimi i Kochanka. Zobaczyłem, jak Mimi gwałtownie odskoczyła za kamienny nasyp. Kochanek ruszył w jej stronę, ale nagle odwrócił się i zaczął machać panicznie do zbliżającego się pojazdu. Wóz był już bardzo blisko. Nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, Kochanek próbował wskoczyć do pojazdu. Wóz jednak przemknął tuż obok niego, a on sam zwałił się na skalisty żwir drogi.

Przed pędzącym samochodem znajdował się teraz ostry zakręt, za którym teren opadał niemal pionowo w stronę kanionu. W miejscu tym nie było żadnego ogrodzenia ani zabezpieczenia. Kochanek podniósł się z trudem na nogi i zaczął znów machać ręką.

Wyckoff chwycił mnie za ramię. Palce jego ręki zagłębiły się niemal w mojej skórze.

— Fleur!... — krzyknął rozpaczliwie. Słowo to zamieniło się w jęk.

Samochód dotarł do zakrętu, ale nie pokonał już go. Runął prosto w dół. Zniknął nam z pola widzenia za krawędzią kanionu.

CZEŚĆ CZWARTA

MIMI

12.

David Wyckoff wydał z siebie okrzyk przerażenia. Jak na mężczyznę był to głos o niesamowitym brzmieniu... ciekim i przenikliwym jak skowyt psa. Obrócił się błyskawicznie i wypadł z pokoju. Pobiegłem za nim. To, co zobaczyłem przed chwilą, było rzeczywiście wstrząsające. Przez mózg zaczęły gorączkowo przebiegać różne myśli. Fleur wybiegła z domu i wsiadła do samochodu. Dlaczego? Auto pomknęło drogą w dół tak, jakby było zupełnie nie kontrolowane. Dlaczego? Mimo wysiłków Kochanka, samochód wpadł do kanionu, gdzie Fleur prawdopodobnie poniosła śmierć. Jak to się stało? Nie mogłem tego zrozumieć.

W miarę jak się uspokajałem, zaczynałem zdawać sobie sprawę, że po raz trzeci zdarzyło się coś, co przyniosło nieszczęście następnemu gościowi Lorraine.

Dorothy... Janet... Fleur...

Tu już nie chodziło o jedną zbrodnię. To był masowy mord. W domu Lorraine wszyscy tracili panowanie nad sobą w tempie, w jakim samochód Fleur stoczył się dopiero co do kanionu.

David Wyckoff był już na schodach. Gdy biegłem za nim korytarzem, drzwi naszego pokoju otworzyły się i ukazała się w nich Iris. Spojrzała ze zdziwieniem najpierw na Wyckoffa, potem na mnie. Jej piękna twarz była blada, jakby przeczuwała coś złego.

— Peter, co się stało? — spytała.

— Szybko — odparłem. — Chodź szybko. To Fleur.

— Fleur? — Iris biegła już ze mną. — Co jej się stało?

Dotarliśmy do głównych schodów.

— Samochód — wyjaśniłem. — Coś się w nim zepsuło. Spadł z drogi dojazdowej. Wyckoff i ja widzieliśmy wszystko z okna.

— Peter! A co robiła Fleur w samochodzie? Dokąd jechała?

— Nie wiem. Mimi z Kochankiem szli w górę tą samą drogą. Kochanek próbował zatrzymać ten samochód. Przynajmniej oni tam już są, jeśli coś da się jeszcze zrobić.

Szerokie, drewniane schody skręcały w prawo. Potem był olbrzymi hol na dole. Urządzony bogato, ale bez smaku, choć z ostatnim krzykiem mody. Wyckoff biegł w kierunku drzwi frontowych. W holu siedział na małej kanapce Bill Flanders. Kula oparta była o niego. Czytał jakiś magazyn ilustrowany. Gdy Wyckoff mijał go, Flanders spojrzął na niego obojętnym wzrokiem. Trudno było uwierzyć, by w takim momencie ktoś mógł spokojnie siedzieć i czytać.

Wyckoff wybiegł przez drzwi. Gdy Iris i ja wpadliśmy zadyszani do holu, od strony sali z trofeami pojawił się hrabia Laguno. Jego jaszczurcza twarz ożywiła się, wзираła z niej ciekawość.

— Co oznacza ten hałas?

— Fleur — wyjaśniłem.

— Fleur? Prosiła, bym przyprowadził jej samochód z garażu. A po kwadransie szybko zbiegła na dół i wskoczyła do auta nie powiedziawszy nawet dziękuję. Co jej się stało?

Zmierzyłem go surowym wzrokiem.

— Czy samochód był technicznie sprawny, gdy go pan przyprowadził?

— Technicznie sprawny? Wydawało mi się, że hamulce są nieco słabe.

Ale właściwie co się stało?

Nagle za nami rozległ się stukot damskich obcasów. Odwróciłem się i zobaczyłem Lorraine, spieszącą w naszą stronę z pokoju stołowego. Wyglądała ekstrawagancko w wieczorowej, wyzywającej sukni w czarno-malinowym kolorze.

— Moje aniołki, jak wy się zachowujecie! Co to jest? Czy jakaś nowa pyszna zabawa, czy...

— Fleur w twoim wozie stoczyła się z drogi dojazdowej — objaśniła Iris.

Oczy naszej pani domu omal nie wyskoczyły z orbit.

— Stoczyła się z drogi dojazdowej? Ależ tam jest przepaść! Okropna przepaść!

Pobiegłem w kierunku drzwi. Pozostali ruszyli za mną, z wyjątkiem Billa Flandersa. Jemu byłoby głupio gnać za nami. Nie dotrzymałby nikomu kroku.

Zmierzchało już, gdy dotarliśmy do drogi za szerokim murem otaczającym dom. Iris i ja bieглиśmy na przedzie. Jakiś tajemniczy blask bił z pobliskich szczytów górskich. Z mroku wybijały się w niebo wiecznie zielone świerki, dopełniając tego obrazka, aż proszącego się o przeniesienie na płótno.

Przerwałem ponure milczenie: — Po omacku szukaliśmy rozwiązania wczorajszej zagadki, a tymczasem dzisiejsza zbrodnia...

— Zbrodnia?! — powtórzyła moja żona.

— Oczywiście, że to zbrodnia. Ktoś musiał się dobrać do tego samochodu. Nie nadawał się w ogóle do jazdy. Ktoś go specjalnie uszkodził, aby Fleur runęła w przepaść.

Powiedziałem to, o czym w tej chwili myślałem, i chyba mój domysł był słuszny.

Lorraine, mimo wysokich obcasów i długiej sukni, nie zostawała w tyle. Jej fantastyczne loki wiatr rozwiewał na wszystkie strony. Strój wieczorowy, jaki miała na sobie, był zupełnie niestosowny do obecnej sytuacji.

— Peter, kochany — odezwała się, z trudem chwytając powietrze — dlaczego, na miły Bóg, Fleur chciała pojechać do Reno?

— Do Reno? — zdziwiłem się. — To ona jechała do Reno?

— Tak. Wydaje mi się, że to jakaś tajemnicza sprawa. Była strasznie podenerwowana. Wpadła do mojego pokoju, gdy akurat przebierałam się do kolacji. Oznajmiła, że musi jechać do Reno, żeby coś stamtąd przywieźć. Spytała, czy może wziąć moją furgonetkę i czy jest w niej dosyć paliwa. Powiedziałam jej wówczas, że Chuck jest w Reno, mogłaby więc do niego zadzwonić i wyjaśnić, o co chodzi, a on by jej to przywiózł. Uparła się jednak, że sama to załatwi. Nie rozumiałam nic z tego, bo przecież...

Mówiła coś jeszcze, ale ja już nie słuchałem. Poczulem się nagle winny, gdy zdawałem sobie sprawę, o co chodziło Fleur. Kiedy wróciliśmy z Reno do domu, musiała stwierdzić brak nieszczęsnego listu jej męża do Dorothy. Oczywiście nie przypuszczała, że ja go ukradłem — sądziła, że wypadł w kościele w chwili, gdy torebka zsunęła się z ławki i cała zawartość wysypała się na posadzkę. Uznała, że list leży nadal w kościele i chciała jak najszybciej go odzyskać.

Gdybym nie musiał zdobywać tego listu dla dochodzenia, to nigdy nie doszłoby do tej nagłej wyprawy do Reno. W pewnym sensie czulem się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

Byłem mocno zaniepokojony jej losem. Dotarliśmy do ostrego zakrętu. Naszym oczom ukazał się odcinek drogi przyczepionej, jak olbrzymi wijący się wąż, do stromego stoku góry. Od miejsca, gdzie auto wpadło do kanionu, dzieliło nas jakieś dwieście metrów.

Mimi Burnett wybiegła zza zakrętu przed nami. David Wyckoff pospieszył w jej stronę. Widok jego samotnej sylwetki robił przygnębiające wrażenie. Tak niedawno, dosłownie przed kilkoma minutami, dowiedział się ode mnie, że Fleur kocha go nadal, a za chwilę zobaczy swoją żonę i samochód na dnie przepaści.

Wyckoff drogą płacił za swe nierozważne czyny.

Dotarł do Mimi. Przez moment stali razem. Potem Mimi odwróciła się i oboje ruszyli do miejsca, gdzie zniknął samochód. Po chwili znaleźli się na skraju przepaści. Mimi pokazała coś ręką. Wyckoff nie namyślając się ani chwili, lekkomyślnie zaczął zsuwać się w dół i wkrótce zniknął z pola widzenia, pozostawiając przerażoną Mimi na krawędzi kanionu.

Pierwszy znalazłem się przy niej. Krację wieczorową ,z długimi rękawami wzorowaną na średniowiecznych strojach miała pogniecioną i upstrzoną żdzblami traw. Załamywała ręce z rozpaczą jak Dama z Shallot u Tennysona. W końcu rzuciła mi się w ramiona, kryjąc głowę na piersiach.

— Kochanek krzychał do niej, żeby otworzyła drzwi i wyskoczyła — łkała. — Potem samochód się przechylił. Zdażyła tylko otworzyć drzwi i wyrzuciło ją na zewnątrz. Leży tam na dole. Kochanek jest przy niej. A samochód koziółkował jeszcze i koziółkował...

Z trudem łapałem powietrze po tym biegu. Reszta osób już gromadziła się przy mnie. Nad głową Mimi zerknąłem w głąb kanionu. Przepaść w tym miejscu była prawie pionowa, z kilkoma występami skalnymi, niemal pozbawiona roślinności. Gdzieś widać było tylko kępy szaławii.

Dobre sto metrów poniżej miejsca, gdzie staliśmy, rozciągało się zasypane głazami łozysko wyschniętej rzeki. Tam właśnie widoczny był, nieco większy od dziecięcej zabawki, wrak palącego się auta.

Około dwudziestu metrów poniżej drogi trzymał się kurczowo krzewu szaławii Kochanek. Wyckoff natomiast czołgając się na czworakach, niebezpiecznie ześlizgiwał się ku niemu po stoku górskim. Kochanek pochylał się nad czymś, co było niewidoczne dla mnie, a znajdowało się w kępie szaławii, na występie skalnym.

Odczułem pewną ulgę, kiedy zrozumiałem, że Fleur nie znalazła się w płonącym samochodzie. Zachowała na tyle przytomności umysłu, że posłuchała rozpaczliwych nawoływań Kochanka i otworzyła drzwi. Upadła tam. I może jeszcze żyje.

Mimi była bliska ataku hysterii. Lorraine i Iris stały wyczekująco przy mnie, a Laguno za nimi. Odsunąłem lekko Mimi od siebie i zwróciłem się do żony.

— Zaopiekuj się nią, kochanie. A pan, Laguno, niech pobiegnie do domu po jakiś mocny sznur. Będziemy musieli wywindować Fleur do góry. Ja zejść w dół, aby się upewnić, czy nie będę pomocny obu naszym panom.

— W garażu jest linka, hrabio — objaśniła Lorraine.

Laguno pędem ruszył w stronę domu. Iris otoczyła ramieniem Mimi. Oczy mojej żony wyrażały zaniepokojenie.

— Peter, uważaj na siebie!

— Nie ma obawy. Mam gumowe podeszwy.

Ruszyłem powoli po stoku, chwytając się krzewów szaławii. Wyckoff dotarł już do Kochanka. Uklęknął przy nim i pochylił się nad czymś, czego nie byłem w stanie dojrzeć. Wkrótce i ja znalazłem się przy nich. Serce biło mi jak młotem z wysiłku. Uchwyciłem się zarośli tuż przy Kochanku i zerknąłem z niepokojem ponad jego ramieniem.

Zobaczyłem Fleur.

Wyckoff, z twarzą trupio bladą, obmacywał jej drobne ciało. Leżała na plecach, w poszarpanej i zdartej do połowy sukni, ręce miała wyciągnięte bezwładnie nad głowę. Włosy rozrzucone były wokół jej delikatnej twarzy. Oczy miała zamknięte, a blade jak kość słoniowa policzki znaczyły ślady krwi.

Patrząc na nią nie byłem pewny, czy jeszcze żyje.

Kochanek trzymając się wciąż kurczowo krzewu szaławii, odwrócił się niezgrabnie i utkwiał wzrok we mnie. Minę miał posępną. Wyglądał, jakby stracił wiarę we własne siły.

— To ten samochód — odezwał się ochrypłym głosem. — Widzieliśmy, jak nadjeżdża. Mimi i ja. Coś dziwnego działo się z tym samochodem, poruczniku. — Mimo wstrząsu, jakiego doznał, myślał całkiem logicznie. — Nie rozumiem tego. Wracalem nim dziś z Reno. Był w porządku, kiedy odstawiałem go do garażu. A później... tu na drodze gwałt prosto na nas, jakby w ogóle nie miał hamulców. Jak to wytłumaczyć?

Wiedziałem niemal na pewno, co się stało w wozie, lecz nie chciałem tego mówić w obecności Wyckoffa. Wymamrotałem jedynie:

— Dobrze, że był pan na tyle przytomny, by krzyknąć, że ma otworzyć drzwi. Jeżeli żyje, to sądzę, że panu powinna podziękować za to.

Lekki uśmiech zaigrał na jego twarzy.

— Próbo... Próbowałem zatrzymać go. Tylko tyle mogłem zrobić...

Wyckoff nadal był pochylony nad żoną. Jego twarz wywieriała wstrząsające wrażenie. Powoli wyciągnął ręce spod ciała żony. Przykucnął na chwilę i skierował wzrok bezmyślnie przed siebie. Następnie zdławionym głosem szepnął:

— To te szalwie... musiały zamortyzować jej upadek.

Odniosłem wrażenie, jakby ogromny ciężar spadł mi z serca.

— Czy to znaczy, że wyjdzie z tego?

Wyckoff obrócił się do mnie. Wyraźnie rzucał się w oczy ogromny wysiłek, z jakim usiłował skoncentrować swoją uwagę na tym, co powiedziałem. Myślę, że miał nawet trudności z uprzytomnieniem sobie, kim jestem. Cedząc każde słowo z osobna, wymamrotał głosem przypominającym ton urzędowy:

— Moim zdaniem kości ma nienaruszone. Nie sądzę, aby odniosła jakieś obrażenia wewnętrzne. Stwierdziłem pewne potłuczenia i zadrapania. Jest nieprzytomna. Ona... — Przerwał i uniósł ręce do twarzy.

Domyślałem się, że wyczerpał wszystkie siły; przeświadczony, że zastał ją martwą. Teraz, gdy się przekonał, że została cudownie ocalona, nie umiał już poradzić sobie z tym szczęściem, jakie go spotkało.

Czyjś krzyk dotarł z góry: — Linka, poruczniku!

Spojrzałem do góry, Laguno spuszczał na dół długą linkę. Jeden jej koniec był przymocowany do drzewa. We trzech, z pomocą liny, wyciągnęliśmy Fleur na drogę.

Kiedy wszyscy byliśmy już na górze, Wyckoff nie odezwał się do nikogo. Wziął na ręce swoją żonę i ruszył w kierunku domu.

My za nim. Mimi, w swym średniowiecznym stroju, wciąż jeszcze pociągała nosem. Iris pocieszała ją, trzymając wpół. Lorraine i hrabia Laguno szli za nimi nie zwracając zupełnie na siebie uwagi. Kochanek i ja znajdowaliśmy się na końcu grupy.

Mimo że się nie odzywał, mogłem wyczytać w jego twarzy, że nadal zagrożony jest w rozmyślaniach. Po jakimś czasie utkwił wzrok we mnie, jakby usiłując wybadać, czy może mieć do mnie zaufanie, czy nie. Widocznie ocena wypadła dodatnio, bo rzekł:

— Martwi mnie coś od pewnego czasu... Nie chciałem nic mówić. Biedna Mimi, jest taka delikatna, wrażliwa. Wolalbym dać sobie palec uciąć, niż ją czymś zmartwić. Teraz jednak, poruczniku, jestem pewny, że ktoś dobrał się do samochodu.

Mruknąłem coś wymijająco w odpowiedzi.

— Może gdyby Mimi i mnie tam nie było — ciągnął swoje — nikt by nie wiedział, co się faktycznie stało, i uznano by to za zwykły wypadek. *Następny* wypadek — zaznaczył ironicznie. — Znałem dobrze tę furgonetkę. Od kilku tygodni już nią tu jeździłem. Nie poleciałyby tak z góry, gdyby hamulce nie nawaliły... — Zwilżył wargi językiem.

— Ten typ ma hamulce mechaniczne. Wystarczyło, że ktoś zakradł się do garażu i podpiłował linkę hamulca. A gwałtowny spadek drogi z licznymi zakrętami zrobił resztę.

Ja również myślałem w ten sposób. Niewątpliwie ktoś miał wystarczająco dużo czasu na podpiłowanie linki od chwili, gdy Fleur zaplanowała wyjazd tym samochodem do Reno, do momentu, kiedy faktycznie wsiadła do niego i ruszyła.

Ale kto?

Odgadując chyba moje myśli, Kochanek odezwał się:

— Wątpię, czy Fleur sama wyprowadziła samochód z garażu.

— To Laguno go wyprowadził — powiedziałem.

— Laguno? — Okrągła twarz Kochanka nagle pobladła. Po chwili, jakby mimo woli, dodał: — Dorothy zmarła na serce. Janet utopiła się. A Wyckoff i Chuck z łatwością przeszli nad tym do porządku. Nie wydawało im się dziwne, że dwie kobiety zmarły w ciągu dwóch dni. Też wmawiałem sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Ale teraz... — Ściszył nagle głos, choć nikt nie mógł nas podsłuchiwać. — Wydaje mi się, że coś tu nie gra, poruczniku. Naprawdę.

Ulżyło mi na sercu, gdy wreszcie usłyszałem od kogoś rozsądną ocenę i jasny pogląd na zagadkową sytuację. Dotychczas zawsze uważałem Kochankę za ofiarę, wyśmiewaną przez Mimi. Teraz znacznie zyskał w moich oczach.

Zerknąłem na niego i powiedziałem:

— Na pewno coś tu nie gra. Dwie zbrodnie i usiłowanie dokonania trzeciej, to mówi samo za siebie. Trzy żony w ciągu trzech dni. Jeżeli tak dalej pójdzie, wkrótce wszyscy zostaniemy tu wdowcami.

Ten niby żart miał złagodzić napiętą atmosferę.

Wcale jednak nie zabrzmiał wesoło.

13.

Po dotarciu do domu, Wyckoff zaniósł żonę na górę. Bill Flanders nadal przebywał w głównym holu. Stał oparty o kulę pod olbrzymim, okropnie nieprzyzwoitym obrazem, namalowanym przez jednego z „dobrze zapowiadających się” — zdaniem Lorraine — artystów z Meksyku. Flanders nie zapalił żadnych lamp. Gdy wchodziliśmy, hol wywarł na nas jakieś dziwne, niesamowite wrażenie.

I nie tylko ponury zmierzch był tego powodem. Domostwa potrafią zaskoczyć, wchłaniając nastroje swoich mieszkańców jak bibułka atrament. W pewnym stopniu wszyscy teraz obawialiśmy się o siebie. Nikt nie czuł się pewny. Nawet tak prozaiczny Kochanek przyznawał, że zagościła tu zbrodnia, zrećnie zamaskowana i pozorowana na zwykły *przypadek*, wydarzający się już trzykrotnie w ciągu trzech dni. Nasz lęk odzwierciedlał się w całym domu. Widok drzwi, prowadzących do pokoju stołowego i biblioteki, budził w nas taki niepokój, jakby za nimi groziło nam jakieś straszliwe niebezpieczeństwo. Podobnie jak schody, które niby prowadziły tylko na piętro, również wzbudzały w nas niesamowite uczucie lęku.

Lorraine zadrżała z wrażenia.

— Zapalmy światła, tu jest jak w grobowcu — orzekła. Zrobiła kilka kroków w swej czarno-malinowej sukni z tafty i szarpnęła za łańcuszki przy lampach. Gdy było już jaśniej, zawołała: — Moi drodzy, ależ my wyglądamy! — Odwróciła się do Mimi, zwięzając oczy złośliwie, jakby tylko takim wzrokiem mogła spoglądać na narzeczoną przyrodniego brata. — Mimi, kochanie, wyglądasz jakby cię jakiś szczerp Pajutów uwiódł. Czas doprowadzić się do porządku.

Lorraine, Mimi i Iris udały się schodami na górę, Laguno wśliznął się do pokoju stołowego, aby się czegoś napić. Bill Flanders przykuśtykał do mnie i Kochanka i zaczął zasypywać nas pytaniami o Fleur. Zdałem mu suchą relację. Nie byłem w stanie myśleć, kiedy wszystko wymknęło się

spod kontroli. Zabójstwo Dorothy dało się jakoś uzasadnić. Każdy, kto ją lepiej poznał, mógłby to zrobić. Nawet śmierć Janet mogła mieć jakiś motyw. Dlaczego jednak, na miłość boską, ktoś chciał zamordować małą Fleur Wyckoff?

Może pośród przedmiotów ukradzionych przez nią z pokoju Dorothy znajdowało się coś, o czym nie wiedzieliśmy, bez wartości dla nas, ale ważne dla mordercy. Prawdopodobnie w tym tkwił załączek właściwego rozumowania. Zatruty jednak posępną atmosferą domu Lorraine miałem już dosyć tych prób dociekania prawdy.

Trzy żony zamierzały rozwieść się ze swymi mężami. Dwie z nich już nie żyły, a trzecia tylko cudem uniknęła śmierci.

Można było sądzić, że to jakaś tajemnicza siła zawładnęła ponurym domostwem Lorraine i wymierzała śmierć rozwodzącym się kobietom.

W tej sytuacji wołałem się teraz napić niż zaspokajać ciekawość Billa Flandersa. Pozostawiłem go i udałem się za hrabią do pokoju stołowego. Stefano Laguno zaszył się szybko w drugi róg pokoju, kiedy tylko nappełnił swoją szklanekę whisky. Był zdenerwowany, ale teraz jakby bardziej pewny swego.

Serwowałem sobie akurat szkocką z karafki, jaka stała na bufecie w stylu królowej Anny, gdy podszedł do mnie Kochanek i nalał sobie tego samego trunku. Rzucając lakoniczne, ukradkowe spojrzenia w kierunku hrabiego Laguno, szepnął do mnie: — Nie nabrał mnie pan, poruczniku? Z tym, co pan mówił niedawno? Pan naprawdę myśli, że Dorothy i Janet zostały zamordowane?

Nie miałem siły walczyć samemu, potrzebowałem sprzymierzeńców. Opowiedziałem mu więc dokładnie wszystko, co wiedziałem i jakie miałem podejrzenia. To jakby go bardziej uspokoiło niż zaskoczyło. Przyznał, że myślał tak samo, ale uznał to za zbyt wariackie przypuszczenia. Ucieszył się, że jednak tak nie było. Był gotów do działania. Mimo swych okularów i siwiejących skroni wyglądał mało poważnie — raczej jak chłopiec palący się wręcz do gry w policjantów i złodziei.

— Musimy jak najszybciej wezwać policję — stwierdził. — Ale tym razem to pan i ja będziemy rozmawiali z policją, a nie Chuck i Wyckoff.

To odpowiadało moim zamiarom, ale chciałem, by i Wyckoff udał się z nami na policję. Powiedziałem o tym Kochankowi, dodając, że jako lekarz Dorothy, Wyckoff miał prawo zażądać sekcji zwłok. Dodałem też, że

powinniśmy powiadomić Lorraine, nim włączymy jej domowników w sprawę dwóch dokonanych i jednej zamierzonej zbrodni. Odniosłem wrażenie, że nie był zbyt zadowolony, gdy wymienilem Wyckoffa. Nie chciał chyba zwierzać się z naszej tajemnicy jednemu z potencjalnych morderców. Ale nie zgłaszał obiekcji. Ulżyło mu też, gdy powiedziałem, że ja biorę na siebie całą organizację działań. W ten sposób będzie mógł poświęcić więcej czasu Mimi. Biednej Mimi — jak się wyraził. Na pewno będzie to silnym wstrząsem dla jej wrażliwego usposobienia, gdy się dowie, że pośród nas znajduje się morderca.

Osobiście uważałem, że w tym stanie rzeczy każdy głupiec zdałby sobie sprawę z istnienia mordercy — bez potrzeby mówienia mu o tym — a Mimi Burnett, pomimo swej bez troskiej pozy, nie była aż tak kruchą istotą.

Na szczęście to nie ja byłem tutaj zaślepiony miłością.

Lorraine, Mimi i Iris zeszły do nas, znowu w pełnej krasie po sesjach przed lustrem. Przystały na drinki, ale śmierć dwóch kobiet i uniknięcie o włos ich losu przez trzecią, ostudziła zapał do rozmowy nawet u energicznej Lorraine. Siedziały sztywno obok siebie. Laguno i Bill Flanders wyraźnie nie mieli humoru, a Kochanek zwyczajowo nadszakiwał swojej narzeczonej, paradującej teraz z białą różą przy sukni.

Duszna, nieprzyjemna atmosfera holu zaczęła przenikać i do tego pokoju. Nikt nie odważył się wspomnieć o zbrodni, choć każdy tylko o niej myślał. Wszyscy siedzieli usiłując pozornie zachować odwagę, lecz w ich oczach z łatwością można było wyczytać przerażenie.

W końcu, pośród tej grobowej ciszy, oświadczyłem, że idę na górę, sprawdzić, jak czują się Wyckoffowie. Na co Lorraine, nie wypadając z roli pani domu, dodała: — Och, tak, kochany. I zapytaj, czy moglibyśmy im w czymś pomóc.

— Pójdę z tobą, Peter. — Iris podniosła się z krzesła.

Wyszliśmy do holu. Moja żona wyglądała prześlicznie, bijąc na głowę pretensjonalną toaletę Lorraine i średniowieczną kreację Mimi swoją najnowszą suknią, kremowo-białą w paski, specjalnie kupioną na mój urlop. Byłem pewny, że włożyła ją dla poprawy nastroju.

Wsunęła rękę pod moje ramię.

— Nie mogłam już się doczekać, kiedy opowiesz mi wszystko, Peter.

Mów szybko, co wydarzyło się od momentu, gdy wyszedłeś na rozmowę z Wyckoffem.

Gdy wchodziliśmy po schodach, opowiedziałem jej przebieg wypadków, jakie miały miejsce od chwili naszego rozstania się.

— I Fleur jechała do Reno, aby odnaleźć list, który ukradliśmy jej? — Iris skrzywiła usta. — Wspaniała z nas para, nie ma co. Omal nie przyczyniliśmy się do jej śmierci.

— I chociażby dla tej przyczyny będę niezmiernie uradowany, gdy nie ja, a policja poprowadzi dalej sprawę.

Iris zatrzymała się na szczycie schodów.

— Peter, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że nie będziemy musieli sami walczyć z tym wszystkim. To mi się kojarzy z tym samochodem, który nabrał szybkości, by w końcu runąć do przepaści...

Po wyrazie jej oczu poznałem, jak bardzo była tym wydarzeniem wstrząśnięta. Przykro było oglądać ją w takim stanie.

— Strasznie głupio postąpiliśmy, że nie spakowaliśmy rzeczy i nie wyjechaliśmy stąd wczoraj — przyznałem. — Teraz już za późno. Nikt nie będzie mógł wyjechać. Nie mogę sobie darować, że zepsułem nam cały urlop.

— Nie zepsułeś go, kochanie. Ja byłem tak samo zdecydowana pozostać tutaj jak i ty. A dopóki jesteśmy razem, ten urlop chyba nie jest aż tak zmarnowany, co? — Iris uśmiechnęła się, ale tylko na moment. — Choć ten dom zaczyna mnie napawać strachem. Z mordercą, który czaić się może za każdym niewinnym z pozoru wypadkiem, nie jest tu bezpiecznie. Mogą cię zabić, kiedy wejdiesz do jakiegoś pokoju czy zapalisz papierosa, albo... podczas mycia zębów. — Uśmiechnęła się lekko. — Na razie on morduje niezadowolone żony, Peter. A jak przerwuci się na te zadowolone...

Mówiła to samo, co ja powiedziałem Kochankowi, lecz w inny sposób. Nie brzmiało to wtedy zbyt wesoło. Teraz także nie było nam do śmiechu.

Udaliśmy się do pokoju Fleur.

Gdy zapukaliśmy, wyszedł do nas Wyckoff. Wyglądał na człowieka bezgranicznie szczęśliwego. Powiedział, że Fleur odzyskała już przytomność. Nie sądził, by odniosła jakieś poważniejsze obrażenia wewnętrzne. Krzewy złagodziły jej upadek. Gdyby nie zachowanie Kochanka i szczęśliwy traf z krzewami, nie byłoby dla niej żadnej szansy. Rzucił nieśmiałym wzrokiem na Iris i oznajmił mi, że skorzystał z rady i przyznał się do wszystkiego

żonie. Ona z kolei zdradziła mu powód, dla którego ukradła list. Ich pojednanie wyglądało na całkowite.

Ja z kolei oświadczyłem mu, że chcę ujawnić całą sprawę i przekazać ją policji. I dodałem: — Chciałbym wybrać się tam z panem, by opowiedział pan o akcie zgonu Dorothy i zażądał przeprowadzenia sekcji zwłok.

Obserwował mnie przez chwilę dziwnym wzrokiem, po czym odparł: — Daje mi pan uczciwą szansę ocalenia kariery. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego jest pan taki wspaniałomyślny.

Zmieszałem się.

— Och, ludzie powinni sobie pomagać.

Co do kontaktu z Fleur, przystał tylko na krótką rozmowę.

Leżała na łóżku przy oknie. Podszedłem do niej, podczas gdy jej mąż z Iris zostali przy drzwiach. Mimo zadrapań i skaleczeń twarz Fleur była rozpromieniona. W krótkich urywanych słowach podziękowała mi za pomoc, jaką okazałem w ich pojednaniu. Ponieważ częściowo z mojej winy omal nie postradała życia, poczułem się dziwnie zażenowany.

— I jaki pan był dobry, że przekazał ten list Davidowi. Powinna była podrzeć go od razu. Nie mogłam się zmusić do tego, bo chciałam, aby David najpierw wyjaśnił mi wszystko. — Uśmiechnęła się. — Teraz już go podarliśmy.

— A co do tego auta, ktoś musiał coś tam uszkodzić. Pani też tak uważa, Fleur?

Na wspomnienie niedawnego przeżycia, przerażenie odmalowało się na jej twarzy.

— Tak — odparła. — Gdy brałam pierwszy zakręt na podjeździe, już coś czułam. Chociaż hamulce jeszcze wtedy działały. Potem zorientowałam się, że nie trzymają. Jakby się zerwały.

— To może pani jeszcze coś mi powie? Kto wiedział, że chce pani jechać do Reno? Kto miał czas podpłować linkę hamulca, kiedy pani na górze rozmawiała z Lorraine?

— Jak to?! Poprosiłam tylko hrabiego, żeby przyprowadził mi samochód...

— I nikomu więcej nie mówiła pani o swoim wyjeździe?

— Nie. Jedynie Bill Flanders znajdował się w pobliżu, gdy mówiłam o tym Laguno. Coś czytał. Nie sprawiał wrażenia, że słucha, co mówię. Poza

tym nikogo więcej nie było. Mój mąż oraz pan z żoną byliście na górze. Mimi z Kochankiem wyszli na spacer. A Chuck był w Reno.

— No dobrze — powiedziałem. — Jeszcze tylko jedno. Czy w tę noc, gdy pani przetrząsała rzeczy Dorothy, zabrała pani coś jeszcze oprócz listu męża?

— Wzięłam również list, który Laguno napisał do Dorothy. — Fleur powiodła wokół niepewnym wzrokiem. — To było okropne z mojej strony, że wsunęłam go pod drzwi Janet, ale wtedy... Wydawało mi się, że ona powinna go przeczytać.

— A poza tymi dwoma listami nic więcej pani nie wzięła?

— Nie. Nic więcej.

— Czy jest pani tego pewna? Nie zabrała pani odruchowo jakiegoś małego przedmiotu, czegoś takiego, co dla pani nie miałoby absolutnie żadnego znaczenia?

Fleur poruszyła się na łóżku.

— Jestem pewna, że nic takiego nie wzięłam. Peter, co pan usiłuje...

Uśmiechnąłem się i pogłaskałem ją po drobnej rączce.

— Niech się pani nie przejmuje. Nie będę już męczył dłużej pani ładnej, choć potłuczonej trochę główki.

Wyckoff i Iris podeszli do nas. Moja żona powiedziała kilka słów do Fleur, a Wyckoff ujął rękę żony i zaczął przypatrywać się jej z uwielbieniem, jakby oczekując ukazania się aureoli wokół głowy Fleur.

Wyszliśmy. Na korytarzu Iris zauważyła:

— No cóż, Peter, tylko Laguno wiedział, że ona ma zamiar skorzystać z samochodu.

— Tylko Laguno i być może Flanders.

— Tego jednak nie mógł zrobić Bill Flanders. Bez nogi nie mógł wśliznąć się chyłkiem do garażu i szperać pod samochodem.

— Nie mógł — potwierdziłem. — Wydaje się, że nie mógł...

Niektórzy goście udawali się już na kolację, gdy wchodziliśmy do holu. Zamieniłem kilka słów z Kochankiem i uznaliśmy, że naszą decyzję zakomunikujemy Lorraine zaraz po kolacji, a następnie wezwiemy policję.

Nie wiedzieć czemu mieliśmy tego wieczoru jeść przy świecach. Podobno światło świec stwarza przyjacielski, rodzinny nastrój. Choć niezbyt

dobrze to wyszło w nowocześnie urządzonej jadalni. Drgające światła świec oświetlały twarze o dziwnie rozpalonych policzkach.

Sama kolacja była jedną z najstaranniej przygotowanych przez Lorraine, ale i to nie pomogło. Rzecz dziwna, mimo fatalnego nastawienia do siebie wielu z nas, wrogość pomiędzy Lorraine i Mimi dominowała. Prawie nie rozmawiały ze sobą. Lorraine od czasu do czasu rzucała wzrokiem przez stół na Mimi, a wówczas przy płomyku świecy można było dostrzec w jej oczach jakiś złowieszczy błysk. U Mimi było to mniej obrazowe. To światło działało zresztą korzystniej dla niej. W krótkiej bordowej sukni, z białą różą na piersi wyglądała chyba tak malowniczo, jak to sobie zapewne wyobrażała. Grzebała widelcem w talerzu, robiąc przerwy na pogłaskanie róży. Jedna rzecz zwracała szczególną uwagę — jej pewność siebie, która nic innego nie mogła oznaczać, jak osiągnięcie jakiegoś sukcesu.

Przypuszczałem, że Mimi coś knuła w stosunku do Chucka Dawsona, ale nie wiedziałem co. Nie rozumiałem, co mogło łączyć Mimi z Chuckiem.

Rzuciłem okiem na Kochanka w nadziei, że u niego mógłbym znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Lecz on prozaicznie pochłonięty był swoim talerzem i na nic nie zwracał uwagi.

Po kolacji obaj z Kochankiem poprosiliśmy Lorraine o rozmowę na osobności. Zaprowadziła nas więc do małego pokoiku za biblioteką, którego nigdy przedtem nie widziałem. Urządzony był w stylu francuskim z pięknym dywanem, krzesłami pokrytymi żółtym brokatem i sewrską porcelaną. Na kominku palił się ogień. To wewnątrz musiał zaprojektować jeden z lepszych dekoratorów Lorraine.

Ona sama przysunęła jedno z krzesel bliżej kominka i tam usiadła. Wyglądała fantastycznie — te małe, żywe ręce, wspaniałe włosy i czarnomalinowa suknia doskonale harmonizowała z pokojem. Kochanek usiadł na kanapie. Mimo korpulentnej sylwetki wyglądał tym razem poważnie i tajemniczo. Ja stanąłem przy kominku, obok Lorraine.

— A więc, kochani — odezwała się po chwili. — O co chodzi?

Odniosłem wrażenie, że nie będzie tak łatwo. Lorraine od początku zaczęła wspaniale naśladować ostrygę. Nie miałem o to do niej żalu. Przecież była taka bogata! A przy tym wciąż istniał niejaki pan Throckmorton i jego podwładni trzymający ją z dala od ludzi, wśród których niejednokrotnie główną rolę odgrywała zbrodnia. Opowiedzieć jej o mordercy, który

zapewne znajdował się w domu, znaczyło tyle samo, co opowiedzieć bajeczkę jakiejś księżniczce, że z winy różdżki czarodziejskiej ropucha zamiast zamienić się w księcia, będzie musiała nadal pozostać ropuchą.

Kiedy jednak zacząłem mówić o furgonetce, Lorraine zaskoczyła mnie, wtrącając się w ledwie rozpoczęte zdanie.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś podpalił linkę hamulca. Też na to wpadłam. Hamulce były sprawdzane dokładnie tydzień temu. — Światło ognia płonącego w kominku padło na jej pobladłą, dziewczęcą twarz. — Mogę robić wrażenie idiotki, kochani, ale nie jestem taka głupia. Ktoś usiłował dzisiaj zamordować Fleur. — Spojrzała na nas. — To znaczy, że i Dorothy, i Janet zostały zamordowane. Ten wstrętny hrabia Laguno od samego początku miał rację. Chcecie wezwać policję, prawda? Dlatego wyciągnęliście mnie tutaj, aby mnie delikatnie o tym poinformować, jakbym była starą, schorowaną babcią w koszuli nocnej i różowym czepku na głowie.

— Cieszy mnie, że zajęłaś takie stanowisko, Lorraine — odezwałem się.

— A czego niby ode mnie oczekiwałaś? Wierzyłam Davidowi i... i Chuckowi w sprawie śmierci Janet i Dorothy. Dlaczego nie miałam wierzyć? Nie zachodziły żadne okoliczności, dla których należało kogoś podejrzewać. Ale teraz... Peter, co to wszystko ma znaczyć? Co tu się dzieje? — Rzuciła błagalne spojrzenie na mnie i na swego przyrodniego brata. — Zaprosiłam te kobiety tutaj. Zaprosiłam również ich mężów. Przypuszczam, że postąpiłam idiotycznie. Lecz miałam swoje powody. Chciałam, aby wszyscy byli szczęśliwi. Nigdy, nigdy by mi się coś takiego nawet nie przyśniło... Peter. Zaprosiłam je do siebie i... i one już nie żyją...

W jej oczach ukazało się przerażenie. Podeszedłem do niej i ująłem za rękę.

— Skarbie, to nie była twoja wina — powiedziałem.

Wstała z krzesła, cofnęła rękę i utkwiała wzrok we mnie.

— Peter, powiedz, kto to jest? Kto to robi?

— Przykro mi, ale też nie wiem.

Kochanek wstał również.

— Nie martw się, Lorraine — odezwał się. — Przypuszczam, że policja wykryje mordercę. Spiszą się dobrze, zobaczysz.

— Teraz chcecie ich wezwać? — spytała Lorraine.

— Im wcześniej, tym lepiej — stwierdziłem stanowczo. — Nie wiadomo, czy znowu coś się nie wydarzy.

— Jaka szkoda, że pan Throckmorton musiał przerwać swoją podróż! — Lorraine ścisnęła mnie kurczowo za ramię. — Peter, kochanie, zaczekajmy jeszcze do powrotu Chucka z Reno. Powinien tu się zjawić lada moment.

— Dlaczego mamy czekać na Chucka? — spytał Kochanek z odcieniem wrogości w głosie. — Sama przyznałaś, że należał do osób, które usiłowały zatuszować zbrodnię.

— Tego nie powiedziałam. — Lorraine odwróciła się do mnie. — On daje do zrozumienia, że Chuck celowo wprowadził w błąd policję. To nie jest zgodne z faktami, prawda?

— Niezupełnie — przyznałem. — Chuck postąpił tak za namową Wycykoffa. A Wycykoff przyznaje teraz, że popełnił błąd. Mówi, że Dorothy mogła zostać otruta. Chce prosić policję o przeprowadzenie sekcji zwłok. — Wyczytując z jej oczu, jak bardzo kocha Chucka i że podejrzenie go o dokonanie zbrodni może być zabójcze dla niej, dodałem szybko: — Nie martw się o Chucka. Znasz go lepiej niż my. Doskonale wiesz, do czego jest zdolny, a do czego nie.

Lorraine odwróciła się do swego przyrodniego brata.

— Kochanek... Co za okropne przydomko! Dlaczego nazywam cię Kochankiem? Przecież matka dała ci na imię Walter i tak powinnam się do ciebie zwracać. A więc, Walterze, proszę, poczekajmy na powrót Chucka.

Kochanek spojrział na mnie niezdecydowany.

— No cóż...

— Proszę cię. — Lorraine podeszła do niego. — Walter, nie rozumiesz? Ty nie byłeś nigdy zamożny. Och, wiem, że to musi być dla ciebie przykre, że twoją siostrą jest taka uparta i zarazem zamożna kobieta. Ale tak wyszło, i dlatego wszyscy o mnie czytają i o mnie mówią. Wszystko, co mi się przydarzy, uważa się zaraz za skandal. Pomyśl, ile będę miała nieprzyjemności... I to do końca życia. Ludzie będą wytrzeszczać na mnie oczy ze zdumienia i szeptać sobie na ucho: „To ta Lorraine Pleygel. Zawsze intrygowały mnie te kobiety, które zostały zamordowane w jej domu. Ludzie mówią, że podobno...” A Chuck zna wszystkich policjantów w Nevadzie. Gdy skontaktuje się z nimi i porozmawia, staną się bardziej wyrozumiali. Dołożą wszelkich starań, aby mi pomóc. Moje dobre imię nie będzie

wtedy szargane na pierwszych stronach wszystkich gazet. Nie rozumiesz tego?

Kochanek niezdarnie pogłaskał ją po rękę.

— No dobrze, masz rację. Poczekamy na Chucka?

— Jestem za — dodałem.

— Dziękuję wam, moi drodzy. Bardzo dziękuję.

Lorraine wyjęła z małego pudełka papierosa i zapaliła go. Ponownie podeszła do kominka. Nikt z nas się nie odzywał. Gdy spojrzałem na szczupłą, szykowną postać Lorraine na tle drgających płomieni, zacząłem się zastanawiać. Znałem ją i lubiłem od lat, ale ciągle była dla mnie tajemnicza. Chociażby dla jednego powodu. Dlaczego nie wyszła za mąż? Odkąd ją poznałem, zaręczała się co najmniej pięciokrotnie. Za każdym razem musiało jej coś przeszkodzić. Czy to była kwestia jej pieniędzy? Czy nie odkrywała nagle, że chodziło im o majątek Pleygelów, a nie o nią samą? Zastanawiał mnie również Chuck — ten uroczy hazardzista, nikomu z nas prawie nieznanym. Byłem pewny, że Lorraine szalała za nim. Zauważyłem to wyraźnie w jej oczach, gdy mówiła o nim.

I coś jeszcze dostrzegłem w jej oczach. W mojej wyobraźni zamajaczyła zdradliwa, drobna twarzyczka Mimi Burnett. Mimi z białą różą i w ekskluzywnej kreacji, Mimi przesadnie czuła dla Kochanka i Mimi rzucająca przebiegle namiętne spojrzenia na Chucka. Czy to, co dostrzegłem w oczach Lorraine, nie odnosiło się przypadkiem do Mimi? W małym pokoiku zapanowała kompletna cisza. Nagle od strony okna dał się słyszeć odgłos samochodu zatrzymującego się przed drzwiami frontowymi.

Lorraine rzuciła z zadowoloną miną:

— To na pewno Chuck przyjechał.

— Chodźmy więc do niego — odezwał się Kochanek.

Wyszliśmy do biblioteki. Siedział tu Laguno, pogrążony w jakiejś lekturze. W pośpiechu minęliśmy go i udaliśmy się do holu. Drzwi frontowe były uchylone. Lorraine szybko je minęła. Podążyłem tam również i niespodziewanie zderzyłem się z nią. Stała jak skamieniała tuż przed drzwiami.

Zerknąłem ponad jej głowę. Samochód Chucka stał tam. Nie to jednak skupiło moją uwagę, tylko Mimi i Chuck. A właściwie Mimi w objęciach Chucka.

Przywarli do siebie w namiętnym uścisku.

14.

Chuck i Mimi odskoczyli od siebie, ale było już za późno. Chuck jak zwykle miał na sobie opięte dżinsy i kraciastą koszulę rozpiętą pod szyją. Cała ich zuchwałość zniknęła od razu. Mimi nieoczekiwanie, dla przyzwoitości, udała mocno speszoną. Jej usta, lekko rozchylone, miały oznaczać uśmiech słodkiej, małej dziewczynki, lecz przypominały bardziej minę złapanej w potrzask łasicy. Przypięta na jej biuście biała róża była żałośnie zgnieciona. Jeden z płatków opadał swobodnie w dół. Otepiałym wzrokiem obserwowaliśmy go, jak kręcąc się w powietrzu, legł delikatnie na ziemi.

Wszyscy utkwiliśmy wzrok w tym płatku róży z wyjątkiem Lorraine. Ta intensywnie wpatrywała się w Mimi. Milczenie jej było zdumiewające i przerażające zarazem.

— Mimi, spakuj swoje rzeczy — odezwała się wreszcie. — Musisz natychmiast opuścić mój dom!

Ton jej głosu był pełen pogardy. Zwracała się jak pani domu do niechlujnej pokojówki.

Kochanek utkwził zdziwiony wzrok w swej narzeczonej i Chucku. Nagle jego pulchny podbródek zaczął drżeć. Obrócił się do Lorraine.

— Takie postępowanie wymaga jakiegoś... wyjaśnienia.

— Oczywiście, że wymaga wyjaśnienia — podchwyciła Lorraine. — Gdybyś nie był tak ślepo w niej zakochany, to byś wcześniej to zauważył. Tego wieczoru, gdy zeszliliśmy wszyscy na dół, tak pokierowała sprawą, że tylko z Chuckiem udała się samochodem do Reno. W samochodzie niewątpliwie mogła z nim robić, co jej się tylko podobało. Następnie na sali tanecznej tańczyła z nim rumbę. Trzeba było zobaczyć, jak się kręciła w tańcu. Jaka była szczęśliwa. Potem zaczęła kpić sobie ze mnie, wytykając, że jestem idiotycznie ubrana. A gdy Chuck twierdził, że mój kostium kąpielowy jest nieodpowiedni, to też nie był jego pomysł. To sprawka Mimi. Chciała poniżyć mnie w jego oczach, a siebie przedstawić z jak najlepszej strony. Albo gaworzyła z nim czule, podając mu drinki, gdy czuł się zmęczony. Chciała wykazać, jaką wspaniałą żoną mogłaby być. — Wzruszyła ramionami. — Wszystko to było takie jasne, że aż doprowadzało mnie do mdłości.

Chuck zapatrzył się w swoje stopy. Mimi nadal się nie odzywała. Kochanek, kompletnie zdezorientowany, wyjąkał:

— Ależ, Lorraine, ona... Ona jest zaręczona ze mną!

Lorraine położyła rękę na jego ramieniu.

— Mój drogi, nie chciałam powiedzieć ci nic przykrego. Widocznie się pomyliłam jak zwykle. Ale ty dajesz się tak łatwo okpić. W podłym oszustwie dostrzegasz tylko słodką prawdę. Bóg raczy wiedzieć, gdzie poderwałeś Mimi. W Las Vegas, prawda? Dlaczego się z tobą zaręczyła? Nie jesteś przecież Adonisem, mój biedaku. Nie rozumiesz? Jako mój brat przyrodni stanowiłeś dobrą partię do małżeństwa. Ale gdy przywiozłeś ją tutaj, a ona zdała sobie sprawę, że majątek nie przypadł ci w udziale, wówczas twoja osoba nabrała dla niej innego znaczenia. Pojawił się jednak Chuck, wielki hazardzista, posiadający własny klub w Reno... o wiele bardziej obiecująca ofiara, mimo że był zaręczony ze mną. Podeszła go oczywiście bardzo chytrze. A ty byłeś wodzony na pasku, na wszelki wypadek.

Kochanek zamrugnął oczami. Lorraine odwróciła się do Mimi.

— To cała ty — powiedziała — ze swoją poezją i mizdrzeniem się. „Kochanek zerwał dla mnie różę!” I gdzie tylko się ruszyłaś, leciały za tobą wróżki i tańczyły dla was. A tak naprawdę to jesteś tylko zwykłą dziwką!

Mimi była teraz blada, jak jej zgnieciona róża. Zrobiła pół kroku w kierunku swego narzeczonego.

— Kochanku... — zaczęła.

Kochanek lekko się uśmiechnął.

— Jestem pewny — odezwał się — że to wszystko prawda, Mimi. Zastąpiła pomyłka. Trzeba będzie...

Lorraine roześmiała się.

— Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś zalecała się do Kochanka, Mimi. Nie wiem, jak dalece jesteś zaangażowana uczuciowo jeśli chodzi o Chucka, ale obawiam się, że tracisz tylko swój cenny czas. Po pierwsze, on nie ma własnych pieniędzy, lecz tylko te, które ja mu dałam. Po drugie, nie szuka żony. — Zawahała się. Wszyscy obserwowaliśmy ją w napięciu. Cichym głosem, niemal szeptem, dodała: — Chuck jest moim mężem od prawie sześciu miesięcy.

Zachwiałem się z wrażenia. Kochanek otworzył szeroko usta. Mimi natomiast przechyliła się w swej wieczorowej sukni, jakby kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Nad górną wargą Chucka ukazały się krople potu.

— Lorraine...! — wykrzyknął.

Obróciła się w jego stronę.

— Cóż szkodzi powiedzieć to teraz? Mieliśmy przecież zamiar zrobić to w obecności pana Throckmorta. — Zwróciła się do mnie. — To jest właśnie powód, dla którego zaprosiłam go tutaj. Mieliśmy najpierw powiedzieć o tym jemu, bo jest moim prawnym opiekunem. A potem obwieścić wszystkim o naszym małżeństwie i wziąć drugi ślub, *prawdziwy* ślub. I dlatego zaprosiłam tutaj wszystkie moje najlepsze koleżanki, bo czułam się taka szczęśliwa. I chciałam pogodzić je z ich mężami, aby były równie szczęśliwe. — Nagle gorzko roześmiała się. — Jakie to dziwne, prawda? Moje koleżanki nie pojednały się z mężami, już nie żyją. A mąż oszukał mnie jeszcze przed ogłoszeniem naszego małżeństwa.

Na przystojnej twarzy Chucka odmalowało się cierpienie. Zrobił krok do przodu w jej stronę.

— Lorraine, kochanie, posłuchaj...

Lorraine nie zważając na niego, zwróciła się do Mimi.

— Nie chcę robić awantury, Mimi. Spakuj się i opuść mój dom.

— Na pewno to zrobię — odparła Mimi, ściągając usta. — Nie mam zamiaru pozostawać nawet minuty dłużej w domu, gdzie mnie znieważają.

Usiłując przywołać ich wszystkich do rzeczywistości, wtrąciłem:

— Mamy zamiar wezwać policję. Gdy dowiedzą się, co tu zaszło, bardzo wątpię, czy pozwolą komukolwiek opuścić ten dom.

Mimi gwałtownie odwróciła się do mnie.

— W końcu pan się przelamał. Przyznaje pan, że dwoje gości Lorraine zostało zamordowanych. Pięknie. Wobec tego tym bardziej wyjeżdżam stąd. Gdyby policja potrzebowała mnie, choć trudno wyobrazić sobie po co, pozostawię wam adres. Mogą do mnie dotrzeć bez problemu.

Przybrała wyzywającą pozę i energicznym krokiem przeszła obok nas, kierując się do drzwi frontowych.

Kochanek ruszył za nią.

— Mimi...

Zatrzymała się na schodkach i obrzuciła go mało zachęcającym spojrzeniem.

— Mężczyzna, który stoi spokojnie i słucha, gdy ktoś mnie znieważa, nie jest mi potrzebny. Skończyłam z tobą. Naprawdę. Skończyłam, jasne?! — Roześmiała się chrapliwym głosem. — I nie myśl, że mnie to wielce smuci, Kochanku.

Po tych słowach zniknęła w głębi domu.

Kochanek zawahał się przez moment. Potem odwrócił się do Lorraine.

— Moja droga, wydaje mi się, że potraktowałaś ją zbyt surowo, byłaś bardzo niesprawiedliwa i nieuprzejma w stosunku do niej.

I powiedziawszy to, pędem wbiegł do domu, wołając: „Mimi! Mimi!”. Jak tenor w ostatniej scenie „Cyganki” Pucciniego.

Chuck nie zwracał uwagi na Kochankę, na Mimi ani na mnie. Spoglądał tylko na Lorraine. Wargi miał mocno zaciśnięte. Nagle szybkim krokiem podszedł i objął ją silnie. Usiłowała mu się wyrwać, ale nie dopuścił do tego.

— Skarbie, wiem, że powstała przykra sytuacja — zaczął stłumionym głosem. — I muszę ci coś wyjaśnić. Powiniennem być już dawno, bo to całe moje nikczemne postępowanie...

— Co tu jest do wyjaśniania? — przerwała mu Lorraine.

Czuło się jednak, że Lorraine chciała pozostać w jego ramionach; ona walczyła nie tyle z nim, co raczej sama ze sobą.

— Całowałaś Mimi. Tego nie da się zwyczajnie wyjaśnić. Ale nie chodzi mi o ten pocałunek. Nie rozumiem, jak mogłeś tracić czas na zabawianie się z taką ponurą, o płytkim umyśle oszustką jak Mimi.

— Ależ, Lorraine, posłuchaj...

— Och, rozumiem teraz. Byłabym skończoną idiotką, gdybym tego nie rozumiała. Powiedziałeś, że chcesz zachować nasz ślub w tajemnicy, bo byłeś biedny i czułbyś się skrepowany, gdyby ludzie się dowiedzieli, że ożeniłeś się z Lorraine Pleygel. Uwierzyłam ci. Pożyczyłam pieniądze na otwarcie klubu, bo chciałeś, jak mówiłeś, zyskać powodzenie i szerszy rozgłos przed ogłoszeniem naszego małżeństwa. Niewątpliwie odniosłeś sukces. Lecz jesteś taki sam jak inni. Ożeniłeś się ze mną, bo zależało ci na dolarach Pleygelów. I chciałeś utrzymać małżeństwo w tajemnicy, aby z dumą przechadzać się po *własnym* klubie, Klubie Chucka. Atrakcyjny, młody kawaler z pieniędzmi, namiętny i niezależny. Powiedz mi, z iloma rozwódkami zabawiałeś się w Reno tak jak z Mimi?

Oczy Chucka błysnęły. — Kocham cię, Lorraine. Jesteś jedyną kobietą, którą kocham. Ja...

Lorraine wreszcie uwolniła się z jego objęć.

— Nie okłamuj mnie. Jak śmiesz tak mówić!

— To nie jest kłamstwo.

Jej wargi drżały. Wyjęła czarno-malinową chusteczkę i wytarła nos. — Nigdy już nie będzie tak, jak było — wymówiła drżącym głosem. — Nigdy!

Odwróciła się gwałtownie i wbiegła po stopniach do domu.

Chuck nie pośpieszył za nią. Stał jak oszołomiony. Ja sam czułem się zaszokowany. Dlaczego ten człowiek, zdawałoby się przy zdrowych zmysłach, pozwolił sobie flirtować z Mimi Burnett, doprawdy trudno było zrozumieć. Nie mogłem wprost uwierzyć, by Chuck mógł tak postępować, będąc już mężem Lorraine. Nie żywiłem zbyt dużej sympatii dla niego. Odezwałem się nie bez ironii:

— Moje gratulacje z okazji zawarcia związku małżeńskiego.

Poruszył się i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Ach, te kobiety! — westchnął ciężko. — Jakby człowiek nie postąpił, kobiety zawsze są kobietami...

Po tym wnikliwym stwierdzeniu nie było nic więcej do dodania.

Nie należało też odsuwać na dalszy plan zasadniczej sprawy. Zawile sprawy miłosne Chucka mogły być ważne dla niego, lecz nie stały w żadnej proporcji do dwóch popełnionych zbrodni. Doszedłem do wniosku, że nastął dogodny moment, by wyjaśnić mężowi Lorraine, co wydarzyło się podczas jego nieobecności. Bez ogródek powiedziałem mu o usiłowaniu zgładzenia Fleur. Nadmienilem również, że Wyckoff, Kochanek i ja zamierzamy przekazać całą sprawę w ręce policji.

Jeżeli sądziłem, że te wieści wprawia go w osłupienie, to się mocno pomyliłem. A kiedy usłyszał, że Wyckoff ma zamiar prosić o sekcję zwłok Dorothy, rzucił oschle:

— Niech ten facet, do cholery, wreszcie zdecyduje się na coś! On przecież uznał, że zmarła na atak serca. Gdybym go nie słuchał, nigdy bym... — Zawahał się i utkwił we mnie przenikliwe spojrzenie. — Byłem naiwny. Oszukałem sam siebie. Rozumiem to teraz. Wyobraziłem sobie wówczas, że żadna zbrodnia nie może mieć tu miejsca, w tak luksusowym domu i w towarzystwie przyjaciół Lorraine. I chyba byłem w błędzie.

— Mnie też się tak wydaje — zauważyłem.

Na co Chuck gwizdnął przez zęby i dodał: — Dorothy, Janet, Fleur... co to ma znaczyć, poruczniku? Czy ktoś zabawia się w ten sposób?

— Wolalbym, żeby pan mi zadał jakieś łatwiejsze pytanie.

— Pan... pan nie przypuszcza chyba, że jeszcze coś takiego może tu się zdarzyć, co?

— Będę bardzo rad, gdy przybędzie policja — odparłem. I dodałem, że Lorraine chciała, by to on sam wezwał policję.

— Oczywiście — potwierdził z zapalem, odzyskując na nowo energię. — Inspektor Craig to równy gość. Ma lotny i nieprzeciętny umysł. Jest najzdolniejszy w całej policji. — Ruszył w stronę domu. — Idziemy. Straciłmy już sporo czasu.

Odniosłem wrażenie, że Chuck Dawson łatwo przystosował się do sytuacji. Jeszcze rano był zdania, że wszystko jakoś samo się ułoży. A teraz nie zwlekał ani minuty.

Kiedy dotarłem za nim do pustego salonu, kończył już rozmowę i odkładał słuchawkę.

— Craig przybędzie tutaj za jakieś półtorej godziny. Powiedziałem mu tylko, żeby przyjechał. Nic więcej.

— Doskonale.

Znow uśmiechnął się do mnie niewyraźnie.

— Aha, poruczniku, byłbym panu wdzięczny, gdyby pan nie wspominał policji o naszym małżeństwie i o tej historyjce z Mimi. Dla dobra Lorraine. Bo Mimi nie warto się przejmować. Udam się teraz na górę i spróbuję wytłumaczyć się mojej małej damie.

Powiedział te słowa z pewną dumą w głosie. Ale gdy spojrzałem na jego twarz, nie byłem już taki pewny, czy „wytłumaczy się małej damie”.

15.

Olbrzymi salon wyglądał ponuro jak kostnica. Cały dom zaczynał działać mi na nerwy. Dopiero przed dwoma dniami stanowiliśmy dość wesołe towarzystwo. A teraz? Dorothy i Janet nie żyją. Bill Flanders i hrabia są wdowcami. Fleur o włos uniknęła śmierci i znajdowała się teraz jako pacjentka pod opieką swego męża. Kochanek, a raczej znowu Walter French, leczył złamane serce, podczas gdy Lorraine, której tajemnicze małżeństwo znalazło się obecnie na zakręcie, zamknęła się zapewne w swym pokoju, odmawiając wysłuchania wyjaśnień Chucka. Tylko Iris i ja byliśmy tutaj w dobrej komitywie.

Prawdopodobieństwo wypadku w tej luksusowej posiadłości było tak samo wysokie, jak podczas sztormu na Pacyfiku.

Chyba żadnemu porucznikowi marynarki nie śniło się, że mógłby spędzić urlop w tak niefortunnych okolicznościach.

Zrobiłem sobie drinka, żeby zapomnieć o wszystkim i myśleć już tylko o Iris. Po chwili zaniepokoiłem się jej nieobecnością. Chciałem właśnie udać się na poszukiwania, gdy nagle przykuśtykał o kuli Bill Flanders. Eksmarnarz zbliżył się do mnie. Jego zachowanie zdradzało niepokój.

— Poruczniku — odezwał się — chciałbym pana o coś zapytać.

Właśnie wychodziłem z holu, gdy usłyszałem, jak Chuck przez telefon wzywał policję. Mają przyjechać dziś wieczorem, prawda?

— Tak — przyznałem. — Policja będzie tu za jakąś godzinę.

Spojrzał na swoje ręce boksera. — I rozumiem, że przyjeżdżają z powodu tego wypadku z Fleur dziś po południu?

Pomyślałem, że nie było sensu trzymać dłużej tej sprawy w tajemnicy.

— Wzywamy policję — odparłem — bo ktoś usiłował dzisiaj zamordować Fleur, a Dorothy i Janet również są ofiarami mordercy.

Odniosłem wrażenie, że nie zaskoczyło go to.

— Tak przypuszczałem, poruczniku. Po tym, co się wydarzyło z Janet, doszedłem do wniosku, że i Dorothy została zamordowana.

W innej sytuacji taka wiadomość wywołałaby wstrząs, ale wiedziałem, że Bill był wręcz zadowolony ze śmierci Dorothy i do tego zdawał sobie sprawę, że ja o tym wiem. Przynajmniej w tej sprawie rozumieliśmy się doskonale.

— Zdaje się — zaczął po chwili — że ten zwariowany testament Janet, w którym przeznaczyła całą swą forszę dla mnie, znajduje się u pana, czy tak?

— Tak — przyznałem z zaciekawieniem.

— Nie jestem nim zachwycony. — Jego głos brzmiał sucho. — Ona prawie mnie nie znała. Przekazała mi wszystko pod wpływem kaprysu. Nie wiem, czy mam w tym wypadku rację, poruczniku, ale chciałbym prosić pana o przysługę. Niech pan podrze ten testament i zapomni o nim.

— Mam podrzeć testament, Bill? Pan wie, że tego nie mogę. Janet przekazała mi go w zaufaniu.

Spojrzał na mnie stanowczym wzrokiem.

— Nie chcę jej forsy — zaznaczył.

— Niech pan posłucha, Bill. Postępuje pan jak szaleniec. Janet pozostawiła panu majątek, bo chciała wynagrodzić krzywdę, jaką zrobiła panu Dorothy. Nie życzyła sobie, by jej mąż otrzymał po niej majątek. Jeśli zniszczy testament, Laguno przejmie cały majątek. Czy pan uważa, że Janet byłaby zadowolona z tego?

Bill lekko się uśmiechnął.

— Myślę, że nie. — Nagle uśmiech znikł z jego twarzy. — Ale ten majątek to przede wszystkim elegancki sklep z konfekcją damską, prawda? Poruczniku, to chyba nie jest interes dla mnie...

— Może pan go sprzedać. To dobry sklep. Za te pieniądze w połączeniu z resztą kapitału będzie pan żył naprawdę nieźle. — Rzuciłem okiem na podwiniętą nogawkę spodni, w której tkwił kikot nogi. — Trudno byłoby panu znaleźć dobrą pracę... Niech pan nie będzie frajerem. I bierze to, co pan dostaje. A jeżeli będzie pan chciał zrobić jakiś szlachetny gest, to zawsze może pan ufundować, na przykład, dom dla emerytowanych bokserów wagi półciężkiej!

Wyglądał na zakłopotanego. Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem, po czym potrząsnął głową.

— No dobrze. Skoro to będzie właściwe wyjście. Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

Odwrócił się na swej kuli i ruszył do wyjścia.

— Nie widział pan mojej żony, Bill?! — zawołałem za nim.

— Widziałem. Jest w bibliotece. Czyta coś.

Minąłem go i dotarłem do holu. Tu trafiłem na Chucka Dawsona, schodzącego akurat sztywnym krokiem po schodach. Twarz miał ponurą, wzburzoną.

Gdy zrównał się ze mną, zauważyłem:

— Czyżby Lorraine nie chciała wysłuchać pańskich wyjaśnień?

Nie odpowiedział. Rzucił tylko gniewne spojrzenie i ruszył prosto do frontowych drzwi. Po chwili zniknął, trzaskając nimi głośno.

Iris była sama w bibliotece, siedziała w pobliżu półkolistego okna z jakimś grubym tomem na kolanach. Odłożyła go na mój widok, wstała i ruszyła w moją stronę. Każdy jej krok robił wrażenie. Nic dziwnego, że Hollywood dostrzegło w niej gwiazdę.

— Co się tam znowu stało, Peter? — spytała. — Oni biegną po schodach jak zwariowani. Najpierw Mimi, potem Kochanek, Lorraine i niedawno Chuck.

- Wiele rzeczy się wydarzyło — odparłem.
- Wezwałeś policję?
- Tak. Wkrótce tu będą. Co czytałaś?
- Och, chciałam znaleźć trochę więcej szczegółów o kurarze. Jestem pewna, że rozwiązanie tej zagadki tkwi w pierwszej zbrodni. Jeżeli tylko będziemy mogli ustalić, jak otruto Dorothy, reszta może wyjaśnić się sama.
- Wzruszyła bezradnie ramionami. — Nic tu jednak nie odkryłam.
- I nie ma potrzeby, kochanie. Teraz zajmie się tym policja.
- Wiem. — Moja żona wcale nie wyglądała na zadowoloną. — Będzie nam lżej, gdy przybędzie. Czujemy się bezpieczniej. Tylko widzisz, Peter, mój umysł też chyba nieźle pracuje. I nie lubię pozostawiać spraw nie dokończonych.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że schyliłem się i pocałowałem ją, dodając: — Oto cała nasza Iris Duluth, czarujący detektyw z Hollywoodu.

— Peter, nie nabijaj się ze mnie. Oszalałabym chyba, gdybym miała wyjechać stąd, nie wiedząc dlaczego te kobiety zostały zamordowane. Mamy rękawiczkę Dorothy, poplamioną kurarą. Myślałam o tych rękawiczkach. One są skórzane, kochanie. Trudno przez nie ukłuć się w palec. Są za twarde. To znaczy, że rękawiczka była już poplamiona, gdy wkładała ją do swej torebki. Mam torebkę, a w niej brak śladu kurary. Jeżeli do torebki była przymocowana jakaś pułapka z trucizną, to ktoś musiał dostać się do niej i zabrać pułapkę. A to każdy mógł zrobić zaraz po śmierci Dorothy. — Iris była wzburzona. — Och, to wszystko jest takie denerwujące...

Miała rację co do tej pułapki z trucizną. Wyckoff wypowiedział się dość jasno na ten temat. Sekcja zwłok może okazać się niewystarczająca dla udowodnienia, że Dorothy została otruta kurarą. A jeśli tego nie da się stwierdzić, trudno będzie udowodnić, że i śmierć Janet nie była przypadkowa.

Iris odrzuciła głowę do tyłu i oświadczyła:

- Peter, ja muszę odkryć, jak Dorothy została otruta, bo inaczej zwa-riuję. A nie chciałbyś tego, prawda?
- Oczywiście, że nie — odparłem.
- A więc i ty się nie poddawaj, dlatego tylko, że policja tu przybędzie. Pomagaj mi nadal. I mów, co się nowego wydarzyło. — Westchnęła. — To nie fair. Ty zawsze wiesz o czymś przede mną...

— Dobrze, kochanie. Opowiem ci wszystko, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że wyjdziemy z tej okropnej biblioteki i udamy się na górę do naszego pokoju, gdzie będę mógł cię pocałować, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Iris ujęła mnie pod rękę i przeszliśmy do holu. Nie było w nim nikogo. Przedtem ten dom aż roił się od ludzi. Teraz wydawało się, że należy tylko do nas. Ale już na schodach trafiliśmy na Mimi Burnett; zbiegała z góry. Do sukni miała doczepioną futrzaną etolę, a w rękę ścisnęła walizeczkę. Gdy zbliżyła się do nas, jej małe, ciemne oczy zmierzyły mnie zimnym spojrzeniem.

— Biorę samochód Chucka. Jeżeli komuś będę potrzebna, to znajdzie mnie w „Riverview” w Reno.

Zaszeleściła suknią i szybkim krokiem wyszła drzwiami frontowymi, pozostawiając je otwarte.

Iris obejrzała się za nią ze zdziwieniem.

— Co ona wyrabia, na miły Bóg?

— Właśnie o niej i o innych sprawach zaraz ci opowiem.

Weszliśmy do pokoju i rzuciliśmy się na nasze łóżka. Wszystko inne w tym pokoju było zbyt kanciaste i zbyt wymyślne, by mogło być wygodne. Zdałem żonie barwną relację, nie pominąwszy rozmowy z Billem Flanderssem na temat testamentu Janet.

— Tak to wygląda — dodałem na koniec — i dobrze, że Chuck mógł ściągnąć tu tego inspektora Craiga. To podobno facet do rzeczy i utrzyma pewne fakty w tajemnicy, jeśli w ogóle można w tajemnicy utrzymać sprawę trzech zbrodni...

Iris oparła głowę o moje ramię i spoglądała na mnie poważnym wzrokiem.

— Nigdy bym nie wpadła na to, że Lorraine wyjdzie za Chucka. Co prawda to typ męzczyzny, o jakim marzą wprost kobiety z fortuną. Jest przystojny, silny. Tylko dlaczego, na miłość boską, utrzymywali to swoje małżeństwo w tajemnicy?

— Przypuszczam, że był to pomysł Chucka. Nie chciał, żeby plotkowano, iż ożenił się z Lorraine, nie mając grosza przy duszy. Lorraine pożyczła mu pieniądze na otwarcie klubu. Chcieli zapewne poczekać na pierwsze profity. Gazety pisałyby wtedy o Chucku jako o bogatym człowieku w Nevadzie.

— I z pewnością obecnie jego klub prosperuje pomyślnie. Robi przeciwieństwo od dłuższego czasu złote interesy.

— Na pewno. Tak czy owak przygotowywali się do ogłoszenia małżeństwa. Dlatego właśnie Lorraine zaprosiła do siebie mitycznego pana Throckmorta. Chciała, by on pierwszy o tym się dowiedział i przekazał jej swe opiekuńcze błogosławieństwo. Przy sposobności ściągnęła nas tutaj, jak również państwa Laguno, Flandersów i Wyckoffów. Chciała ich pojednać, aby wszyscy byli szczęśliwi z okazji jej własnego ślubu.

Iris zmusiła się do uśmiechu.

— Biedna Lorraine, to akurat jej nie wypaliło...

— W zasadzie tak.

— Nie rozumiem tylko Mimi, kochanie. Dlaczego, na miłość boską, Chuck kręcił z tą okropną oszustką, skoro o jego małżeństwie mieli się dowiedzieć teraz wszyscy? Jestem kobietą i być może dlatego nie znam się na tych sprawach. Czy Mimi jest tak czarującą kusicielką, by dla niej taki mężczyzna jak Chuck mógł zapomnieć o miłości, honorze i milionach Pleygelów?

— Jeżeli o mnie chodzi, to nie zapomnielibym dla niej nawet o najmniejszym batoniku czekoladowym.

— W takim razie czyżby miała jakąś niezwykłą władzę nad Chuckiem?

— Widocznie — potwierdziłem.

Wzrok Iris zaczął błędzić bez celu po pokoju. Po chwili zatrzymał się na toaletce.

— Peter! — wykrzyknęła nagle.

— Co takiego?

Moja żona zerwała się z łóżka i zaczęła biegać po pokoju sprawdzając toaletkę, a potem komodę. Na koniec wróciła do mnie:

— Peter, ktoś przetrząsał nasz pokój.

— Przetrząsał pokój?

— Tak. Rzeczy na toaletce są poprzeszawiane. Zawsze stawiam perfumy po lewej stronie. A szufladki w komodzie na pewno były wsunięte, gdy wychodziłam z pokoju. Spójrz, dwie są teraz lekko odchyłone. Od kolacji nie byłeś tutaj, prawda?

— Nie, nie byłem.

— W takim razie pokój został przetrząsnęty.

Podniosłem się z łóżka. — A czy nic nie brakuje?

— Za minutę będę wiedziała.

Iris gorączkowo przerzuciła nasze *rzeczy*.

— Nie, kochanie. Nic nie zginęło. Przejrzałam wszystko z wyjątkiem szuflady zamkniętej na klucz.

— Zamkniętej na klucz?

— Tak, w której trzymam świnkę. Tam jest również testament Janet. I torebka Dorothy.

Iris odszukała w swojej torebce kluczyk i po chwili otworzyła szufladę w toalecie. Stała obok niej zaintrygowana.

Wszystko było na miejscu. Niebieska świnka lypała na nas okiem. Obok leżała srebrna torebka Dorothy i złożona kartka papieru — testament Janet.

Iris spojrzała na mnie, podekscytowana.

— Peter, komuś zależało na testamencie albo torebce. I musiał się spieszyć, bo nie zaryzykował wyłamania zamka. Całe szczęście, że zamknęłam szufladę na klucz, prawda?

Zacząłem to głośno analizować: — Tylko Wyckoff wiedział, że mamy torebkę Dorothy. Ale po cóż on miałby ją kraść? Co znaczy, że chodziło tu jednak o testament.

— Bill Flanders — podsunęła Iris. — Może to Bill Flanders zakradł się tu w nadziei, że sam zniszczy ten testament? A kiedy mu się to nie udało, wówczas przyszedł do ciebie.

— Albo Laguno. Gdyby ten testament został zniszczony, on zawładnąłby majątkiem na podstawie starego testamentu. Wszystkiego mógłbym się spodziewać po nim. — Schyliłem się i wyjąłem z szuflady testament i torebkę. Położyłem je na komódce. — Jeżeli ktoś raz próbował odnaleźć te, przedmioty, zrobi to pewnie znowu. To niezbyt bezpieczne przechowywać je w szufladzie. Gdy tylko zjawi się policja, przekazemy im tę torebkę i testament.

Twarz Iris złagodniała. — Chyba masz rację.

Nacisnęła zamek torebki. Po chwili wyjęła z niej rękawiczki Dorothy i zerknęła jeszcze na żetony. Wygladziła prawą rękawiczkę z czerwoną plamą na środkowym palcu. Nagle wydała stłumiony krzyk. Chwyła jeden z żetonów i pobiegła do łazienki.

— Co to jest, na miły Bóg...

Usłyszałem szum wody. Chwilę później moja żona wróciła do pokoju. W jednej ręce trzymała żeton, a w drugiej biały ręcznik. Machnęła nim.

— Popatrz Peter.

Zerknąłem na ręcznik. Na białym płótnie widoczna była czerwonawa plama, bardzo podobna do plamy na rękawiczce.

— Kochanie — powiedziała Iris — a ja byłam pewna, że to po kurarze był ten ślad na rękawiczce!

— Że co...? — spytałem, nic jeszcze z tego nie rozumiejąc.

— Popatrz na barwę tych żetonów... czerwonawo-brunatna, taka sama jak barwa kurary. Ten polałam wodą w łazience i wytarłam go ręcznikiem. Rozumiesz już? Jeden z żetonów, którym grała Dorothy w klubie Chucka, musiał być mokry. Teraz wiadomo, jak powstała plama na rękawiczce. To nie kurara, to farba. — Opadła na skraj łóżka. — Och, Peter, jakie to wszystko skomplikowane. Teraz musimy zacząć wszystko od początku. Cofamy się, zamiast iść do przodu. Sekcja zwłok nie wykaże zapewne, że Dorothy została otruta kurarą. Furgonetka mogła tak się spalić, że policja nie będzie w stanie stwierdzić, czy linka hamulca została podpiłowana. Nic też nie wskaże, że Janet została utopiona. Przybędzie policja. I co im powiemy? Że trzy osoby miały wypadki, które wydają się nam bardzo podejrzane. Ale nie ma żadnego dowodu zbrodni. Nic. Kochanie, ty możesz być bohaterem na Pacyfiku, ja mogę być gwiazdą w Hollywood, ale jako detektywi jesteśmy do niczego.

Jak zwykle miała rację. Plama na rękawiczce była jedynym namacalnym śladem, który mogliśmy przedstawić policji. O ile coś z tego wyniknie, inspektor Craig będzie miał równie ciężki orzech do zgryzienia, jak my obecnie.

Nie przejmowałem się tym tak bardzo jak Iris. Ona miała większe detektywistyczne zacięcie ode mnie. Moim pragnieniem było zabrać ją z tego okropnego miejsca i spędzić z nią kilka spokojnych dni przed powrotem na okręt. Przecież od tego są urlopy. Na początku wydawało mi się, że mam tyle czasu, aby zainteresować się tajemniczymi sprawami, które działy się wokół nas. Obecnie myślałem tylko o wyjeździe. Czas mijał nieubłaganie. Szkoda mi było każdej sekundy.

Opadłem na łóżko obok.

— Zostaw już tę sprawę, kochanie — szepnąłem. — Niech oni wszyscy nawzajem się mordują. Czy to nie wszystko jedno?

Zacząłem ją całować. I od razu zapomniałem o wszelkich problemach. Iris jednak odsunęła się szybko ode mnie.

— Kochanie, tylko patrzeć, jak przybędzie tu inspektor Craig. — Wstała i podeszła do okna. — Jeśli dobrze posłuchamy, będziemy wiedzieli, kiedy się pojawi jego samochód.

Podszedłem i objąłem ją w pól. Widok z naszego okna nie był romantyczny — pomalowane na biało garaże stojące w rzędzie z boku domu. A w górze błękitny księżyc czuwający nad Nevada.

Spojrzałem na garaże. Przesuwane drzwi jednego z nich były do połowy otwarte, na żwirze leżało coś jasnego, ledwie widocznego stąd. Gdy próbowałem się temu przyjrzeć, nagły poryw wiatru przeniósł to coś aż na dziedziniec. Smuga światła padającego z parterowego okna trafiła na to miejsce. Rozpoznałem damską pończochę.

— To pończocha! — krzyknęła Iris. — Przyfrunęła z garażu.

Ponownie spojrzałem na odsunięte drzwi garażu. Po kształcie stwierdziłem, że wewnątrz stał kabriolet.

— Iris, czy to nie jest samochód Chucka?

— Chyba tak. — Iris utkwiała wzrok we mnie. — Ale przecież Mimi mówiła, że go weźmie.

— Mogła wziąć jedno z aut Lorraine. Chociaż muszę przyznać, że nie słyszałem, by jakiś samochód wyjeżdżał. A ty?

— Ja także. A stąd na pewno byśmy go usłyszeli. Peter, Mimi chyba nie siedzi w garażu do tej pory, co? A może zdecydowała, że nie wyjedzie.

— Ona nie mogła o tym zdecydować. Lorraine ją przecież wyrzuciła. I ta pończocha! Skąd się tu wzięła?

Spojrzelśmy na siebie. Podszedłem do komody, schowałem testament oraz torebkę Dorothy i zamknąłem je razem ze świnką. Klucz rzuciłem żonie.

— Chodźmy — powiedziałem.

Wyszliśmy z pokoju, zamykając także drzwi na klucz. Gdy ruszyliśmy pustym korytarzem, nagle otworzyły się drzwi od pokoju Chucka i ukazali się w nich Chuck z Kochankiem.

Podeszliśmy do nich. Zwróciłem się do Kochanka:

— Czy rozmawiał pan z Lorraine, żeby Mimi pozostała tutaj?

Kochanek wyglądał na zaskoczonego.

— Że co? Nie. Próbowałem i z Mimi, i potem z Lorraine. Żadna jednak nie chciała mnie słuchać. Niestety. A teraz rozmawiałem z Chuckiem. Zapewnił mnie, że między nim i Mimi nic nie było. To wszystko dlatego, że Mimi jest taka opiekuńcza i...

Przerwałem jego nedorzeczne wywody, zwracając się do Chucka:

— Chuck, Mimi miała pojechać pańskim samochodem do Reno, prawda?

Mąż Lorraine na moje pytanie odparł prowokacyjnie: — A niby dlaczego nie? Przecież jakoś musiała się tam dostać.

Iris pociągnęła mnie mocno za rękę.

— Chodźmy już, Peter.

Podczas gdy dwóch mężczyzn patrzyło na nas ze zdumieniem, zbiegliśmy po schodach. Na dole było pusto. Otworzyłem duże, frontowe drzwi i wyszliśmy na podjazd. Obok wysokich, białych kolumn przeszliśmy w stronę garaży.

Pończocha nadal leżała koło domu. Iris pobiegła, żeby ją podnieść. Ja natomiast dotarłem do odsuniętych do połowy drzwi garażu. Niemal potknąłem się o coś leżącego tam na ziemi. To była mała walizka. Leżała otwarta, a jej zawartość rozrzucono w nieładzie.

Dobiegł mnie głos Iris: — To zupełnie nowa pończocha. Na pewno własność Mimi.

— Z pewnością. Tu jest także jej walizka. Ktoś ją otworzył i przetrząsnął.

Iris podeszła do mnie. Zagłębiłem się w ciemnym garażu. Dostrzegłem na ścianie przełącznik. Włączyłem światło.

Stojąca za mną Iris wydała krótki, zdławiony okrzyk.

Zachwiałem się z wrażenia.

Obok zielonego kabrioletu Chucka, na kamiennej podłodze garażu leżała Mimi Burnett. Futrzana etola opadła z jej ramion. Suknia była zmięta i poskręcana w nieładzie. Głowa leżała w kałuży krwi.

Na podłodze obok znajdował się zakrwawiony, kanciasty kamień. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, w jakim celu został użyty.

Chwiejąc się z wrażenia, ukląknłem i pochyliłem się nad nią. Oczy Mimi spoglądały bezmyślnie w przestrzeń.

Rzuciłem okiem na bladą twarz mojej żony.

— Peter — szepnęła — ona... ona nie...

— Tak — przyznałem. — Jest tak jak myślisz. Mimi nie żyje. I wydaje mi się, że okres wypadków się skończył. Tym razem bez żadnych wątpliwości mamy do czynienia ze zbrodnią.

CZEŚĆ PIĄTA

LORRAINE

16.

Ta myśl dokuczała mi jak wrzód, gdy staliśmy w jasno oświetlonym garażu. Kamień, którym zmiażdżona została czaszka Mimi, leżał przy niej, co każdy mógłby stwierdzić. Nie można było również mieć wątpliwości, że jej torebka została przetrząśnięta. Dorothy... Janet... Fleur... Mimi... Cztery z sześciu kobiet przebywających w domu Pleygelów zostały zaatakowane w ciągu trzech dni. Choć nie to było najgorsze.

Najgorsze było to, że morderca zaczął działać otwarcie. W ogóle nie przejmował się tym, że ktoś wie, iż zamordował trzy kobiety i usiłował zabić czwartą. Prawdopodobnie planował zamordować jeszcze więcej. Rozgłaszał to na wszystkie strony.

To było straszne... i graniczyło wprost z szaleństwem.

Iris stała blisko mnie, w milczeniu. Objąłem ją wpół ramieniem. W zwłokach Mimi Burnett było coś złowieszczonego; ten wymuszony, głupkowaty uśmiech na twarzy, głowa spoczywająca na poplamionej olejem podłodze... W powietrzu unosił się zapach smaru i kurzu.

— Mimi nie żyje! — odezwała się Iris głosem, który zabrzmiał przeraźliwie głośno. — Peter, czy te zbrodnie nigdy się nie skończą?

O tym samym myślałem.

Jeszcze przed śmiercią Mimi nie można było znaleźć jakiegos uzasadnionego motywu dla każdego z tych morderstw. Obecnie teatryk zbrodni przybrał tak niesamowite, nieprawdopodobne wprost cechy, jak sen człowieka umyślowo chorego. Nie widziałem żadnego połączenia dla tych zamachów na Dorothy, Janet, Fleur i Mimi — chyba że było to dziełem jakiegoś maniaka chcącego zgładzić wszystkie kobiety w tym domu.

Jak dotychczas tylko Lorraine i Iris nie tknęła swoją ręką morderca. Od tej chwili moją jedyną troską będzie niedopuszczenie do zamordowania żony.

— Przynajmniej nie musimy wzywać teraz policji — zauważyła Iris — bo inspektor Craig pewnie jest już niedaleko.

Gdy to mówiła, dotknąłem stopą jakiegoś przedmiotu na podłodze. Schyliłem się, żeby go podnieść. Była to niewielka książeczka w skórzanej oprawie z artystycznie złożonymi literami. „Poezje wybrane Edny St. Vincent Millay”. Nieraz zastanawiałem się nad zamiłowaniem Mimi do poezji, która miała być uzasadnieniem jej ambicji intelektualnych, ale teraz ta książka przedstawiała żalostny widok. Biedna Mimi już, nie będzie potrzebowała natchnienia duchowego, jakiego dostarczała jej panna Millay.

Włożyłem książkę do kieszeni.

Żona spoglądała w tym czasie na walizeczkę, leżącą przy otwartych drzwiach. Sięgała już po nią, gdy zaznaczyłem:

— Niczego nie dotykaj. Wszystko musimy pozostawić dla policji tak jak było.

— Wiem. — Iris rzuciła okiem na Mimi poprzez moje ramię. — Teraz nie będziemy mieli trudności, aby udowodnić inspektorowi Craigowi, że mamy do czynienia z morderstwem.

— Istotnie — potwierdziłem.

Kobiety to dziwne istoty. Przebywałem, jadłem i spałem obok trupów na Pacyfiku, a mimo to byłem pod silnym wrażeniem zwłok Mimi Burnett. Chciałem uciec stąd jak najszybciej. A moja żona, u której minął już pierwszy wstrząs, zachowywała się z podziwu godnym poczuciem rzeczywistości i obecność zwłok nie robiła już na niej większego wrażenia. Dalej wpatrywała się w walizeczkę.

— To okropne, że nie można dotknąć tych przedmiotów. Człowiek, który zabił Mimi, widocznie chciał zabrać coś, co znajdowało się w walizce. Gdybyśmy mogli stwierdzić, co to było, może doszlibyśmy do jakiegoś wniosku. Może wtedy udałoby się nam powiązać tę zbrodnię z Fleur, Janet i Dorothy...

Pragnąłem, by inspektor Craig przybył jak najszybciej.

— Nie powinnaś spodziewać się czegoś logicznego ze strony maniaka — zauważyłem. — Ten ktoś jest szaleńcem i zabija kobiety. Pozostawmy to tak jak jest i pokładajmy nadzieję w Bogu, że szaleńcowi nie przyjdzie teraz do głowy myśl pozbawienia życia ciebie.

— Głupstwa gadasz! — Nawet przy świetle zwykłej żarówki Iris wyglądała jak ponętna modelka do zdjęć reklamowych. — Nie wierzę w maniaków, którzy zachowują się jak normalni ludzie przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Tacy występują jedynie w książkach. Bądź rozsądny. To ktoś z tego domu musi dokonywać tych zbrodni. Wiemy o tym. Przecież znamy ich wszystkich. Mogą być oszustami i kłamcami, ale czy któryś z nich mógłby być domniemanym maniakiem?

— Ja nie dałbym głowy za żadnego z nich.

— Przypuszczam, że wyobrażasz to sobie w ten sposób: zbliża się zachód słońca, Kochanek przemienia się za pomocą magicznych sztuczek w prawdziwego wilkołaka albo Fleur Wyckoff wyrastają kły, by mogła ukąsić i wysysać krew z żył. Nie, Peter, nie tak należy rozumować. Jakiś zbrodniarz czterokrotnie zaatakował swoje ofiary dla wyraźnie określonego powodu. Nam wydaje się to wszystko po prostu skrajną głupotą, bo dotychczas nie odkryliśmy tego powodu.

Iris nadal uderzała w tę samą, starą nutę. Nic nie wskazywało na to, by miała się zniechęcić. Odwróciła się do mnie.

— Peter... — zaczęła.

— Co takiego? — spytałem.

— Tak się zastanawiam. Mimi nie żyje, a więc miłość między Chuckiem i Lorraine nie natrafia teraz na żadne przeszkody... — Przerwała i położyła rękę na moim ramieniu. — Słyszysz? — szepnęła. — Ktoś jest na dziedzińcu.

Staliśmy nieruchomo nadśluchując. Doszedł naszych uszu cichy chrzęst kroków na żwirze. Początkowo sądziłem, że może Chuck albo Kochanek wyszli z domu, by zobaczyć, co się z nami stało. Po chwili zorientowałem się, że kroki te nie zbliżały się od strony drzwi frontowych, lecz z innego kierunku.

Ktoś nadchodził od strony ogrodu.

Zacząłem uzmysławiać sobie niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźliśmy. Szepnąłem do Iris, żeby się nie ruszała, i wyszedłem na dziedziniec. Światło księżycy było na tyle jasne, że zdołałem rozpoznać pochyloną sylwetkę Davida Wyckoffa, idącego szybkim krokiem w stronę drzwi frontowych.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale widok Wyckoffa uspokoił moje bliżej nie określone obawy. Ze wszystkich gości Lorraine, największe

zaufanie miałem do niego. Wcześniej czy później i tak musiałby się dowiedzieć o Mimi. Chyba więc lepiej będzie, gdy dowie się o wszystkim już teraz.

— Hej! Wyckoff! — krzyknąłem.

Wyprostował się gwałtownie i rzucił badawcze spojrzenie w ciemność.

— Kto tam? To pan, poruczniku? — Ruszył w moją stronę. — Fleur śpi. Skorzystałem z tego i wyszedłem, aby się trochę przewietrzyć. Czy ma pan jakąś sprawę do mnie?

— Tak — odparłem sucho. — Chcę panu coś pokazać.

Podszedł bliżej. Utkwił we mnie nieśmiałe, pytające spojrzenie.

Zawróciłem do garażu. Wszedł za mną i o mało nie postawił nogi na walizeczce Mimi.

— Niech pan uważa — ostrzegłem. — Proszę niczego nie dotykać.

Zmrużył oczy na widok światła. Gdy spostrzegł Iris, uśmiechnął się bezwiednie, kiedy jednak zauważył Mimi, uśmiech jego zgasł momentalnie.

— O Boże! — wykrzyknął.

Nie mówiąc już ani słowa, ukląkł przy Mimi. Nawet jej nie dotknął. Sądzę, że nie musiał tego robić. Po chwili spojrzał na nas. Twarz jego była trupio biała.

— Nie żyje — szepnął. — Przypuszczam, że wiecie już o tym. Czy... czy te zbrodnie nigdy się nie skończą?

Powiedział dosłownie to samo, co Iris niedawno.

Cóż innego zresztą można było tu powiedzieć?

Wstał. Rzucił okiem na walizkę, potem na mnie. Nie miałem pojęcia, o czym myślał. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać. W sposób metodyczny, jakby chciał wyciągnąć wniosek z historii choroby pacjenta, zaczął wypytywać nas o fakty.

Przekazywałem mu jeszcze pewne szczegóły, gdy usłyszeliśmy warkot samochodu, zbliżającego się główną drogą w stronę domu.

Iris wtrąciła podnieconym głosem:

— Nareszcie przybywa inspektor Craig.

Rzuciłem porozumiewawcze spojrzenie na Wyckoffa.

— Ten ciąg zbrodni zostanie w końcu przerwany. Rozumiem, że pan poprosi o przeprowadzenie sekcji zwłok Dorothy...

— Tak — odparł stanowczym tonem.

— I dobrze przygotował pan swoją wersję? Proszę pamiętać, by ta nowa diagnoza była przekonująca i nie naraziła pana na nieprzyjemności...

— Mam nadzieję, że tak będzie.

Widać było, że Wyckoff uzbraja się w odwagę przed ciężką próbą, jaka go czekała.

— Byłoby lepiej — powiedział — gdybyście oboje państwo pozostali tutaj. Ja pójdę po Craiga. Mimo wszystko, sprawa Dorothy jest już odległa. — Rzucił okiem na Mimi. — Teraz ona bardziej zainteresuje policję.

Wyszedł pośpiesznie, by czekać na samochód przed domem. Iris zamysłła się na chwilę, a potem rzuciła:

— Nie opowiesz chyba policji o flircie Wyckoffa z Dorothy ani o kradzieży listu przez Fleur?

— Obiecałem, że tego nie powiem — odparłem. — Wyckoff naprawdę przypuszczał, że Fleur zamordowała Dorothy. Fleur natomiast myślała, że to Wyckoff ją zamordował. Nadal uważam, że tych dwoje należy wykreślić z kręgu podejrzanych. Oboje przeszli wielką tragedię w życiu. Przynajmniej im możemy oszczędzić kłopotu.

— Myślę, że masz rację — powiedziała Iris.

Wkrótce zjawił się Wyckoff w towarzystwie niskiego, energicznego mężczyzny. Inspektor Craig przybył sam. Spotkaliśmy się z nim przed garażem. W świetle księżyca mogłem mu się nieco przypatrzeć. Wyglądał dość młodo. Wyraz jego oczu był spokojny i opanowany.

— Doktor Wyckoff mówił mi przed chwilą, że już po wezwaniu mnie przez Chucka Dawsona została tu zamordowana kobieta — powiedział. — Czy państwo razem natknęliście się na zwłoki?

— Tak — potwierdziłem, po czym przedstawiłem się sam, a następnie Iris.

Craig z zachwytem spojrział na moją żonę.

— Iris Duluth — rzekł. — Oglądałem panią na ekranie. Byłem zachwycony. Dla aktorki filmowej to drażliwa sprawa być wplątana w zbrodnię. Będziemy musieli uczynić wszystko, co jest możliwe, by pani nazwisko nie ucierpiało na tym.

— Nic sobie nie robię z kariery aktorki — odezwała się gwałtownie Iris. — W każdym razie jestem znudzona Hollywoodem. Obecnie interesuje mnie wyłącznie rozwiązanie tej zagadki. Wspólnie z mężem przyczyniliśmy się znacznie do wykrycia sprawców kilku zbrodni na wschodzie Stanów

i przeprowadziliśmy już niewielkie dochodzenie tutaj. Mamy panu wiele do opowiedzenia...

Wydawało mi się, że na twarzy inspektora zaigrał niewyraźny, sardoniczny uśmiech, gdy obserwował moją żonę.

— Dobrze, chętnie posłucham. — Obrócił się do mnie i zrobił ruch w kierunku garażu. — Pan Wyckoff mówił mi, że nikt niczego tam nie dotykał.

— To prawda — odpowiedziałem.

Craig ruszył w kierunku drzwi garażu, Wyckoff za nim.

— Proszę nie odchodzić — zwrócił się do nas inspektor. — Będę chciał z państwem później porozmawiać.

Dwóch mężczyzn zniknęło w garażu. Przebywali w nim przez dłuższy czas. Słyszeliśmy, jak od czasu do czasu coś mówili, ale Craig wolał chyba pracować w milczeniu. W garażu znajdował się telefon, jak w każdym innym możliwym miejscu tego zwariowanego domu Lorraine. Usłyszałem głos inspektora, mówiącego do słuchawki. Wzywał grupę specjalistów do spraw zabójstw.

Potem w jasnym świetle księżyca Nevady ujrzeliśmy znowu inspektora i Wyckoffa.

Kłódka od garażu wisiała na metalowym skoblu. Craig zasunął drzwi, następnie zamknął je, chowając klucz do kieszeni. Z natury był chyba człowiekiem mało mównym i nie lubił tracić czasu na niepotrzebne gadanie. Nie odezwał się więc ani słowem na temat oględzin zwłok Mimi. Odwrócił się tylko i zaczął uważnie się nam przyglądać.

— Dowiedziałem się od policji w Reno, że pewna kobieta z towarzystwa panny Pleygel zmarła na atak serca przed dwoma dniami w „Del Monte”. Zostałem również poinformowany przez policję miasta Genoa, że druga kobieta utopiła się wczoraj wieczorem w basenie. Dlatego też nie byłem specjalnie zdziwiony, gdy dzisiaj zadzwonił do mnie Chuck Dawson.

Wypowiedział te słowa spokojnym tonem, czekając widocznie na naszą reakcję.

Wtedy zaczął mówić Wyckoff:

— Kobieta, która zmarła w „Del Monte”, była moją pacjentką w San Francisco. Miała chore serce. Byłem tym lekarzem, który wydał diagnozę, że śmierć jej nastąpiła w wyniku wady serca. W tym czasie wydawało mi się to zupełnie logiczne, ale teraz nie jestem już przekonany co do słuszności

tej diagnozy, zwłaszcza kiedy to porucznik Duluth... — Wyckoff niezbyt dobrze wywiązywał się ze swego zadania. — Obecnie jesteśmy przekonani, że Dorothy Flanders została otruta. I to prawdopodobnie kurarą. Dlatego właśnie Dawson wezwał pana.

Inspektor Craig stał spokojnie, powstrzymując się od wszelkich komentarzy. W końcu Iris, pełna entuzjazmu i chęci do działania, przerwała ciszę.

— Uważamy, że Dorothy Flanders otruto przy pomocy jakiejś pułapki z trucizną w jej torebce. Mamy tę torebkę i kilka innych przedmiotów dla pana w naszym pokoju na górze.

Znów dostrzegłem uśmiezek na twarzy Craiga.

Spokojnym głosem powiedział: — Jeśli mieliście takie podejrzenia, należało ujawnić je wcześniej. Pani Laguno zapewne też, waszym zdaniem, została zamordowana. Dziś rano przeprowadzono śledztwo w tej sprawie. Nikt z was nie zaprotestował przeciwko orzeczeniu, stwierdzającemu zgon na skutek nieszczęśliwego wypadku.

— Nie powiedzieliśmy nic, bo nie byliśmy pewni — wyjaśniłem. — W obu przypadkach śmierć nie wzbudzała naszych podejrzeń.

— Aż do dzisiejszego popołudnia — dodała Iris.

Podnosząc nieznacznie głos inspektor spytał: — A cóż takiego wydarzyło się dziś po południu?

Wyckoff powiedział Craigowi o wstrząsającym wypadku Fleur.

Inspektor pozwolił sobie wreszcie na wspaniałomyślne podzielenie się z nami swoimi uwagami. Chrząknął lekko i wymamrotał: — Z pewnością przeżyliście tutaj ciężkie chwile. — Po chwili jednak głos jego znowu zabrzmiał obco i bezosobowo. — Ten samochód będziemy mogli obejrzeć nie wcześniej jak jutro rano. Moi ludzie powinni przybyć tu wkrótce, a tymczasem wejdźmy może do domu i zobaczmy, co da się stwierdzić w sprawie panny Burnett. — Rzucił okiem na Iris. — Powiedziała pani, że ma torebkę pani Flanders i kilka innych drobiazgów? Może będzie pani tak uprzejma i przyniesie mi je.

— Jest jeszcze coś — wtrąciłem. — Kilka strzał indiańskich, które na swych grotach zawierają kurarę. Panna Pleygel przechowuje je w sali z trofeami. Wydaje mi się, że ktoś dobrał się do jednej z tych strzał. Chcielibyśmy, aby pan je zobaczył.

Inspektor spojrział na mnie wzrokiem wyrażającym aprobatę.

— Wydaje mi się, że pan wiele rzeczy dostrzega, poruczniku. No to obejrzyjmy te strzały, nim zajmiemy się czym innym.

We czworo przeszliśmy dziedziniec pokryty żwirem, minęliśmy białe, kamienne kolumny i skierowaliśmy się w stronę drzwi frontowych. Wydawało mi się, że nikt w domu nie wiedział o przybyciu inspektora. Na werandzie nie było nikogo. W holu również nie zastaliśmy żywej duszy.

Iris poszła na górę, aby przynieść z naszego pokoju te „drobiazgi” dla inspektora. Gdy obserwowałem jej smukłą postać, ogarnął mnie nagle absurdalny lęk.

Zwróciłem się do Wyckoffa: — Pójdzie pan z nią? Nie lubię, gdy sama chodzi po tym domu.

Wyckoff obdarzył mnie krótkim, wyrozumiałym uśmiechem.

— A tak przy okazji — dodałem — wydaje mi się, że inspektor zechce zobaczyć wszystkich. Sądzę, że przynajmniej Lorraine znajduje się w swoim pokoju. Może pan jej powie, że policja już tu jest.

— Tak, doktorze — odezwał się Craig, obserwując Wyckoffa. — Chciałbym również porozmawiać z pańską żoną.

W oczach Wyckoffa pojawiło się dawne zaniepokojenie. Sztywno zaznaczył: — Wobec tego, że jestem lekarzem swojej żony, muszę niestety odmówić, przynajmniej dziś wieczorem. Przeszła bardzo silny wstrząs.

Inspektor wciąż obserwował Wyckoffa. Po chwili wzruszył ramionami i powiedział: — Rozumiem. W takim razie będę musiał poczekać do jutra rana.

Wyckoff ruszył schodami do góry za Iris.

Ja zaprowadziłem inspektora Craiga do sali z trofeami. Tutaj także nie zastaliśmy nikogo. Odnosiło się wrażenie, że dom był równie martwy, jak te zwierzęta patrzące na nas ze ścian. Podczas gdy słonie, aligatory, zebry i okropna kukła Lorraine obserwowały nas szklanymi oczyma, wskazałem inspektorowi gablotkę, która zawierała trzy grupy strzał. Opowiedziałem mu o szóstej strzale, zabranej z trzeciej grupy i zwróconej potem przez kogoś. Skierowałem jego uwagę na grot pokryty jakąś substancją, lekko różniącą się barwą od innych. Gablotka była zamknięta. Dla przeprowadzenia dokładniejszych badań należało wziąć klucz od Lorraine.

Craig pochylił się nad gablotką. Przy świetle elektrycznym miałem okazję po raz pierwszy lepiej mu się przyjrzeć. Wyglądał na nie więcej niż

trzydzieści lat, miał łagodne, wyraziste rysy. Co do oczu, nie myliłem się. Spojrzenie naprawdę miał przenikliwe. Gdy przyglądał się strzałom, za każdym razem mrugał i nie świadczyło to o braku zdecydowania. Jego powieki poruszały się do góry i na dół, a każdy taki ruch jakby rejestrował w umyśle Craiga nowe odkrycie.

— Doktor Brown będzie tu rano ze swoimi chłopcami — odezwał się. — Oddam mu wszystkie te strzały do analizy. Wkrótce przekonamy się, czy pan miał rację. — Spojrzał na mnie. — Bystry z pana facet, poruczniku. Będę wdzięczny, jeśli pan zechce współpracować ze mną. Wydaje mi się, że będę miał z pana duży pożytek.

Czule trafiony w moją próżność, odparłem: — Wspólnie z żoną pomożemy panu z przyjemnością we wszystkim, do czego tylko będziemy przydatni.

Inspektor Craig uśmiechnął się jakby z przymusem.

— Tylko pan — stwierdził — bez żony. Nie wątpię, że jest bystrą niewiastą, lecz tylko niewiastą. Przyznam szczerze, poruczniku: nie lubię kobiet wścibiających nos w sprawy należące do mężczyzn.

Powiedział to niby żartobliwie, ale wyczułem w nim tak silny upór, że mógł z powodzeniem konkurować z upartym usposobieniem mojej żony. Ucieszyło mnie jednak, że był mężczyzną starej daty, traktującym Iris raczej jako ozdobę niż jako pomocnika detektywa. Od tej chwili każde zadanie wykonywane przez detektywa stawało się bardzo niebezpieczne. Z radością potraktowałem inspektora jako sprzymierzeńca w ochronie mojej żony.

Iris i Wyckoff weszli akurat, kiedy Craig przyglądał się z pewnym zaciekawieniem, ale i zdziwieniem, lalce Lorraine. Moja żona oświadczyła, że Lorraine za chwilę zejdzie na dół, i wręczyła inspektorowi torebkę Dorothy oraz ostatnią wolę Janet.

Z pewną satysfakcją wyjawilem Craigowi niemiłą rolę, jaką odegrał do chwili obecnej hrabia Laguno. Potem Iris, Wyckoff i ja opowiedzieliśmy inspektorowi o każdej osobie, która mogła być związana z wydarzeniami, jakie dotychczas miały tutaj miejsce. Milczeniem pominęliśmy tylko skomplikowane sprawy łączące Wyckoffa z Dorothy. Nie nadmienilem również o ślubie Chucka z Lorraine ani też o zajściu między Lorraine i Mimi na schodach przed drzwiami frontowymi. Przynależem Chuckowi, że nie będę mówił na temat jego małżeństwa, gdyż on sam wyjaśni tę sprawę. Tak czy owak wszyscy wkrótce dowiedzą się o tym.

Inspektor słuchał w milczeniu. Tych wiadomości było tyle i tak zawiłych, że nawet jego bystry umysł musiał to najpierw dobrze poukładać. Craig jednak zachowywał się tak, jakby zamordowanie — pozornie bez motywu — trzech kobiet i zamach na czwartą było w Nevadzie zjawiskiem niemal codziennym.

— Ta Mimi Burnett była zaręczona z bratem przyrodnim panny Pleygel? — spytał.

— Tak — potwierdziłem.

— Czy wiadomo, skąd pochodziła, cokolwiek o niej?

— Niewiele. Podobno on poznał ją w Las Vegas.

Inspektor kiwnął głową.

— Oprócz panny Pleygel, pani Wyckoff i państwa tu obecnych, są jeszcze czterej inni goście w tym domu... Chuck Dawson, brat przyrodni panny Pleygel, pan Flanders i ten hrabia Laguno?

— Tak jest.

— I gdzie oni są teraz?

— Muszą być gdzieś w pobliżu — odezwał się Wyckoff. — Na górze ich nie ma.

— W porządku. — Po chwili inspektor Craig wsunął pod pachę torebkę Dorothy, a testament Janet schował do kieszeni. — Chciałbym teraz porozmawiać z nimi. Sądzę, że nie wiedzą jeszcze o śmierci panny Burnett... To znaczy, chyba nikt z państwa nie powiedział im o tym?

Spojrzałem na Wyckoffa. Potrząsnął głową.

— Nie. Nie mówiliśmy im o śmierci panny Burnett.

— Dobrze — powiedział inspektor. — W tym domu jest zapewne jedna osoba, której nie potrzeba o tym mówić. Teraz zależy od nas, aby znaleźć jego... lub ją.

Słowa Craiga zabrzmiały tak zwyczajnie, normalnie, jakby chodziło, na przykład, o podniesienie igły z podłogi. Moim zdaniem jednak igła tkwiła jeszcze bardzo głęboko w stogu siana.

17.

Czterech mężczyzn zastaliśmy w bibliotece. Postawili na środku olbrzymiego dywanu stolik karciany i grali w brydża. W tej sytuacji wydawało nam się to zupełnie nie na miejscu, a w dodatku panowie ci stanowili

nieodpowiednią czwórkę do brydża. Pochylny nad kartami hrabia o rozbieganych oczach wyglądał jak stary oszust, Bill Flanders, siedzący z pośpną miną, robił wrażenie, jakby gra w karty w ogóle go nie obchodziła. Kula oparta była o jego krzesło. Natomiast Chuck i Kochanek grali z taką zawziętością, jakby nie chcieli myśleć o innych, mniej przyjemnych sprawach.

Wszyscy byli tak pochłonięci grą, że nie zauważyli naszej obecności. Dopiero gdy inspektor Craig głośno chrząknął, Chuck, Kochanek i Laguno poderwali się z miejsc, pozostawiając jedynie Flandersa przy stole. Chuck, z nikłym sztucznym uśmiechem na ustach, podszedł szybko do nas i energicznie uściśnął rękę inspektora.

— Ciesz się, że pan przybył, Craig — powiedział.

Inspektor zmierzył go byстрыm, przenikliwym spojrzeniem.

— Zaskoczyły mnie wieści dotyczące pana osoby, Chuck, o których głośno w Reno. Sprzedał pan podobno swój klub Jackowi Fetterowi i jego ludziom.

Słowa te wypowiedział tak spokojnym tonem, że przez moment nie mogłem się połapać, o co chodzi. Opalona, przystojna twarz Chucka pociemniała jeszcze bardziej na skutek zażenowania. Przypominał boksera, który otrzymał cios pięścią tam, gdzie się najmniej tego spodziewał.

— Wiadomości, rzeczywiście, szybko się rozchodzą — odparł wymijająco.

— Wszyscy w mieście o tym mówią. Fetter usiłował przecież kupić go od pana zaraz po otwarciu, a teraz tak nagle zdecydował się pan go sprzedać... — Inspektor wzruszył ramionami. — Rozumiem, gotówka robi swoje. I to duża, jak słyszałem. Ale interes z Fetterem można robić tylko na zasadzie gotówkowej.

— To na pewno. — Chuck zapatrzył się na swoje buty. — Chciałem go i tak sprzedać, bo... na cholerę mi to? To człowieka czyni uwiązanym. Sprzedałem klub i naprawdę cieszę się, że już go nie mam.

— Chuck, ty sprzedałeś klub?!

Na ten ostry, przenikliwy głos Lorraine, wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. Weszła tak cicho, że nikt jej nie zauważył. Szybkim krokiem podeszła do Chucka. Jej brwi uniosły się pytająco.

— Chuck, ty nie mogłeś sprzedać klubu. To niemożliwe. Nic mi o tym nie mówiłeś. Ty przecież...

— Sprzedałem go dziś po południu, kochanie. Otrzymałem świetną ofertę... no i sprzedałem go. Miałem zamiar powiedzieć ci o tym, tylko... — Oczy jego pokornie wpatrywały się w nią. — Zrobiłem to ze względu na ciebie, dziecinko. To nie było miejsce dla nas. Nie chcę, żebyśmy byli uwiązani. Mam zamiar zabrać cię stąd.

Było w nich coś nieuchwytnego, gdy tak stali blisko siebie, coś tak tajemniczego i drażniącego, że wszyscy patrzyliśmy na nich, zapominając o wszelkich innych sprawach. Ta zaskakująca wiadomość mnie nie zdziwiła tak bardzo. Chuck sprzedał przecież klub miejscowemu konkurentowi, za niezłe pieniądze. Jego argumenty też były dość przekonujące. Choć nawet przy tak szlachetnych motywach wydawało się dziwne, że zrobił to bez wiedzy i zgody Lorraine, która sfinansowała mu ten klub.

Wpatrywała się nadal w swego męża z niesłabnącym napięciem.

— Ależ, Chuck, jak mogłeś go sprzedać? Wiesz przecież, że nasz wspólny pomysł miał polegać na tym, by na samym początku oznajmić panu Throckmortonowi, że posiadasz klub, który pomyślnie prosperuje, i że on sam zobaczy, że ty...

Chuck zwilżył wargi.

— Posłuchaj dziecinko, o tym może sami porozmawiamy później. Teraz mamy inne kłopoty na głowie. — Wskazał ręką na czekającego cierpliwie Craiga. — Oto inspektor Craig.

Lorraine odwróciła się gwałtownie do inspektora, machinalnie obdarzając go uśmiechem pani domu.

— Och, inspektor Craig. Jak to miło z pana strony, że pan przybył. Ja... — Nagle jakby sobie przypomniała, że Craig nie zjawił się tu z towarzyską wizytą. — Och, no tak, pan przybył w sprawie biednej Fleur, oczywiście. Czy może w sprawie Dorothy... lub Janet? A może wszystkich razem? — Spojrzała na inspektora uważnie. — Mam nadzieję, że będzie pan mógł uczynić coś, by nic złego już się tutaj nie wydarzyło.

— Obawiam się, panno Pleygel — odparł inspektor — że coś jednak zdążyło się wydarzyć...

Zapanowała głucha cisza. Wszyscy z przejściem utkwili w nim wzrok.

— Coś? — spytała Lorraine. — Czy pan ma na myśli coś, o czym nie wiemy?

Craig zerknął na swoje dłonie, nim oświadczył krótko:

— Tak. Porucznik Duluth i pani Duluth niedawno znaleźli w garażu pannę Burnett martwą... Zamordowaną.

— Mimi?! — Lorraine małą chusteczką dotknęła ust i przytuliła się do Chucka. Jej żywa zwykle twarz pobladła w jednej chwili. — Chuck, słyszałeś to? Mimi nie żyje!

— Nie żyje? Mimi... nie żyje! — wykrzyknął Kochanek, po czym jego zaokrąglone policzki także stały się blade. Chwycił mnie za ramię. — Pan natknął się na nią, poruczniku? — spytał ochrypłym głosem. — Pan znalazł ją nieżywą i nie powiedział mi o tym? — Zaczął to powtarzać jak zaprogramowany.

Chuck stał bez ruchu. Tylko Laguno i Flanders byli bardziej opanowani od reszty. Wiedziałem, o czym myśleli. Mimi nie była związana z ich sprawami. Jej śmierć, jeśli w ogóle, bardziej im pomagała niż szkodziła.

Lorraine wzięła głęboki oddech. — Ale dlaczego?

— Moim zadaniem jest zadawanie pytań, a nie odpowiadanie na nie, panno Pleygel. — Głos Craiga był stanowczy. — Przede wszystkim chciałbym dowiedzieć się od pani, dlaczego panna Burnett zamierzała opuścić dom pani o tej porze, w nocy.

— A czy Peter... porucznik Duluth nie mówił panu o tym? — zaczęła się jękać Lorraine.

— Porucznik Duluth nic mi nie mówił o planowanym wyjeździe panny Burnett.

— W takim razie ja...

Wtedy wtrącił się Chuck: — Mimi Burnett opuściła nas, bo wolała spać w hotelu w Reno. Panicznie bała się wydarzeń, jakie miały tu miejsce. Nie chciała dłużej pozostawać w tym domu.

Gdy obiecywałem Chuckowi, że utrzymam w tajemnicy skomplikowaną sytuację Mimi Burnett, nie sądziłem, że zamierza on okłamać policję w tak bezczelny sposób. Nie wiedziałem, jak mam zareagować na ten nieoczekiwany obrót sprawy.

— Panna Burnett zamierzała opuścić ten dom, bo uważała, że jej także zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo? — spytał Craig.

Chuck brnął dalej: — Właśnie to miałem na myśli, że ona... no cóż, u diabła, przecież trzy kobiety zostały zaatakowane. Właśnie dlatego nie chciała tu dłużej zostać.

— Rozumiem — odparł Craig.

— Chyba jednak pan nie rozumie, inspektorze — włączył się nagle do

rozmowy hrabia Laguno. Mówił wytwornym tonem starannie dobierając słowa. — Bo to, co pan rozumie, nie jest prawdą. Mimi nie dlatego nas opuściła, że bała się jak dziecko przebywać w tym domu. To panna Pleygel wyrzuciła ją.

— Stefano, co pan... — upomniała go Lorraine.

— Nie chcę sprawiać pani przykrości, Lorraine. — Laguno ukazał w szyderczym uśmiechu swe brzydkie zęby. — Jeśli jednak nie mamy mówić tu prawdy, po cóż było wzywać policję?

— Czy to odpowiada prawdzie, panno Pleygel? — spytał ostro Craig. — Czy pani poprosiła pannę Burnett o opuszczenie tego domu?

W tym momencie wtrącił się niezręcznie Kochanek. Pomimo szoku, jakiego doznał, wydawało się, że chce poprzeć siostrę.

— W pewnym sensie Lorraine poprosiła pannę Burnett o opuszczenie domu. To było... och... drobne nieporozumienie. Wszystko szybko by się wyjaśniło, gdyby znalazły sposobność na wzajemne wytłumaczenie swego postępowania, ale...

— Nie nazwałbym tego drobnym nieporozumieniem — odezwał się Laguno, nadal się uśmiechając. — To była prawdziwa kłótnia, inspektorze, dziś wieczorem między panną Pleygel i panną Burnett na stopniach przed drzwiami frontowymi. Przechodziłem właśnie przez hol i przypadkowo udało mi się usłyszeć pewien fragment tej kłótni. Jak się zorientowałem, panna Pleygel i pan French natknęli się na pannę Burnett, która namiętnie ścisnęła się z panem Dawsonem. Przypuszczalnie nie wie pan jeszcze o tym, że panna Pleygel potajemnie wyszła za mąż za pana Dawsona. Dlatego tak ostro zaprotestowała przeciw temu, co zobaczyła. Rozkazała niedwuznacznie pannie Burnett natychmiast opuścić dom. Ona...

— Może po kolei — wtrącił inspektor. — Panno Pleygel, czy wyszła pani za mąż za Chucka Dawsona?

— Tak — przyznała Lorraine nie bez dumy. — To chyba nie przestępstwo?

Laguno ciągnął już swoje: — Nie mam zamiaru być detektywem, inspektorze, i nie chcę wykonywać żadnej pracy za pana. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że panna Burnett została zamordowana, wydaje mi się, iż zainteresują pana motywy zbrodni. Zwróciłem pańską uwagę na to, że panna Burnett była wyraźnym cierniem w tajemnym pożyciu małżeńskim panny Pleygel. Prawdopodobnie Chuck miał przez nią poważny kłopot. I z pewnością

sprawiła przykry zawód swemu narzeczonemu, panu Frenchowi. Wydaje mi się, że istnieją trzy zupełnie dostateczne motywy zbrodni.

Stefano Laguno odegrał rolę nędznej kreatury z takim zapalem, że mogłem tylko przypuszczać, iż znajdował w tym wyjątkowe upodobanie. Oczy Lorraine zapaliły się dziwnym blaskiem, rzuciła na niego spojrzenie pełne nienawiści. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak zdenerwowanej. Widok zaiste był wstrząsający.

— Gdzieś blisko domu musi być rynsztok — odezwała się. — Gdybym wiedziała dokładnie, gdzie on jest, poprosiłabym Chucka, żeby wrzucił cię do niego, bo tam jest twoje miejsce... — Obróciła się do Craiga. — Chciałabym przypomnieć panu, że biedna Mimi nie była jedyną kobietą, która została zamordowana. Dorothy Flanders i Janet Laguno także. Obecnie została poruszona sprawa motywów zbrodni, a więc powinien pana zainteresować fakt, że hrabia miał romans z Dorothy, a i żonie groził, że ją zabije, aby zdobyć jej pieniądze. Każdy tutaj może to potwierdzić. — Złośliwie naśladowując głos hrabiego Laguno, dodała: — Nie mam zamiaru być detektywem. Wydaje mi się jednak, że istnieje dostateczny motyw zbrodni.

Odnosiło się wrażenie, że inspektor z łatwością poradzi sobie z tymi wszystkimi zjadliwymi wzajemnymi oskarżeniami.

— Porucznik Duluth — powiedział — przekazał mi testament pani Laguno. Mam nadzieję, hrabio, że będzie pan równie chętny do współpracy w sprawie innych zgonów jak tego panny Burnett.

Wyraźna zuchwałość hrabiego Laguno nie uległa zmianie. Zadzierając głowę do góry, z beztroskim uśmiechem, odparł:

— Naturalnie, inspektorze. I rzeczywiście jest coś takiego, na co chciałbym od razu zwrócić pańską uwagę. Jeżeli przeczytał pan testament Janet, to wie pan już, że zapisała ona cały swój majątek Billowi Flandersowi. Żaden inteligentny inspektor nie uwierzyłby, że ja zamordowałem żonę po to, by przynieść korzyść komu innemu. — Rozłożył ręce. — Chciałbym panu poddać pewną myśl, aby pan, przy podejrzywaniu winnych, zwrócił nieco uwagi na Billa Flandersa. Nie żywił on żadnych gorących uczuć w stosunku do żony, a śmierć Janet daje mu największą korzyść. Nie mogę tylko zrozumieć, jak to się ma do śmierci Mimi, choć...

— Ty świniu — Bill Flanders chwycił kulę i poderwał się. — Ty ohydna świniu! Myślisz, że możesz każdego obrzucać błotem, co?

Laguno uśmiechnął się do niego.

— Daj mi trochę więcej czasu, Flanders. Jeszcze nie obrzuciłem błotem na przykład... doktora Wyckoffa. — Przenikliwie, jaszczurcze spojrzenie skoncentrował na twarzy Wyckoffa. — Nie chcę pana, inspektorze, wprawiać w zakłopotanie swoją dociekliwością, ale sądzę, że powinien pana zainteresować fakt, iż doktor Wyckoff wydał diagnozę, jakoby Dorothy Flanders zmarła z powodu wady serca, podczas gdy było rzeczą jasną, że została otruta. Sądzę, że również mógłby pana zainteresować fakt, iż żona Wyckoffa o włos uniknęła śmierci dziś po południu, kiedy...

— Dość tego, Laguno! — wybuchnął gniewnie Wyckoff.

Rozpętało się teraz istne piekło. Wszyscy zaczęli mówić naraz, wzajemnie się oskarżając.

Inspektor Craig z trudnością ich uspokoił. Zrezygnował jednak z dalszego zespołowego przesłuchiwania i oświadczył, że wszystkich domowników przepyta indywidualnie. Chciał zacząć od Lorraine. Po chwili wyszedł z nią do małego, pomalowanego na żółty kolor pokoiku obok biblioteki.

Pozostawieni na pastwę losu goście Lorraine popadli w grobową ciszę, wymieniając jedynie złe spojrzenia. Każdy po kolei stawał potem przed inspektorem, a reszta nudziła się w bibliotece siedząc lub spacerując dookoła albo popijając drinka. Gdy przesłuchana była już połowa zebranych, przybyli koledzy Craiga. Na jakiś czas inspektor udał się z nimi do garażu. Było już po drugiej, gdy zakończył przesłuchiwanie i ponownie ukazał się w bibliotece.

— Sądzę, że na razie to wszystko — oznajmił. Następnie zwrócił się do Lorraine: — Jeżeli zgodzi się pani, panno Pleygel, to spędzę tu dzisiejszą noc. W takich okolicznościach uważam, że byłoby lepiej, żebym pozostał na miejscu.

Słowa jego zabrzmiały dziwnie złowieszczo, jakby na równi ze mną spodziewał się czegoś, co może jeszcze w każdej chwili tu nastąpić. Lorraine przygotowała dla niego pokój i wręczyła mu klucz od gablotki, znajdującej się w sali z trofeami. Craig dał ten klucz jednemu ze swoich kolegów z poleceniem, aby natychmiast przekazał zatrute strzały do analizy.

Nie miałem pojęcia, jakie wnioski wyciągnął inspektor, lecz wyraźnie można było stwierdzić, że energicznie wziął się do pracy.

Tuż przed trzecią, gdy byliśmy jeszcze wszyscy zgromadzeni w bibliotece,

inspektor wrócił do nas i powiedział: — Chcecie państwo zapewne trochę się przespać. Jutro też może być ciężki dzień. Nawiasem mówiąc, radziłbym wam dobrze pozamykać drzwi na klucz, szczególnie kobietom. — Jego bystry wzrok spoczął na mnie. — A pan, poruczniku, może położyć się spać nieco później... Chciałbym z panem jeszcze porozmawiać.

Zauważyłem, że Iris mało nie mdlała z ciekawości, tak bardzo chciała wiedzieć, co inspektor ma mi do powiedzenia. Zbliżając się do niego z czującym uśmiechem, rzekła: — Dobrze, inspektorze. Oczywiście, że nie pójdziemy jeszcze spać.

Grymas niezadowolenia wykrzywił usta Craiga. Z bezkompromisową grzecznością odparł mojej żonie, że dla jego zamiarów w zupełności wystarczy ja sam. I nim Iris miała czas zdać sobie sprawę z tego, co się stało, inspektor spróbował delikatnie wyprowadzić ją z biblioteki, podczas kiedy reszta osób sama już nas opuściła.

— Inspektorze, ale... — protestowała. — Ja zawsze z mężem...

— To doskonale, doskonale. — Craig uśmiechnął się błogo. — Jeżeli chce pani wiedzieć, o czym będziemy rozmawiali, to jestem przekonany, że i tak o wszystkim dowie się pani później z ust własnego męża.

Zostawił Iris przy drzwiach.

— Dobrze, poruczniku. Przejdźmy do sprawy i postarajmy się zrozumieć sens tego wszystkiego.

Iris utkwiała teraz wzrok we mnie.

— Peter, może ty...

Uśmiechnąłem się przepaszająco do inspektora.

— Odprowadzę tylko moją żonę na górę, panie Craig. Za chwilę tu wrócę.

Gdy sprężystym krokiem przechodziłem z Iris przez hol, moja żona kipiała z wściekłości.

— Peter, co on sobie myśli, że kim jestem? Dziewczynką z długimi, złotymi warkoczami? To jest...

— Przepraszam cię, kochanie. On jest mężczyzną starej daty. Może i nie docenia kobiet-detektywów, ale ja jestem z tego zadowolony. Mam przecucie, że obecna sytuacja jest wybuchowa jak wulkan. Dlatego wolałem zabrać cię w bezpieczne miejsce.

Iris miała ciągle nadąsaną minę, gdy dotarliśmy na górę. W końcu wykrzyknęła:

— Bezpieczne miejsce! Zajmowałam się tą zagadką od samego początku. A teraz, gdy sytuacja naprawdę zaczyna się robić ciekawa, twoja mała kobietka ma czekać cierpliwie w tym niby bezpiecznym miejscu!

Jakaś myśl przemknęła przez mój umysł, gdy rzuciłem wzrokiem na ściany pomalowane w zebłą. Dopiero niedawno, bo jeszcze tego wieczoru, ktoś przecież włamał się do naszego pokoju i szukał czegoś. Nagle uprzytomniłem sobie, że gdy zostawię ją tutaj samą, nie będzie wcale bezpieczniejsza niż gdzie indziej. Widziałem w wyobraźni kogoś ponownie zakradającego się do tego pokoju podczas mojej nieobecności, kogoś zbliżającego się do łóżka i pochylającego się nad Iris... Wieczór nadszarpała moje nerwy do takiego stopnia, że mąciło mi się w głowie.

Ująłem Iris za rękę. Próbowałem przemówić jej do rozsądku.

— Posłuchaj, skarbie — powiedziałem. — Chcę, żebyś spała dzisiejszej nocy gdzie indziej.

— Gdzie indziej?

— O ile wiemy, osoba, która wtargnęła tutaj, może próbować ponownie. Weź nocną koszulę i szczoteczkę do zębów.

Iris zerknęła na mnie z wyrzutem.

— Mogę być słabą kobietą, ale przynajmniej zaufaj mi, że zamknę drzwi na klucz.

— Nie mam przekonania do zamków. Na nic nie mogę liczyć. Chcę, żebyś czuła się bezpiecznie przez pozostałą część mojego urlopu. Nie mam zamiaru ryzykować.

Westchnęła lekko. — Dobrze, kochanie.

Ociągając się, zaczęła zbierać swoje rzeczy: ciemną, egzotyczną koszulę nocną, szlafrok i resztę. W końcu wyszliśmy na korytarz. Współczynnik umiarkowości był tu obecnie tak wysoki, że kilka pokoi stało pustych. Wybrałem ten po Janet Laguno. Pokojówki już usunęły wszelkie ślady jej obecności. Iris rzuciła przyniesione ze sobą rzeczy na łóżko i spojrzała na mnie niewinnie.

— Mała kobietka nie będzie spała, dopóki nie zjawi się jej pan i władca. Biegnij teraz do inspektora i swoich typowo męskich spraw.

— Zamknij dobrze drzwi na klucz — zaznaczyłem. — I nie wpuszczaj nikogo. Nikogo! Gdy wrócę, zapukam cztery razy.

Iris skrzywiła usta.

— Mówisz teraz jak tajny agent. Ale niech ci będzie!

— I nie rób żadnych niemądrych numerów. Nie postępuj jak szalona Iris Duluth, sławny detektyw z Hollywoodu.

Żona potrząsnęła głową.

— Nie martw się. Nie mam nastroju. Czuję się jak zwiędnięty kwiat.

Pocałowałem ją, marząc, byśmy jak najszybciej znaleźli się zupełnie gdzie indziej i nigdy nie słyszeli już nazwiska Lorraine Pleygel. Gdy Iris zaczęła oglądać koszulę nocną, ruszyłem w stronę drzwi. Miałem teraz chęć na papierosa. Sięgnąłem do kieszeni, ale zamiast znajomego pudełka dotknąłem jakiegoś twardego, grubego* przedmiotu. Wyjąłem go. Były to „Poezje wybrane Edny St. Vincent Millay”, które wsunąłem do kieszeni jeszcze w garażu i kompletnie o nich zapomniałem.

— Trzymaj, kochanie — Rzuciłem książkę żonie. — Tu jest coś przyjemnego dla ciebie do poczytania.

Iris złapała książkę. Przeczytała głośno tytuł.

— Och, jakie urocze! — dodała. — Rozumiem, że ta poezja ma pokrzepić moją zranioną duszę?!

— Właśnie tak — potwierdziłem.

Iris miała dosyć. Z wściekłością cisnęła książkę na łóżko, a w ślad za nią koszulę nocną.

— Przekłeta Edna St. Vincent Millay — powiedziała ze złością. — Przekłety inspektor Craig ze swoim krytycznym nastawieniem do kobiet. Przekłete to wszystko razem!

18.

Ogień nadal trząsał na kominku, gdy wróciłem do inspektora przebywającego w żółtym pokoiku. Atmosfera była dziwnie spokojna. Oprócz Craiga był tu lekarz policyjny. Obaj badali czerwono-brunatną plamę na rękawiczce Dorothy.

— Doktor Brown porównuje właśnie plamę z kurarą, poruczniku — objaśnił mi Craig. — Jest skłonny przyznać, że plama ta pochodzi od substancji znajdującej się na strzałach. Oczywiście zostanie poddana analizie dla pewności. — Westchnął. — Podobnie jak strzały. Zażądamy też ekshumacji zwłok pani Flanders. Sporo będziemy musieli zrobić, nim naprawdę ruszymy z miejsca...

Dodał, że jego ludzie zrobili wszystko, co mogli wykonać na miejscu w nocy, zabrali zwłoki Mimi i odjechali. Wrócą rano, aby zbadać wrak furgonetki.

Lekarz także wkrótce odjechał i zostaliśmy z Craigiem sami.

Inspektor wyglądał na znużonego. W milczeniu wpatrywał się w ogień, potem nabił fajkę tytoniem i zapalił. Czas jakiś siedział z ustami zaciśniętymi na cybuchu fajki.

— Przysnam, poruczniku, że tak naprawdę nie wiem, dlaczego poprosiłem pana, by nie kładł się pan spać. Wiem już chyba wszystko, oczywiście tyle, ile tamci mi wyznali. Od tego ich gadania tylko w głowie mi huczy. Niewiele to pomogło w wyjaśnieniu spraw. — Utkwił we mnie chłodne spojrzenie. — Wiemy, że panna Burnett została zamordowana. Jak sądzę, pani Flanders i pani Laguno także. I tego już za wiele. Szczerze mówiąc, nie mogę zrozumieć, co się za tym kryje, że nie zawiadomiono mnie wcześniej.

Nie dziwiłem się zbyt, że inspektor Craig był zakłopotany w takim samym stopniu jak ja. Większość występków trudna jest do wykrycia z racji skąpych informacji. W tym przypadku było zbyt wiele trupów i zbyt wiele motywów.

— To jakaś idiotyczna historia — głośno rozmyślał Craig. — Prawie wszyscy mają motyw do popełnienia jednej czy drugiej zbrodni. Niektórzy mają motyw do popełnienia dwóch. Nie ma jednak nikogo, jak zdołałem się zorientować, kto miałby powód zabić panią Flanders, panią Laguno i panią Burnett i na domiar wszystkiego zaatakować panią Wyckoff!

— Dokładnie tak! — potwierdziłem odruchowo.

— Miałoby to sens — ciągnął Craig — gdyby Flanders zamordował swoją żonę, Laguno swoją, Wyckoff usiłował zamordować swoją oraz gdyby pannę Burnett zamordował French albo nawet Dawson, względnie panna Pleygel. To byłyby jednak — rozłożył bezradnie ręce — cztery zbrodnie i czterech różnych morderców! Kto kiedy słyszał o czterech mordercach pod jednym dachem?! To by popsulo wszelkie możliwe statystyki!

Inspektor Craig pochylił się do przodu i poruszył pogrzebaczem dogasające szczapy w kominku. Przy tym domowym geście wydał mi się bardziej ludzki.

Nagle odwrócił się do mnie z grymasem na twarzy.

— Jedno wyjście wchodzi tu tylko w grę, poruczniku. Ktoś zamordował

trzy kobiety i usiłował zamordować czwartą. Brak jedynie motywu. Mam na myśli jakiś zwyczajny, rozsądny motyw. — Pyknął mocno z fajki. — Tak właśnie! Rozsądny. W tym domu musi być ktoś, kto nie grzeszy zbytnim rozsądkiem. Wszystkie zamordowane kobiety, z wyjątkiem panny Burnett, były mężatkami gotowymi się rozwieść. A panna Burnett, jak się zorientowałem, zdradzała swego narzeczonego, co poniekąd łączy ją z tamtymi. Mamy do czynienia z jakimś nieobliczalnym typem, mordującym kobiety nie dochowujące wierności mężom. Nie jestem psychologiem, ale muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o takim przypadku obłąkania. Chociaż... — Wzruszył ramionami. — Czy jakieś inne przypuszczenie może tu wchodzić w grę, poruczniku? Jak pan sądzi?

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, nim zauważyłem:

— Freudowi do jego teorii wystarczyłoby to w zupełności...

Przez usta inspektora przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Znajdował się pan w różnych sytuacjach, poruczniku, lecz wydaje mi się, że nie znalazł się pan nigdy w tak idiotycznej sytuacji jak teraz.

— W porównaniu z posiadłością Pleygel, masakra w St. Valentine była dziecinną igraszką.

Craig ciągle drażył umysł.

— Tak, poruczniku, morderca jest jedna z tych osób, z którymi rozmawiałem dziś w nocy. Przesłuchując ich, myślałem jednocześnie: „Jedno z was nie ma dobrze w głowie, jest szaleńcem, maniakiem”. Tylko że... — wyjął fajkę z ust — wszyscy wydawali się być przy zdrowych zmysłach. Może z wyjątkiem Flandersa. Powiedział, że zwolniono go z marynarki. Wyglądał na roztrzęsionego, rozgoryczonego. Z takimi to nigdy nic pewnego. Biedaczysko! Kontuzjowany, nerwica...

— Zgadza się z panem — przyznałem. — Gdy Flanders przybył tutaj, był bardzo roztrzęsiony. Wszyscy to widzieli. A jednak oboje z żoną uznaliśmy, że Flanders jest jedynym, którego mogliśmy całkowicie wyeliminować z podejrzeń. Tuż przed utopieniem Janet Laguno w basenie wysiadły bezpieczniki. Trudno to brać za przypadkowy zbieg okoliczności. Ktoś musiał umyślnie spowodować spięcie. Każdy mógłby to zrobić, oprócz Flandersa. W tym czasie znajdował się on w basenie razem ze mną i moją żoną.

— Może miał współnika — zauważył inspektor.

— Pan sam to wykluczył. W tym cała rzecz. Gdyby morderca był maniakiem, nie mógłby mieć współnika. Zbrodniarz mordujący z zimną krwią może mieć współników, ale nie maniak.

— Ma pan rację — przyznał Craig przygnębionym głosem. — A inni, poza Flandersem... czy któraś z tych osób robi na panu wrażenie, że mogłaby wpaść w szal i wymordować kobiety tylko dla jakiejś szalonej przyjemności?

— Nie — odparłem.

— O to właśnie chodzi! Miałem już styczność ze zbrodniarzami-maniakami. Raczej nie wyglądają oni jak przeciętni obywatele. Mówię to z własnego doświadczenia. Nie opieram się na historii doktora Jekylla i pana Hyde'a. To są banialuki.

— No dobrze — powiedziałem. — Nie wierzy pan, że istnieje tu jakiś logiczny motyw dla dokonania zbrodni i nie wierzy pan, że ktoś z podejrzanych jest maniakiem. W takim razie, w co pan wierzy?

Uśmiechnął się.

— Zagiął mnie pan, poruczniku. Nie wiem. — Jego twarz znów przybrała wyraz powagi i stanowczości. — Mogę panu powiedzieć jedno. Zetknąłem się w swoim zawodzie z wieloma różnymi dziwactwami, poruczniku. Znam się na oszustwie i mam wrażenie, że w tym domu jest wielu oszustów. Ten hrabia, dziwnie rozgadany. Albo ten Wyckoff, też elokwentny, a nie wyjaśnił, dlaczego wydał taką diagnozę co do śmierci pani Flanders. To trochę dziwne. Nie twierdzę, że jest złym lekarzem, ale przypuszczam, że może być również niezłym krętaczem. Z tego, co usłyszałem, panna Burnett i pani Flanders także coś kręciły. Dlatego nie sądzę, by panna Pleygel miała dobry gust w doborze przyjaciół... — Przerwał na moment swój wywód. — Na domiar złego wyszła w tajemnicy za męża za Chucka Dawsona! On obraca się w tych stronach już trochę czasu i niby każdy go zna. Zdecydowana większość tych osób nawet go lubi. Wątpię jednak, czy mógłbym panu wskazać w Nevadzie kogoś, kto wiedziałaby dokładnie, kim on jest i skąd przybył. Być może to on jest największym oszustem z nich wszystkich.

— I cóż z tego? — spytałem. — To niby jedna wielka banda oszustów. Ale czego to dowodzi?

— Znów pan mnie prostuje. Niestety, nie dowodzi niczego. — Inspektor wystukał popiół z fajki i schował ją do kieszeni. — Jednak jest coś, czego jestem tu pewny, poruczniku. Chciałbym jednak, aby tak nie było. —

Przeniósł posepny wzrok z kominka na mnie. — Trzy zbrodnie, prawie cztery zbrodnie, zostały popełnione w ciągu trzech dni. Ponieważ nie znam przyczyny, dla której zostały popełnione, nie wiem też, czy powinny już się skończyć... — Obdarzył mnie znowu uśmiechem. — Nie będę miał łatwego zadania przy bezpośrednim działaniu. Jeżeli jeszcze coś się wydarzy, będzie to tak samo przykre dla mnie, jak i dla następnej ofiary.

Słowa te znów mnie poważnie zaniepokoiły.

— Niech pan nie sądzi, że ja również nie jestem tym zmartwiony, inspektorze. Pan może stracić tylko sławę, a ja mam tu przecież żonę. — Impulsywnie dodałem: — Dlatego chciałbym się stąd urwać.

— Co takiego?

— Tak naprawdę jestem na urlopie. Za dziesięć dni wracam na okręt. Chyba pan nie podejrzewa mnie lub mojej żony, co?

Craig wyglądał na oburzonego.

— Na Boga, oczywiście, że nie. Ani pana... ani tym bardziej Iris Duluth?! Ona jest moją ulubioną aktorką filmową.

— W takim razie pozwoli pan, że wyniesiemy się stąd jutro, dobrze? Wolałbym pobyć z żoną tam, gdzie nie będzie narażona na utratę życia na skutek pchnięcia nożem w plecy. Zgodzi się pan ze mną? Pozwoli nam pan wyjechać? Będziemy z panem w kontakcie, oczywiście. Zawsze będzie pan wiedział, gdzie nas szukać...

Inspektor Craig badawczo mnie obserwował. Nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Uczynię to dla marynarki wojennej — powiedział.

Poczułem wyraźną ulgę. Chwyciłem jego rękę i mocno potrząsałem.

— Dziękuję, inspektorze. Bardzo mnie cieszą pańskie słowa.

Craig nadal szczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie wiem tylko, czy będzie pan mógł narzucić żonie swoją decyzję? O ile zdążyłem się zorientować, jest stanowczą, młodą niewiastą, której umysł zaprzątnięty jest tymi zbrodniami.

— Tym niech się pan nie martwi. Zawsze mogę ją przerzucić sobie przez ramię i zabrać bez gadania.

Inspektor rzucił okiem na zegarek i wstał.

— Wydaje mi się, że dzisiejszej nocy nie uda się nam już nic więcej zdziałać. Jestem strasznie zmęczony. Szukam igły w stogu siana...

— Zawahał się. — Ale nim pan mnie opuści, poruczniku, może

podsunie mi pan jeszcze jakiś trop. Pan znacznie lepiej poznał tych ludzi...

— Od samego początku oboje z żoną uznaliśmy, że należy skoncentrować uwagę przede wszystkim na jednym zagadnieniu: w jaki sposób została zamordowana pani Flanders. Każdy mógł utopić panią Laguno w basenie; każdy mógł zakraść się i uderzyć w głowę pannę Burnett w garażu; jednak pani Flanders została zamordowana w jakiś przemyślny sposób. Jeżeli panu uda się ustalić, *jak* została pozbawiona życia, wówczas będzie pan miał wspaniałą szansę na przyparcie do muru którejs z znajdujących się tu osób. Gdy tego pan dokona, będzie pan miał połowę zadania za sobą.

Inspektorowi chyba jednak niezbyt spodobał się ten wniosek. Chrząknął znacząco.

— Przypuszczam, że dowiemy się czegoś więcej w tej sprawie po przeprowadzeniu sekcji zwłok pani Flanders i wykonaniu analiz. Może wtedy pan będzie miał rację. — Ziewnął i ruszył w kierunku drzwi. — Idzie pan na górę?

Wiedząc, że możemy z Iris spakować się i wyjechać z samego rana, poczułem się jak człowiek wypuszczony na wolność. Nigdzie już mi się nie spieszyło. Na stole stała karafka. Nabrałem ochoty na szklankę whisky.

— Nie, inspektorze — powiedziałem. — Zostanę tu jeszcze chwilę. Może znajdę natchnienie.

— Miejmy nadzieję. A więc dobrej nocy. — Inspektor Craig wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Nalałem sobie whisky, podszedłem do kominka i usiadłem wygodnie w fotelu. Zacząłem zastanawiać się, dokąd mam zabrać moją gwiazdę filmową, żeby nie spowodować zbiegowiska z orkiestrą dętą. Pomyślałem też o wszystkich przyjemnościach, które czekały nas po tych okropnych dniach przeżytych pod dachem Lorraine. Jednak po chwili przykra rzeczywistość przesłoniła moje różowe marzenia o przyszłości i ponownie zacząłem zmagać się z problemem, który zagiął nawet samego inspektora Craiga. Słowa inspektora odżyły w moim umyśle: „Mam wrażenie, że w tym domu jest wielu oszustów”. Ta wypowiedź bardziej trafiała w sedno, niż inspektor mógł przypuścić. Towarzystwo w domu Lorraine było zjazdem oszustów.

A morderca — rozmyślałem w ponurym nastroju — musiał być największym oszustem z nich wszystkich.

Myśl wydała się błaha. Kiedy ją jednak przetrawiłem, aż wyprostowałem się w fotelu. Wydawało się, że te zbrodnie popełniane były bez motywu. A może naprawdę nie miały motywu? Może ten łańcuch niby przypadkowych zabójstw był jednym olbrzymim oszustwem? Może komuś zależało na zabiciu tylko jednej kobiety i umyślnie mordował inne, aby wytworzyć złudzenie, że jest zbrodniczym maniakiem, i w ten sposób zamaskować motyw?

Ta myśl przykuła moją uwagę. Byłem już gotów pobiec na piętro i przedstawić ją inspektorowi, ale zwykły rozsądek wziął górę nad zbytnim zapałem. Stwierdziłem, że tracę pewność siebie. Moja teoria była zupełnie logiczna. Czy jednak została zrealizowana w praktyce? Czy ktoś mógł być do tego stopnia bestialski, aby zamordować trzy niewinne kobiety jedynie dla stworzenia zasłony dymnej?

Przyjaciele Lorraine byli co prawda oszustami, lecz z pewnością żaden z nich nie mógłby dokonać takich potwornych czynów.

Znow opadły mnie wątpliwości, ale wyobrażenia nie dawała za wygraną. Z braku lepszego pomysłu, zacząłem rozmyślać nad tym jednym, który przekazałem inspektorowi: w jaki sposób została zamordowana Dorothy Flanders.

Lekarz policyjny był zdania, że plama znajdująca się na palcu rękawiczki Dorothy pochodziła z trucizny pokrywającej grot strzały. Gdyby miał rację, to teoria Iris, że plama ta powstała z farby znajdującej się na jednym z żetonów ruletkowych, byłaby błędna. Te dwie myśli łącząc się w moim umyśle, natchnęły mnie do wysnucia dalszych wniosków. Doświadczenie Iris przeprowadzone z żetonem i mokrym ręcznikiem zwróciło naszą uwagę na coś, co było wiadome od samego początku — barwa żetonów ruletkowych była taka sama jak barwa kurary.

Inaczej mówiąc, gdyby kurara znajdowała się na jednym z pięciodolarowych żetonów ruletkowych, wówczas osoba posługująca się takim żetonem na pewno nie zauważyłaby nic podejrzanego.

Ta elementarna dedukcja odkrywała powoli resztę. Nagle doznałem olśnienia i zrozumiałem, w jaki sposób Dorothy Flanders została zamordowana. Zacząłem się dziwić, że wcześniej na to nie wpadłem.

Ktoś sporządził śmiertcionośną pułapkę z żetonu ruletkowego. Mogłem tylko przypuszczać, jak była skonstruowana, ale raczej nie wymagała ona ani czasu, ani szczególnej pomysłowości. Najprostszy do wyobrażenia sobie sposób polegał na wbiciu w boczną ściankę żetonu kilku ostrzy z

ułamanych igieł i pokryciu ich kurarą. Kurara, zlewając się z barwą żetonu, byłaby niewidoczna. Bardzo łatwo każda osoba z naszego towarzystwa mogła wepchnąć taki zatruty żeton do ułożonych w stos na stole żetonów Dorothy. A grający w ruletkę zwykle przebiera palcami w stosie swoich żetonów i doprowadza go do porządku przed grą. W normalnych warunkach Dorothy ukłułaby się w palec i zmarłaby w klubie Chucka. W normalnych warunkach nie byłoby prawdopodobnie wątpliwości co do powodu jej śmierci.

Okoliczności wówczas nie były jednak normalne z prostej przyczyny. Dorothy grała w długich skórzanych rękawiczkach. Plama na palcu rękawiczki wskazywała miejsce, gdzie nastąpiło zetknięcie się z kurarą, lecz — jak już Iris wywnioskowała — skóra tych rękawiczek była zbyt twarda, by igła mogła ją przebić. Gdyby Dorothy nie była taka chciwa, to prawdopodobnie żyłaby do dzisiaj, a ofiarą padłby któryś z krupierów w klubie Chucka. Dorothy jednak była chciwa. Wcisnęła połowę swych żetonów do torebki, nie korzystając z nich. Pośród nich właśnie znajdował się ten zatruty.

Z zadziwiającą jasnością przesuwały się teraz w mojej wyobraźni najdrobniejsze szczegóły tego pamiętnego wieczoru. Kiedy podano jej kanapkę w „Del Monte”, Dorothy zdjęła rękawiczki. Następnie otworzyła torebkę, aby je schować. Wtedy zauważyła mój wzrok skierowany do wnętrza torebki i speszona możliwością odkrycia przywłaszczonych żetonów, wcisnęła rękawiczki z niezwykłą gwałtownością. Przypomniałem sobie nawet, że wyszarpnęła rękę z torebki, tak jakby została czymś ukłuta. Potem nie zastanawiałem się nad tym zagadkowym ruchem ręki po prostu dlatego, że przypisywałem go kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazła się w tym momencie.

Teraz jednak jego przyczyna była dla mnie aż nazbyt zrozumiała. Gdy wepchnęła rękawiczki do torebki, dotknęła palcem zatrutego żetonu, który leżał tam wraz z pozostałymi. Dawka kurary była wystarczająca, by szybko pogorszyć stan serca Dorothy i spowodować jej śmierć w „Del Monte”, a nie — jak to było planowane — w klubie Chucka. Iris i ja mieliśmy rację, sądząc, że to torebka zawierała pułapkę z trucizną. Błędne było tylko założenie, że morderca celowo ukrył ją właśnie w torebce.

Morderca zamierzał zamordować Dorothy w klubie Chucka. To było jasne. Zamieszanie, które towarzyszyło zbrodni, uzależnione było nie od

przebiegłości mordercy, lecz od zwykłego przypadku. To morderca musiał tak pokierować sprawą, by wykraść zatruty żeton z torebki Dorothy po dokonaniu zbrodni. Nie to było jednak istotną częścią jego pierwotnego planu. On dostosował się tylko do sytuacji, na którą nic miał żadnego wpływu.

Im więcej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że naktnąłem się na prawdę. Choć z przykrością zdałem sobie sprawę, że moje odkrycie kompletnie nie przyczyniło się do zmniejszenia kręgu podejrzanych. Każdy z nas tłoczył się przy stole ruletkowym, gdy Dorothy tam grała. Każda osoba z naszego towarzystwa miała okazję do wsunięcia zatrutego żetonu do stosu Dorothy.

Nagle inna myśl przemknęła przez mój umysł z taką siłą, że zakręciło mi się w głowie. Zatruty żeton można było łatwo podrzucić do pozostałych żetonów, lecz na pewno nie mógł on być spreparowany od ręki, pod wpływem chwilowego impulsu. Należało uprzednio zdobyć igły lub coś w tym rodzaju; trzeba było też ukraść strzałę z kurarą, która znajdowała się w sali z trofeami. Inaczej mówiąc, ten śmiertcionośny przedmiot musiał być przypuszczalnie wykonany przez mordercę przed naszym wyjazdem z domu Lorraine do Reno i został zabrany do klubu Chucka z umyślnym zamiarem zamordowania Dorothy przy stole ruletkowym. Wyglądało to trochę dziwnie, że ktoś ważył się na tak niepewny sposób dokonania zbrodni. Ale coś innego było jeszcze dziwniejsze.

Mimo że morderca musiał skonstruować pułapkę z trucizną wczesnym wieczorem, to przecież nikt nie wiedział przed naszym wyjazdem do Reno, że Dorothy będzie chciała zagrać w ruletkę. Nikomu o tym nie mówiła. Mało tego. Będąc w klubie, nie wyraziła najmniejszego zainteresowania grą. W rzeczywistości tylko przypadek sprawił, że w ogóle zagrała.

Dorothy Flanders zasiadła do stołu z ruletką wóczas, gdy Lorraine — która nabyła żetony — zdecydowała się w pewnym momencie na przerwanie gry. Stos żetonów, do którego została wetknięta pułapka z trucizną, nie należał do Dorothy.

Był własnością Lorraine.

Gdyby okoliczności ułożyły się zgodnie z planem zbrodniarza, to Lorraine grałaby tymi żetonami do końca, a nie Dorothy.

To był klucz do zagadki. Otwierał drzwi, przez które wdzierało się oślepiające wręcz światło.

Dorothy zmarła, bo posługiwała się zetonami Lorraine, Janet Laguno utonęła, bo miała na sobie kostium kąpielowy Lorraine — ten błyszczący, srebrny kostium, który był widoczny nawet w ciemnościach i stanowił doskonały cel dla mordercy. Z noszenia tego kostiumu zrezygnowała Lorraine i dała go Janet, gdyż miała taki kaprys.

I to jeszcze nie było wszystko. Tego popołudnia Fleur Wyckoff niemal cudem uniknęła śmierci w samochodzie Lorraine. Podróż Fleur do Reno nastąpiła całkiem niespodziewanie. Nikt, z wyjątkiem może Laguno, nie mógł mieć czasu na podpiłowanie linki hamulcowej po decyzji Fleur o skorzystaniu z tego auta.

A wcześniej tego dnia Lorraine oświadczyła, że ma zamiar udać się tym wozem na lotnisko po pana Throckmorta. Później otrzymała telegram, że zrezygnował on ze swego miejsca w samolocie, o czym dowiedzieliśmy się tylko Iris i ja.

Gdyby nie było tego telegramu, wówczas Lorraine, a nie Fleur pojechałaby tym samochodem... ku swojej zgubie.

Tam, gdzie trudno było się dopatrzeć jakiegoś sensu, wszystko nagle go nabrało — wypaczone przedtem przez przypadek i mało odpowiedzialne pomysły rozkapryszonej Lorraine. Moje przecucia były słuszne. Te morderstwa nie były niczym innym jak ogromnym oszustwem — mordercy, którego prześladował pechowy los.

Trzy pułapki były zastawione na Lorraine Pleygel. W każdą z nich wpadła niewłaściwa ofiara.

Morderca, który siał postrach w tym domu, pozornie atakując na chybił trafił, od samego początku zamierzał zamordować tylko jedną osobę — Lorraine.

Śmierć Mimi wymagała jeszcze wyjaśnienia. Zamordowanie jej z pewnością nie mogło mieć związku z polowaniem na Lorraine, lecz nie miałem już czasu na logiczniejsze powiązanie myśli. Zaczęłem poważnie niepokoić się o Lorraine.

Morderca, który działał z taką zawziętością, na pewno nie zawaha się przed niczym, dopóki nie osiągnie swego celu. Trzy kobiety zostały zamordowane, lecz faktyczna ofiara, o którą mu chodziło, żyła nadal. Craig był bliski prawdy, gdy powiedział, że morderca może znów zaatakować.

Oczywiście, że będzie chciał znów zaatakować. Gdyby nie uczynił tego, wówczas całe jego krwawe żniwo byłoby bez sensu. Nie miał więc nic do

stracenia. Dzięki zamieszaniu, jakie spowodował, śmierć Lorraine zrobiła by wrażenie kolejnego nieuzasadnionego ataku maniaka.

Dopilem whisky i zerwałem się na równe nogi. Gdy stawiałem szklankę, stwierdziłem, że drży mi ręka. Odczuwając straszliwą potrzebę snu, przeszedłem przez ciemną już bibliotekę i znalazłem się w holu. Schody rysowały się niewyraźnie przede mną. Zacząłem wspinać się po nich z nadzieją, że odkrycie prawdy nie nastąpiło zbyt późno. Lorraine była przecież sama już ponad godzinę. Przez ten czas morderca miał okazję wśliznąć się potajemnie do jej pokoju i... Dotarłem do korytarza, który prowadził z pokoi gościnnych do skrzydła budynku zajętego całkowicie przez Lorraine. Odgłos moich kroków, gdy szedłem po niczym nie przykrytej podłodze, był niesamowicie głośny, ale nie zważałem na to, że kogoś obudzę. Zbliżyłem się do końca korytarza. Podeszedłem do drzwi Lorraine i zapukałem głośno. Cisza. Znów zapukałem i zawołałem:

— Lorraine!... Lorraine!...

Żaden dźwięk nie dochodził z pokoju. Krople potu wystąpiły mi na czoło. Jeszcze raz zapukałem. I chwyciłem za klamkę. Zdziwiłem się; drzwi nie były zamknięte na klucz. Bez namysłu pchnąłem je.

W pokoju panowały nieprzeniknione ciemności. Wszedłem i zamknąłem drzwi za sobą. Usiłowałem znaleźć przełącznik od światła.

— Lorraine! — odezwałem się głośno. — Lorraine, obudź się! To ja, Peter.

Zrobiłem parę kroków do przodu. Poruszając się w ciemnościach, poczułem nagle mdły zapach, który nikogo nie mógłby wprowadzić w błąd. To był eter.

Chwilę stałem jak sparaliżowany. Nagle tknięty straszliwym przecuciem, rzuciłem się naprzód. Potykając się w ciemnościach o jakieś przedmioty, zacząłem szukać lampy. Wreszcie znalazłem ją i zapaliłem. Mrużąc oczy od światła, odwróciłem się i rzuciłem okiem na olbrzymie, osłonięte baldachimem łóżce.

Mdły zapach eteru odurzył mnie. Utkwiłem wzrok w postaci leżącej pod atlasową kołdrą. Pościel była podciągnięta do szyi, ale mogłem dostrzec kontury ciała, zarysowujące się pod materiałem.

Twarzy nie było widać.

To był straszny widok. Głowa Lorraine była niewidoczna, całą przykrywała ją poduszka.

— Lorraine!

Doskoczyłem do łóżka. Chwyciłem poduszkę i odrzuciłem ją na bok. Zadrżałem z wrażenia. I tym razem twarzy nie mogłem dostrzec, bo dookoła głowy zaciśnięty był wilgotny ręcznik frotowy. Od niego właśnie zalatywał tak silny zapach eteru, że powodował u mnie zawroty głowy.

— Lorraine...

Dotknąłem ramienia pod koldrą. Wyczułem pod palcami, że ciało było kompletnie sztywne... bez życia.

Ogarnęła mnie niesamowita rozpacz. A więc stało się. Korzystając z ostatniej nadarzającej się sposobności, morderca zakradł się do pokoju Lorraine, owinął dookoła jej głowy ręcznik nasycony eterem, naciągnął na niego poduszkę, by mieć pewność, i wymknął się, licząc na szybką śmierć Lorraine.

Koło zbrodni zamknęło się. Lorraine ostatecznie została schwytana w pułapkę.

Przybyłem za późno, aby ją ocalić.

CZEŚĆ SZÓSTA

IRIS

19.

Utkwiłem wzrok w postaci leżącej na łóżku. Sztywne, bez życia ciało znajdujące się pod pościelą przekonało mnie, że Lorraine Pleygel była martwa. Opary eteru przyprawiły mnie wciąż o zawroty głowy. Z trudnością odwiązałem nasycony eterem ręcznik i odrzuciłem go w drugi koniec pokoju.

Oczom moim ukazała się twarz Lorraine na tle pomiętego prześcierała. Było w niej jednak coś zagadkowego. Oczy człowieka śpiącego przydużone ręcznikiem i poduszką z pewnością powinny być zamknięte. Te jednak były otwarte. Policzki powinny być blade lub sine. Te były lekko różowe. Lorraine leżała bez ruchu, jak trup, lecz jej czerwone wargi miały sztuczny uśmiech, jak uśmiech sklepowego manekina.

Gdy działanie eteru zaczęło zanikać, nagle wszystko zrozumiałem. Chwyciłem ręką kołdrę i ściągnąłem ją z leżącej postaci.

Stwierdziłem, że nie miała na sobie koszuli nocnej, ale długą, zielonkawą suknię wieczorową, a spod jej szerokiego kloszowego dołu wyglądały czubki zielonych pantofelków.

Utkwiłem wzrok w sukience i następnie w twarzy z szeroko rozwartymi oczyma. I nagle roześmiałem się z poczuciem ulgi. Tym razem ktoś po naszej stronie popełnił wielkie oszustwo.

Morderca ukradkiem wśliznął się z eterem do pokoju mając zamiar zamordować Lorraine. Zjawił się tutaj i wyszedł w przekonaniu, że nareszcie nadarzyła się doskonała okazja do sprzątnięcia Pleygel. Nie przypuszczał, że został fatalnie oszukany.

Zacisnął ręcznik nie na śpiącej Lorraine, lecz na manekinie. Zamordował lalkę Lorraine.

Zaczęły cisnąć mi się do głowy różne pytania. Kto zastawił tę pułapkę?

Może sama Lorraine? Czyżby przypuszczała, że grozi jej niebezpieczeństwo i dlatego użyła tak dziwnego podstępu, umieszczając w swym łóżku lalkę? I gdzie ona sama jest teraz?

Obrzuciłem wzrokiem pokój. Nie zauważyłem niczego, co mogłoby naprowadzić mnie na jakiś trop. Pomyślałem o inspektorze Craigu, który zmęczony spał teraz zapewne twardym snem. Wydarzenie to było jednak wystarczającym powodem, żeby wyrwać go nawet z najgłębszego snu. Nie miałem tylko pojęcia, który pokój przeznaczyla mu Lorraine. Nie wiedziałem, gdzie go szukać.

Iris jednak była w tym czasie na górze. Może ona będzie wiedziała. Tak czy owak, zaniepokoiłem się o nią. Uparła się, że nie uśnie, dopóki nie przyniosę jej nowych wieści po rozmowie z Craigiem. Wiedziałem, że żadna siła nie skłoni jej do spania, zanim nie zaspokoi swojej ciekawości. Przez ten czas nauczyła się chyba na pamięć wszystkich wierszy z tomiku Edny Millay.

Szybkim krokiem opuściłem pokój, pozostawiając w nim dziwnego trupa, i ciemnymi korytarzami dotarłem do pokoju zajmowanego uprzednio przez Janet Laguno, który wybrałem na twierdzą dla Iris. Postępując zgodnie z moimi melodramatycznymi wskazówkami, zapukałem lekko cztery razy do drzwi. Usłyszałem odgłos zbliżających się kroków. Po chwili zazgrzytał klucz w zamku i drzwi otworzyły się.

W blasku światła padającego z pokoju dostrzegłem sylwetkę kobiecą, stojącą przy drzwiach. Miała na sobie dziwną piżamę w kolorowe pasy. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, ponieważ kobieta ta nie była moją żoną.

To była Lorraine.

— Och, Peter, to ty, skarbie — odezwała się. — Wejdz, proszę.

Wciągnęła mnie do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Utkwiłem w niej wzrok z głupkowatą miną.

— Co ty, na miły Bóg, robisz tutaj, Lorraine?

— Iris bała się zostać sama. Wyciągnęła mnie z łóżka i przywlokła tu dla towarzystwa.

Obrzuciłem podejrzliwym wzrokiem pokój.

— A gdzie ona jest?

Lorraine wzruszyła ramionami, pasy na jej stroju zafalowały.

— Och, włóczy się gdzieś.

— Włóczy się?! — Zachwiałem się z przerażenia, jakbym został

uderzony jakimś tępym narzędziem. — Przyrzekła mi, że... Mówisz, że się włóczy, sama?

— Tak, mój drogi. — Lorraine zapaliła papierosa. — Opuściła mnie sporo czasu temu, zaczynałam już trochę się niepokoić. Wróciła jednak dosłownie przed kilku minutami. Powiedziała, żebyś się o nią nie martwił. Była w towarzystwie inspektora.

— Inspektora?

— Tak, kochanie. Nie mam pojęcia, co to wszystko ma znaczyć, ale Iris powiedziała, abyś się o nią nie martwił i nie szukał jej.

— Tak mówiła? — upewniałem się, mocno zaskoczony.

— Właśnie tak. — Lorraine obserwowała mnie poprzez dym z papierosa. — Kochanie, co się znowu stało? Zalutuje od ciebie jakimś lekarstwem i wyglądasz, jakbyś zobaczył nieboszczyka.

— Bo widziałem — odparłem. — Twoje zwłoki.

— Moje zwłoki?

— Leżałaś w łóżku w swoim pokoju, przyduszona ręcznikiem i poduszką.

Opowiedziałem jej o odkryciu. Z niedowierzaniem zamruwała rzęsami.

— Lalka? Ta z sali z trofeami, Peter? A ktoś położył ją w moim łóżku?

— Nie wiem — przyznałem, choć zaczynałem się czegoś domyślać.

Pogodne zwykle oblicze Lorraine przyobkleło się naraz w niezwykłą powagę.

— Coś potwornego. Nawet mnie ktoś usiłuje zamordować?

— Nie *nawet* ciebie usiłuje ktoś zamordować, Lorraine. Tak naprawdę to ty jesteś osobą, na którą morderca czatuje od samego początku.

Niepokoili mnie tajemnicza eskapada Iris z inspektorem, ale uznałem, że nadszedł właściwy moment, by powiedzieć Lorraine prawdę. Im wcześniej zda sobie sprawę z ogromnego niebezpieczeństwa, na które jest nadal narażona, tym bardziej stanie się ostrożna. Podzieliłem się z nią swoimi uwagami na temat dokonanych zbrodni i intencji mordercy. Wydarzenia następowały zbyt szybko, aby móc powiązać moje wnioski w jedną logiczną całość. Jednak teraz, gdy obserwowałem blade policzki Lorraine, wydawało mi się, że rozwiązywanie zagadki jest niemal pewne.

Lorraine opadła na brzeg jednego z łóżek. Gdy skończyłem, utkwiała wzrok w dywanie, z rękami opuszczonymi bezwładnie. Cicho zapytała: — Ale kto, Peter? Kto usiłuje mnie zabić?

Nie zanosilo się na przyjemną rozmowę.

— Nigdy nie sporządziłaś testamentu, prawda?

— Nie sporządziłam. Zdecydowałam się to zrobić teraz, po przyjeździe pana Throckmorta. Ja...

— Tak właśnie myślałem. — Położyłem łagodnie ręce na jej ramionach, aby ją uspokoić. — Gdy mężatka umiera nie pozostawiając testamentu, cały jej majątek przechodzi na męża.

Podniosła wzrok na mnie. Twarz jej była posępna i blada jak płótno.

— To niemożliwe, Peter. Nie, nie. Nie możesz mieć na myśli... — Nie dokończyła, bo nagle rozległo się pukanie do drzwi. Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i zawołała: — Kto tam?

— Toja, dziecinko. — Natarczywy głos Chucka Dawsona dał się słyszeć za drzwiami. — Czy mogę wejść?

Lorraine siedziała i obserwowała bacznie drzwi, jakby zobaczyła węża. Potem spojrzała na mnie. Skinąłem głową.

— Możesz wejść — powiedziała.

Chuck wszedł, ale bez tej jego pewności siebie. Twarz miał aż nienaturalnie pobladłą. Najpierw zerknął na mnie, potem na żonę.

— Powiedzieli mi, że jesteś tutaj... — Mówił, jakby brakowało mu tchu. — No i przyszedłem. Chciałem się upewnić, czy dobrze się czujesz.

Lorraine utkwiała w nim zdumiony wzrok.

— Czuję się doskonale. Choć tylko przez cudowny przypadek.

Peter przed chwilą powiedział mi, że ktoś usiłował mnie udusić dzisiaj w nocy.

Chuck zdrętwiał z wrażenia. — Udusić ciebie? To niemożliwe!

— Ktoś wśliznął się do mojego pokoju i chciał mnie uśmiercić eterem podczas snu. Na szczęście wcześniej Iris poprosiła, abym posiedziała z nią. A wtedy ktoś podłożył na moim łóżku tę dużą lalkę.

— Uważnie obserwowała jego twarz. — Chuck, czy ty może wiesz coś o tym?

Usiadł obok na łóżku. Wyciągnął do niej rękę. Wtedy z lekkim drzeniem wstała i stanęła przy mnie.

— Chuck, czy ty wiesz coś o tym? — spytała ponownie.

Chuck Dawson robił wrażenie człowieka kompletnie załamanego, niezdolnego do żadnego wysiłku. Nic nie odpowiedział.

Obserwowałem go cały czas. Znowu przypomniałem sobie słowa wypowiedziane przez inspektora Craiga: „Być może to on jest największym oszustem z nich wszystkich”. Pomyślałem o dziwnym układzie pomiędzy Chuckiem i Mimi. Pomyślałem o zaskakującej sprzedaży klubu dziś po południu. Zaczynałem rozumieć. To było coś istotnego, z czym należało skończyć raz na zawsze.

— Chuck... — odezwałem się po raz pierwszy od jego wejścia tutaj.

Drgnął nagle i spytał: — Tak?

— Sprzedał pan swój klub w Reno dzisiaj po południu, prawda?

Rzucił na mnie piorunujące spojrzenie.

— Dlaczego pan pyta? Pan przecież wie, że go sprzedałem.

— I sprzedał go pan za gotówkę?

— Jasne. To była transakcja gotówkowa.

— W takim razie gdzie są pieniądze?

Jego oczy błysnęły.

— Zawiozłem je do banku, oczywiście.

— To chyba niemożliwe — zauważyłem. — Pogrzeb Dorothy zakończył się po trzeciej. A pan sprzedał klub później. Wtedy wszystkie banki były już zamknięte.

Drżenie przebiegło przez jego atletycznie zbudowane ciało.

— Ja... to znaczy...

W tym momencie zdecydowałem się na ostateczny cios.

— Dlaczego pan nie chce się do tego przyznać? Pan nie sprzedał klubu dlatego, że pan chciał zabrać stąd Lorraine. Pan sprzedał klub, bo potrzebował pan gotówki... Dużo gotówki... Aby przekazać ją komuś, kto pana szantażował. — Zawahałem się na moment. — A potem przeanalizował pan sytuację i uznał, że łatwiej i taniej będzie zamordować Mimi, niż jej wypłacić pieniądze, prawda?

Chuck zerwał się z łóżka, na którym siedział. Wydawało się, że rzuci się zaraz na mnie. Żałowałem, że nie mam w kieszeni służbowej broni. Lorraine złapała mnie za ramię. Jej paznokcie wbiły się w moje ciało.

— Nie. — Twarz Chucka była szara jak popiół. — Nie. To nie jest...

I znowu w dramatycznym momencie otworzyły się drzwi. Tym razem

weszła Iris. Miała na sobie granatowy szlafrok. Jej twarz była jak zwykle piękna, ale i tajemnicza.

Uśmiechnęła się tylko do mnie i odwróciła szybko do Chucka, mówiąc: — Ciesz się, że pan tu przyszedł. Nadszedł wreszcie czas, by porozmawiać o wielu sprawach... Na spokojnie.

— Gdzie byłaś, na miłość boską? — spytałem ją, nadal obserwując uważnie Chucka.

— Och, wszędzie — odparła Iris z błogim uśmiechem.

— Obiecałaś, że nigdzie stąd nie wyjdiesz.

— Wiem, kochanie. — Grymas wykrzywił jej usta. — Tylko że twoja mała kobietka trochę pomyślała i uznała, że coś trzeba zrobić... No i zrobiła, mimo niechęci inspektora Craiga do damskich detektywów.

Lorraine wytrzeszczyła oczy na Iris.

— Iris, to ty podłożyłaś lalkę, prawda? Ocaliłaś mi życie. Wiedziałaś, że grozi mi niebezpieczeństwo...

Iris usadowiła się na brzegu niskiej kozetki i zapaliła papierosa.

— Strasznie głupio się czułam, gdy to robiłam, moja droga, ale wszystko skończyło się jak najlepiej.

Umyślnie odgrywała swoją rolę w taki sposób, żeby wyrzeć na nas wrażenie. Wiedziała, że czekamy niecierpliwie na to, co powie, ale jako aktorka potrafiła rozkoszować się przedłużaniem niepewności.

Zerknęła na mnie, wypuszczając kłęby dymu.

— Wszystko zaczęło się od tego, Peter, że przysłała mi do głowy myśl, iż ten maniak wcale nie jest maniakiem. Jest zwykłym pospolitym mordercą, któremu nie dopisywało szczęście.

— Wiem — zaznaczyłem nerwowo. — Nie tylko ty byłaś taka mądra. Ja też to odkryłem. Że każda ta pułapka była zastawiona na Lorraine i że zawdzięcza swoje życie tylko szeregowi przypadków.

— Och nie, mój drogi, nie szeregowi przypadków. Powiedziałabym nawet, że wskutek bardzo poważnych przyczyn te wszystkie pułapki mordercy nie wypaliły... — Iris rzuciła prowokujące spojrzenie na Chucka. — Mam rację, Chuck?

Odwrócił się od niej bez słowa i podszedł do okna, przy którym stanął zapatrzony w ciemności nocy.

Nie zważając już, że wprawię żonę w jeszcze większą zrozumiałość, spytałem:

— A jak odkryłaś, że Lorraine miała być tą właściwą ofiarą? Na podstawie śmierci Dorothy? Bo ja na tym się oparłem. Uznałem, że Dorothy musiał zabić zatruty żeton ruletkowy.

Iris spojrzała na mnie łaskawym wzrokiem.

— Peter, jaki ty jesteś zdolny. — Wstała i podeszła do komódki, skąd wyciągnęła małą papierośnicę. Podeszła do mnie i otworzyła ją. — Sama nigdy bym nie doszła, że w grę może wchodzić żeton ruletkowy. Ale ja go zwyczajnie znalazłam. Oto on. Tylko ostrożnie. Nie dotykaj go.

Zajrzałem do papierośnicy. Leżał tam pięciodolarowy żeton. Pułapka z trucizną, która spowodowała śmierć Dorothy Flanders, wyglądała niemal tak, jak sobie ją wyobrażałem: sześć maleńkich ostrzy umieszczonych w tekturowej bocznej ścianie żetonu, ledwie widocznych, pokrytych śladem jakiejś czerwobrunatnej substancji.

To była kurara.

Spojrzałem na opanowaną twarz mojej żony.

— Na litość boską, gdzie to znalazłaś?

Iris zamknęła papierośnicę i odłożyła ją na komódkę.

— Och, mniejsza o to — odparła irytująco. Podeszła do mnie. — To jednak nie żeton pobudził mnie do myślenia, Peter, To było coś, co ty mi dałeś. Dziwię się, że sam tego nie zauważyłeś.

Pochyliła się nad łóżkiem i ze stolika obok wzięła książkę. Poznałem ją: Edna St. Vincent Millay. Ulubione poezje Mimi.

— Mówiłeś, żebym poczytała ją przed snem, Peter. Niestety, zdążyłam tylko odczytać zdanie na załączonej do niej kartce... — Podała mi książkę. — Chuck — odezwała się miękkim głosem — niech pan się odwróci do nas i posłucha, co teraz powiem.

Bardzo wolno Chuck Dawson odwrócił się od okna i utkwiał ponury wzrok w swoich dużych dłoniach.

— Prosiłam, żeby pan tu przyszedł porozmawiać z nami, Chuck, bo nie ma sensu dalej tego zatajać. Zrozumiałam, że sprzedał pan klub, aby zapłacić szantażyście. Wiem też, że to Mimi była tą osobą, która pana szantażowała. Nie mogłam tylko zrozumieć, co pana z nią łączyło. Dopóki nie przeczytałam dedykacji w tej książce...

Domyślając się jakiegoś niesamowitego odkrycia, otworzyłem książkę. Dedykacja była wpisana wyraźnym, mało wyrobionym pismem. Odczytałem ją głośno: „Mimi Dawson, ukochanej żonie, Chuck”.

— Tak, Chuck — odezwała się znowu Iris. — To dlatego ona pana szantażowała, prawda? I dlatego została zamordowana. Mimi Burnett nigdy nie miała zamiaru wyjść za mąż za Kochanka. Ona wykorzystywała go tylko jako bilet wstępu do tego domu. Przybyła tutaj, ponieważ była pańską żoną.

20.

Nie mogłem w to uwierzyć. Wiele różnych myśli przychodziło mi do głowy na temat związku, jaki mógł istnieć między Mimi i Chuckiem, ale nigdy by mi się nawet nie przyśniło, że mogli być małżeństwem. Spojrzałem na Lorraine. Jej twarz wyrażała ogromne zdziwienie.

— Byłeś przedtem żonaty z Mimi, Chuck? Ale dlaczego... dlaczego nie powiedziałeś mi o tym?

Chuck unikał jej wzroku. Iris podeszła do niej.

— Lorraine — odezwała się — mówię o tym jedynie dlatego, że całą tę okropną historię trzeba teraz wyjaśnić. Musisz w to uwierzyć. Chuck nie mógł ci powiedzieć o Mimi, bo... — Zerknęła na Chucka z zaciśniętymi ustami. — Bo on był nadal jej mężem, a obecnie jest wdowcem. Oni nigdy się nie rozwiedli.

— Nigdy się nie rozwiedli! — powtórzyła Lorraine jak dziecko, wymawiające po raz pierwszy jakieś wyrażenie, którego przedtem nigdy nie słyszała. — To znaczy, że my tak naprawdę nie pobraliśmy się? — Jej głos nagle zniżył się do szeptu. — Czy to jest bigamia?

Przykro było patrzeć na twarz Chucka. Niezdecydowanie zrobił krok w jej stronę. — Nie mogłem ci tego powiedzieć — wyznał. — Och, Boże... przysięgam ci, że to prawda. Kiedy brałem ślub z tobą, nie wiedziałem o tym.

Iris przerwała mu sucho: — Wydaje się oczywiste, że jeśli ktoś chce się żenić z jakąś kobietą, to powinien wiedzieć, czy przedtem był ożeniony z inną...

— Co pani może o tym wiedzieć? — Chuck zwrócił się do niej porywczo, z gniewem. — Byłoby lepiej, gdyby pani wysłuchała mnie do końca, a nie rzucała oskarżeń. — Przeniósł ponownie wzrok na Lorraine. — Mam zamiar powiedzieć ci prawdę, dziecinko. Wysłuchasz mnie? Daj mi szansę.

Lorraine obdarzyła go lodowatym spojrzeniem i skinęła głową.

Jabłko Adama zaczęło poruszać się gwałtownie na szyi Chucka.

— Tak, ożeniłem się z Mimi — zaczął. — Pobraliśmy się siedem lat temu na wschodzie Stanów. Byliśmy oboje dość młodzi i... okazało się, że niezbyt odpowiednio dobrani jak na małżeństwo. Przed dwoma laty rozstaliśmy się. Jej ambicją było zostać aktorką. Wyjechała do Hollywoodu, a ja przenieśliśmy się tutaj, do Nevady. Nie rozwiedliśmy się oficjalnie. Nie chcieliśmy sobie zawracać tym głowy. Uzgodniliśmy, że gdyby jedno z nas chciało kiedyś ponownie wstąpić w związek małżeński, to wtedy drugie wyrazi zgodę na rozwód... — Przerwał i zwilżył językiem wargi. — Urządziłem się jakoś w Reno, kupiłem małe rancho, wyrobiłem sobie dobrą opinię wśród ludzi. Nie zarabiałem wiele, ale miałem sporo znajomości. I żyło mi się zupełnie nieźle. Wtedy, a było to w ubiegłym roku, poznałem ciebie, Lorraine.

Lorraine stała sztywno w milczeniu.

— Och, wiem — rzekł Chuck z goryczą w głosie — wiem, co chcesz powiedzieć, że jesteś jedną z najbogatszych kobiet na świecie i że ja widziałem w tym perspektywę dla siebie. Możesz tak myśleć i powtarzać. Nie interesuje mnie teraz, co inni na to powiedzą. Ja od pierwszego wejrzenia oszalałem na twoim punkcie. Nie mogłem uwierzyć, że ty również zakochałaś się we mnie. A ten dzień... pamiętasz, Lorraine? Ten nad jeziorem Pyramid. Zapropnowałem ci małżeństwo, a ty się zgodziłaś.

Lorraine, Iris i ja obserwowaliśmy go z dziwnym, niezmaconym spokojem.

— Wtedy byłem niemal zdecydowany powiedzieć ci, że jestem żonaty i że będę musiał najpierw uzyskać rozwód, ale... — Wzruszył ramionami. — Jakoś nie mogłem. Poważnie się obawiałem, że cofnęłabyś wówczas zgodę na nasze małżeństwo. Tak więc, wolałem zachować milczenie. Nic nie powiedziałem o tej sprawie. Tego wieczoru jednak, gdy dotarłem do domu, napisałem do Mimi list. Oznajmiłem jej, że zakochałem się w tobie, i poprosiłem o zgodę na rozwód, tak jak ustaliliśmy to wcześniej. — Zawahał się. — Odpisała mi, bardzo grzecznie. Zapewniła, że zgadza się na rozwód i sama go załatwi. Pojedzie do Las Vegas w sprawie formalności, ale prosi, żebym przesłał jej pieniądze na opłacenie kosztów. Nie powodziło jej się ostatnio zbyt dobrze i nie ma tyle gotówki. Oczywiście, z radością

przekazałem jej te pieniądze. Miałem trochę oszczędności, nie dużo, ale wystarczająco na tę sprawę. Wysłałem je pocztą i ona pojechała do Vegas... — Nadal obserwował uważnie Lorraine. — Pamiętasz, jak nalegałem, by zawarcie naszego małżeństwa nieco odwlec. Czekałem sześć tygodni na rozwód z Mimi. Wreszcie nadeszła ta wiadomość. Mimi napisała z Vegas, że rozwód został przypieczętowany. Listownie podziękowałem jej za to i dodałem, że biorę z tobą ślub następnego dnia. I tak uczyniliśmy. Naza jutrz poleciliśmy samolotem do Meksyku. — Głos jego stał się ochrypły. — Na szczęście zdecydowaliśmy się utrzymać nasz ślub w tajemnicy. Powiniennem się domyślić, że był w tym jakiś podstęp. Zaufałem jednak Mimi. Do głowy mi nie przyszło, że mnie tak zwiedzie. Kiedy napisała, że rozwód mamy z głowy, uwierzyłem jej. Nie chciałem sobie zawracać głowy sprawdzaniem, czy było tak istotnie. Po tygodniu od naszego ślubu Mimi zjawiła się u mnie w Reno. Bez zbędnych ceregieli oświadczyła, że wcale nie rozwiodła się ze mną. Użyła podstępu, abym popełnił bigamię. Było to niesłychane oszustwo z jej strony. Skoro jestem mężem Lorraine Pleygel, jak zauważyła, pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Zaznaczyła, że mieszka teraz w Vegas i pewne kroki już poczyniła, rozwód może przeprowadzić w każdej chwili. Gotowa jest utrzymać wszystko w tajemnicy i załatwić rozwód, gdy otrzyma sto tysięcy dolarów gotówką. W innym wypadku pójdzie prosto do redakcji jakiegoś dziennika, który opublikuje na pierwszych stronach gazet jej rewelacje i oskarży mnie o popełnienie bigamii. — Bezradnie rozłożył ręce. — Mogła robić ze mną, co chciała. Proces o bigamię nie dotyczyłby tylko mnie; pojawiłoby się przy nim nazwisko Lorraine, powodując ogromny skandal. Cóż mogłem zrobić w tej sytuacji? Zdałem sobie sprawę, że poniosłem klęskę. Przyrzekłem, że jakoś zdobędę dla niej pieniądze.

Blade usta Lorraine otworzyły się nieco, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu się nie odezwała.

— Nie rozumiesz, Lorraine? — kontynuował swoją opowieść Chuck. — Nie mogłem poprosić ciebie o sto tysięcy dolarów, aby wykupić się od Mimi. Nie wiedziałaś przecież nawet o jej istnieniu, nie mówiąc już o tym, że jest moją żoną. Byłem pewny, że gdybyś dowiedziała się o tym, pożegnałabyś się ze mną raz na zawsze. Musiałem zdobyć te pieniądze na własną rękę. Dlatego poprosiłem cię o pożyczkę na klub. Zawsze miałem talent do

takich interesów. Znałem wielu ludzi. Mogłem zarobić tyle, aby zwrócić i tobie pieniądze. Złapałem się tej szansy. Robiłem wszystko, aby zyskać powodzenie klubu. Najważniejsze było zdobycie forsy dla Mimi, bo wiedziałem, że inaczej oboje nie zaznamy szczęścia...

— Ale nawet przy ogromnym powodzeniu takiego klubu — wtrąciłem się — zdobycie stu tysięcy dolarów nie jest dziecinną igraszką. Gdy minęło kilka miesięcy, Mimi zaczęła się niecierpliwić. I dlatego zapewne uczepiła się biednego Kochanka. Dzięki niemu mogła śmiało dostać się do tego domu i stale panu grozić...

Chuck nie odpowiedział. Spoglądał nadal miłosiernie na Lorraine.

Wtedy odezwała się Iris: — I w tym tygodniu sprawy doszły do punktu zwrotnego, Chuck, bo przyjeżdżał pan Throckmorton. Lorraine miała zamiar powiedzieć mu o tajemnym małżeństwie. Pan wiedział, że Throckmorton, jako opiekun Lorraine i zdolny adwokat, dowie się wszystkiego, co tylko będzie mógł, o panu. A zatem zaistniało wielkie niebezpieczeństwo, że wykryje bigamię. Doszedł pan do wniosku, że Mimi musi wrócić do Vegas i ostatecznie załatwić rozwód, aby pan mógł znowu wziąć ślub z Lorraine przed przybyciem Throckmortona. Był pan gotów obiecać Mimi wszystko, ale ona nie potrzebowała obietnic. Żądała gotówki. Dlatego musiał pan sprzedać klub. Mimi chciała pojechać do Vegas wieczorem, by następnego dnia załatwić rozwód, prawda? W walizeczce zabierała wszystkie pieniądze, które należały do pana.

Chuck przesunął ręką po czole. — Co też pani mówi? — wymamrotał. — Wydaje się, jakby pani wiedziała tu już wszystko...

— Miałeś więc zamiar spłacić Mimi? — Głos Lorraine był żaloszny i cichy, jak głos kobiety, która widziała wszystko w najczarniejszych barwach. — I w ostatniej chwili zamordowałeś ją. To nawet nie jest takie straszne dla mnie. Każda kobieta, która tak postąpiła, zasługuje na karę. To jednak nie wszystko, prawda? Dwie inne kobiety zostały przedtem zamordowane. Tylko dlatego, że wpadły w pułapki zastawione na mnie. Mówisz, że kochałeś mnie. A kiedy znalazłeś się w tarapatkach i potrzebowałeś pieniędzy, aby ocalić siebie, usiłowałeś dwukrotnie mnie zamordować. Miłość! — Zaśmiała się szydyczko. — I to ma być miłość! Miłość mordercy!

Chuck robił wrażenie zbyt oszołomionego, by coś odpowiedzieć na jej zarzuty.

— Mów dalej — zachęcała Lorraine. — Dlaczego nie chcesz się przyznać i zakończyć tej sprawy? Dlaczego nie przyznajesz się, że zamordowałaś Dorothy i Janet... oraz Mimi?

Chuck zrobił krok w jej stronę. — Lorraine...

Iris również obserwowała Lorraine. Na jej ustach zaigrał zagadkowy uśmiech.

— Och nie, Lorraine — odezwała się. — To nie jest prawda. W ogóle nie było tak, jak mówisz.

Lorraine zwróciła się do niej.

— Iris, co ty mówisz? Co ty masz na myśli?

— Peter powiedział, że tylko zwykły przypadek uchronił cię od tych śmiercionośnych pułapek. Jednak on nie ma racji. Żyjesz dotychczas tylko dlatego, że cały czas ktoś robił dosłownie wszystko, aby ochronić cię przed groźącym niebezpieczeństwem. Pomyśl, Lorraine. Kto odciągnął cię od stołu ruletkowego, nim zaczęłaś grać tymi żetonami? Kto odradził ci założenie srebrnego kostiumu kąpielowego? — Wzięła Lorraine za rękę i utkwiała wzrok w jej twarzy. — Powinnaś być dumna z Chucka. Zrobił wiele przykrych rzeczy tylko dlatego, że był to jedyny sposób ocalenia twojego życia, nie mówiąc już o reputacji. Gdyby nie Chuck, już byś nie żyła. — Iris obdarzyła Chucka promiennym uśmiechem. — Przykro mi, że byłam taka niegrzeczna. Nie zdawałam sobie sprawy, że podstępem został pan wciągnięty w bigamię. Rozumiem to wszystko teraz i wierzę panu.

Wszyscy obserwowaliśmy ją w kompletnym milczeniu. Rumieniec zażenowania pokrył twarz Chucka.

— Wiem, dlaczego ukrywa pan prawdę — dodała moja żona. — I sam pan widzi, że musi ją teraz wyznać. Pan musi powiedzieć im, kto jest prawdziwym mordercą.

21.

Wydarzenia następowały teraz szybko. Wszyscy obserwowaliśmy Chucka. Lorraine, gdy posądzala go o zbrodnię, wyglądała jak kobieta podpisująca własny wyrok śmierci. Obecnie załśnił w jej oczach promyk nadziei. Iris wydawała się całkowicie pewna swego, ale obawiałem się, że jednak nie wiedziała zbyt dużo i chciała tylko zrobić wrażenie na Chucku, że wie o nim więcej.

— No, Chuck — odezwała się stanowczo. — Niech pan mówi, proszę. Będzie lepiej, gdy usłyszymy to od pana.

— Przypuszczam. — Chuck niespokojnie dotknął ręką kołnierzyka koszuli, jakby usiłował rozluźnić niewidoczną pętlę. — Trudno mi będzie to wyjaśnić. Iris, ma pani rację. Dokonałem wielu okropnych rzeczy. Chroniłem mordercę, którego nienawidzę. Skłamałem. Wpakowałem Lorraine w śmiertelne niebezpieczeństwo, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy w owym czasie. Gdybym nie był tchórzem, to przypuszczalnie udałbym się natychmiast na policję i wypiłbym piwo, które nawarzyłem. Byłem jednak tchórzem... tchórzem, bo bałem się panicznie, że stracę Lorraine. — Zerknął na nią błagalnie. — Zrobiłem to też dla ratowania własnej skóry. To prawda. Gdybym postąpił inaczej, byłbym teraz aresztowany jako współnik zbrodniarza, a na pewno jako szarlatan, który oszukał Lorraine Pleygel. To jednak nie było aż takie istotne. Przede wszystkim myślałem o tobie, starałem się nie utracić ciebie, ochronić przed skandalem, bo cię kocham. — Wzruszył ramionami. — I tak mnie zaraz wyśmiejesz. Gdy opowiem, co zrobiłem, skończysz ze mną... nawet gdyby ci to przyszło z trudnością.

— No to mów, Chuck. Wszystko po kolei — odezwała się Lorraine cichym głosem. — I niczego nie ukrywaj.

— Chyba najłatwiej będzie zacząć od Mimi. Gdy obiecałem jej sto tysięcy dolarów, została w Vegas i zaangażowała się do jakiejś pracy w klubie nocnym. Czekanie jednak ją znudziło. Po kilku miesiącach przestała mi ufać. Chciała przybyć do Reno bez uprzedzenia, by wywołać awanturę, ale wtedy nawinęło jej się coś lepszego.

— Coś lepszego — wtrąciła Iris — to Kochanek?

— Tak. Poznała go w nocnym klubie. Wiedziała, oczywiście, kim był, i zdała sobie sprawę, że gdyby zaprosił ją do domu Lorraine, mogłaby wierzyć na mnie odpowiedni nacisk. Zawsze podobała się starszym facetom. Umiała odgrywać kruchą istotę, zakochaną w poezji. Kochanek dał się od razu na to złapać. Już po kilku dniach dostał takiego bzika na jej tle, że zaproponował jej małżeństwo. — Chuck przerwał na chwilę. — Nie grała aż tak wysoko, ale jako narzeczona Kochanka znalazła się w doskonałym położeniu. Kiedy przybyła tutaj, od razu dała mi do zrozumienia, że jeżeli szybko nie dam jej tej forsy, będzie zmuszona zagrać w otwarte karty z Lorraine i wymusi od niej gotówkę szantażem. Znalazłem się w rozpaczliwej

sytuacji. Klub prosperował bardzo dobrze i byłem w stanie zdobyć sto tysięcy dolarów bez wiedzy Lorraine, aby ją na razie zadowolić. Ublągałem jakoś Mimi. Dałem jej kilka tysięcy, żeby się uspokoiła. I przystała wtedy na to, że resztę forsy otrzyma niedługo... — Spojrzał na swoje duże, lekko drżące ręce. — Tydzień później Lorraine ściągnęła tutaj te swoje koleżanki, bo przyszedł jej do głowy szalony pomysł pojednania ich z mężami. Co się wtedy wydarzyło, dowiedziałem się później od Mimi. Po tej pamiętnej kolacji z mężami, gdy wszyscy przygotowywaliśmy się do podróży do Reno, Mimi udała się do pokoju Kochanka. Skończyły się jej papierosy, więc poszła po nie do niego. Wiedziała, że lubił je trzymać w górnej szufladzie biurka. Jego samego w pokoju nie było. Podeszła więc do szuflady i otworzyła ją. Obok papierosów leżała w niej puderniczka. Zawsze ponosiła ją nadmierna ciekawość. Wydawało jej się dziwne, że mężczyzna przechowuje puderniczkę. Wyjęła ją z szuflady i otworzyła. — Chuck Dawson pokazał na papierośnicę leżącą na komódce. — W puderniczce znalazła żeton ruletkowy z tkwiącymi w nim igłami, pokrytymi trucizną, o czym jeszcze nie wiedziała. Lorraine westchnęła głęboko.

— A więc to Kochanek!

Wreszcie po tylu zagmatwanych wydarzeniach poznałem mordercę. W trakcie opowiadania Chucka domyślałem się tego, zdając sobie sprawę, jak dalece moje posądzanie Chucka miało się z celem. Zamiast jednak odczuć zakłopotanie lub wstrząs tym odkryciem, pomyślałem tylko, dlaczego wszyscy nadal mówią o Walterze Frenchu, posługują się tym wstrętnym przezwiskiem, nadanym mu przez Mimi.

— Kochanek! — zaśmiał się Chuck. — Jak potwornie to pasowało! Mimi oczywiście nie wiedziała, co znaczy ten żeton. Stała z puderniczka w ręku, gdy wszedł Kochanek. Wyrwał jej puderniczkę, zamknął ją i schował do kieszeni. Przypatrywał się jej dziwnie. I na koniec powiedział: „Miałem zamiar nie mieszać cię w to. Skoro jednak zobaczyłaś żeton, opowiem ci resztę...” Nadal nic nie pojmowała, ale powoli zaczął jej wyjaśniać. Do tego czasu Mimi uważała go za sentymentalnego starego durnia, lecz to, co jej powiedział, odsłoniło najbardziej bezlitosnego i cynicznego człowieka, jakiego poznała. — Przerwał znowu na chwilę. — Zaczął od tego, że wie, iż Mimi wyszła za mnie. Mimi zawsze była roztargniona. Przechowywała tę książkę z wierszami, którą dałem jej zaraz po ślubie. Kochanek też odkrył

tę dedykację; tę samą, co Iris dziś w nocy. W tajemnicy wynajął prywatnych detektywów, żeby ją śledzili w Vegas, no i wykryli całą historię. Sądziła, że już po jej grze. A Kochanek zamiast grozić jej zdemaskowaniem, zaczął ją chwalić. Kochał ją coraz bardziej za to, że była ambitną kobietą i umiała zadbać o swoje interesy. On przez całe życie był biedny i poniżany, podczas gdy jego przyrodnia siostra była jedną z najbogatszych dziewczyn na świecie. Doszedł do wniosku, że nadszedł czas, aby on również zadbał o swoje interesy. Wymyślił plan, na podstawie którego oboje staliby się ludźmi bogatymi.

Chuck sięgnął do kieszeni po papierosa.

— Objąśnij jej, o co chodzi z tym żetonem ruletkowym, że dzięki niemu zamorduje tego wieczoru Lorraine. Ona nie sporządziła testamentu, a jej małżeństwo to bigamia, co z łatwością można było udowodnić. Gdyby umarła przed zalegalizowaniem przeze mnie małżeństwa, wówczas cały jej majątek przeszedłby na Kochanka, jako jej najbliższego krewnego. Kiedy wszystko by się uciszyło, ożeniłby się z Mimi i następnie żyłoby w dostatku do końca życia... — Jego głos stał się znowu chłodny. — Sytuacja w domu była idealna dla mordercy. Lorraine zapełniła go skłóconymi mężami i żonami, Kiedy wszyscy zgromadzą się wokół stołu ruletkowego, nikt, zdaniem Kochanka, nie zdoła stwierdzić, skąd się wziął ten żeton i policja orzeknie, że został on umyślnie podrzucony jednej z żon przez któregoś z mężów, a Lorraine zginęła przez pomyłkę. Cokolwiek by się nie wydarzyło, zapanuje tak wielki bałagan, że wykrycie prawdziwego mordercy będzie raczej niemożliwe... Na koniec tych objaśnień Kochanek dodał z uśmiechem: „Ciesz się, że wiesz to wszystko. Przyjechałaś tu, by szantażować Chucka. Szantaż niewiele różni się od zbrodni. Dlatego liczę, że nie pójdziesz na policję. Jedno musi dbać o interesy drugiego. To ważne. Znasz mój plan i pomimo że Lorraine jeszcze żyje, ty zostałam moją współniczką bez względu na przyszłe wydarzenia”.

Ta opowieść była tak wstrząsająca, że mogła zmrozić krew w żyłach.

— Wtedy już — zaznaczył Chuck — Mimi naprawdę bała się go. Nie chciała wyjść za niego za mąż. Nie cierpiała go i nie chciała być wplątana w zbrodnię. Była twarda, lecz nie do tego stopnia. Obiecała jednak, że będzie mu posłuszna. Zresztą obiecałaby mu wszystko, choć swój plan miała inny.

Wymknęła się wtedy szybko z jego pokoju i przysła do mnie...

Przypomniałem sobie, jak wtedy z żoną zauważyliśmy Mimi wślizgującą się do pokoju Chucka.

— Tak więc — ciągnął swoją opowieść Chuck — Kochanek mógł robić z nią wszystko, co tylko chciał. Ona jednak była na tyle sprytna, że nadal mogła robić ze mną, co tylko jej się spodobało. Miała sprytny umysł i szybko opracowała swój plan działania. Przysła do mnie w momencie, gdy przygotowywałem się do zejścia na dół, aby przyłączyć się do reszty osób. Powiedziała mi wówczas, że Kochanek odkrył moje małżeństwo z Lorraine, stanowiące bigamię, i że planuje zamordowanie Lorraine, nim zawrzemy małżeństwo w myśl prawa. Dodała, że jest gotowa zdradzić mi jego plan i pomóc w ocaleniu życia Lorraine pod dwoma warunkami. Po pierwsze, dostanie dwieście tysięcy dolarów. A po drugie, musiałbym przyrzec, że bez względu na to, co się zdarzy, nigdy nie powiem prawdy policji, bo wtedy ją oskarżono by o szantaż, nawet gdyby Kochanek nie usiłował uwikłać jej w planowaną zbrodnię. Wiedziała, że mnie może być pewna. Kochałem Lorraine i zrobiłbym wszystko, aby ocalić jej życie. Wiedziała też, że zagrożony ujawnieniem bigamii, nigdy nie odważy się pójść na policję. W ten sposób mogła zdobyć dwieście tysięcy dolarów bez uwikłania się w zbrodnię. Na dodatek mogła zrobić na złość Kochankowi...

Chuck znowu przerwał, a po chwili zaczął mówić już bardziej gwałtownym tonem: — Bałem się piekielnie o Lorraine. Ponieważ jedyna szansa ocalenia jej życia zależała od Mimi, zgodziłem się. Zresztą zgodziłbym się na wszystko. Wtedy opowiedziała mi o planie Kochanka. I zaznaczyła, że przechytrzymy go łatwo, jeśli będziemy postępować bardzo ostrożnie. Gdyby domyślił się, że oszukała go, zwróciłby się przeciwko niej. Puder-niczkę ukrył w prawej kieszeni marynarki i należało mu ją wykraść. W ten sposób nie tylko ocalilibyśmy Lorraine, ale i mielibyśmy żeton jako dowód. I mogliśmy mu nim grozić, gdyby próbował jakichś innych sposobów...

Jego wzrok znowu spoczął na bladej twarzy Lorraine.

— Byłem zbyt przejęty, by myśleć racjonalnie. Wszystko co wiedziałem, to to, że muszę zdobyć ten żeton, nim on cię zamorduje. Popędziliśmy schodami na dół, ale ty i pozostałe osoby wyruszyliście już bez nas. Wskoczyliśmy do mojego samochodu. Gnałem jak wariat, żeby cię wyprzedzić

i przyjechać do klubu przed wami, nim mogłoby się coś wydarzyć. — Wzruszył ramionami. — Jak może pamiętacie, złapaliśmy gumę. Okropnie niepokoiłem się o Lorraine. Gdy wymienialiśmy koło, wszyscy nas mijali. Zamachaliśmy do Lorraine, ale nie zatrzymała się. Za nią drugi wóz prowadził Kochanek. Wreszcie założyliśmy koło i pogналиśmy do Reno. — Twarz Chucka wyrażała teraz cierpienie. Zapewne na myśl o przebiegu kolejnych wydarzeń tamtego wieczoru. — Gdy weszliśmy do klubu, znajdowaliście się przy stole ruletkowym. Nie przypuszczaliśmy, że przybędziemy tak późno. Nasze plany zostały całkowicie przekreślone. I wtedy wypatrzyłem tego południowoamerykańskiego fordansera. Rozmawiałem z nim poprzedniego dnia, wyraził gorące życzenie spotkania się z Lorraine. Chyba sam Bóg zesłał mi go w prezencie. Ruszyłem szybko w stronę stołu ruletkowego. Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem, że Lorraine nie zaczęła jeszcze grać. Moją jedyną myślą było zabranie jej stamtąd, gdzie groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Oderwałem ją od stołu. A potem Kochanka. Zaciągnąłem ich do Mimi i południowoamerykańskiego fordansera. Pozostawiłem Lorraine tancerzowi, a Kochanka przekazałem Mimi. Jej zadaniem było zdobycie puderniczki. Zaczęła się do niego przytulać, udając czułość. Po kilku sekundach skinęła głową. To oznaczało, że ma już puderniczkę. — Chuck obdarzył nas chłodnym uśmiechem. — Sądziłem, że wszystko jest w porządku. Że uratowałem sytuację.

Od początku tej niewiarygodnej historii Iris uważnie obserwowała Chucka. Teraz odezwała się:

— Tak, uratował pan życie Lorraine. Nie zdawał pan sobie tylko sprawy, że Kochanek już podrzucił zatruty żeton do stosu. I gdy odciągnął go pan od stołu, nie miał już okazji zabrania żetonu z powrotem. Musiał cierpieć katusze z tego powodu. Wiedział, że jeśli tam nie wróci i nie wycofa tego żetonu, Dorothy umrze. Lecz pan nie pozwolił mu odejść. W tym czasie ja trafiłam pułę w automacie. Wszyscy zbiegli się do mnie. Powstało zamieszanie, z którego skorzystał Kochanek. Dotarł do stołu ruletkowego, ale z przerażeniem stwierdził, że żeton zniknął. Bo Dorothy ukradkiem schowała go wraz z innymi do torebki. Od tego czasu nie wiedział, gdzie ten żeton się znajduje. Rozpędzona maszyna nie dała się już zatrzymać...

— Domyśliłem się tego. — Chuck nerwowo zaciskał palce. — Mimi nie miała okazji, by zajrzeć do puderniczki i stwierdzić, że była pusta. Zanim

oboje zorientowaliśmy się, że każdemu zagraża niebezpieczeństwo, Dorothy już nie żyła... — Utkwił wzrok we mnie. — Gdy pomogłem panu wynieść Dorothy z sali tanecznej, wiedziałem, że zginęła od pułapki Kochanka. Zdałem sobie sprawę, w jakim okropnym położeniu się znalazłem. Obiecałem Mimi, że nie powiem nic policji. Gdybym złamał przyrzeczenie, sprawa bigamii wyszłaby na światło dzienne. Ale nie tylko to. Byłem przecież uprzedzony o planie zbrodni, wiedziałem o niej. Bylbym traktowany jako współwinny. Byłem w to uwikłany tak samo jak Mimi i Kochanek. Cierpiałem straszliwe tortury. I wówczas to Wyckoff wydał szokującą diagnozę, że śmierć Dorothy nastąpiła na skutek wady serca. Nie miałem pojęcia, dlaczego to zrobił, ale to przyniosło mi pewną ulgę. Mimo wszystko, Lorraine była uratowana. Śmierć Dorothy nie przejęła mnie zbytnio.

— To dlatego zachował pan milczenie — zauważyłem — i użył swego wpływu na policję, aby Wyckoff podpisał świadectwo zgonu?

Skinął głową. — W ten sposób zyskałem na czasie. Musiałem porozmawiać z Mimi, ale zeszło nam z Wyckoffem, nim przewieźliśmy zwłoki Dorothy do zakładu pogrzebowego, i w rezultacie wróciłem tutaj zbyt późno. Musiałem zachować daleko idącą ostrożność przy kontaktowaniu się z nią, żeby nie wzbudzić podejrzeń Kochanka. Okazja do rozmowy nadarzyła się dopiero następnego dnia wieczorem po powrocie z wycieczki po jeziorze Tahoe. Mimi czekała na mnie w doku. Pamiętacie?

— Oczywiście — potwierdziła Iris.

— Od razu powiedziała mi, że Kochanek nie podejrzewa, iż go przechytrzyła. Uważał, że odciążenie jego i Lorraine przeze mnie od stołu ruletkowego było zwykłym przypadkiem. Podobno nie był również specjalnie zmartwiony tym, że jego plan się nie udał. Śmierć Dorothy w pewnym sensie raczej pomogła mu, niż przeszkodziła. Tak wielu osobom dopiekła, że policja nawet podejrzewając zbrodnię, byłaby zbita z właściwego tropu. Ostatnia wiadomość Mimi podziałała na mnie jak grom z jasnego nieba. Kochanek był tak pewny siebie, że zaplanował kolejny zamach na Lorraine!

Chuck odruchowo pogładził ręką krótko przystrzyżone jasne włosy.

— Mimi oświadczyła, że zapozna mnie z tym planem i pomoże ocalić Lorraine, ale pod warunkiem, że dotrzymam swego przyrzeczenia. Wtedy

zdałem sobie sprawę, w jaką beznadziejną pułapkę dałem się wciągnąć. I że nie mogłem już udać się na policję. Przyjąłem warunki Mimi, a ona z kolei podała mi szczegóły planu Kochanka. Miał spowodować awarię światła podczas kąpieli w basenie i utopić Lorraine. Pokładał całą nadzieję w srebrnym kostiumie kąpielowym, bo mimo swej krótkowzroczności był pewien, że dostrzeże jego błyski w ciemnościach. Miał też pewną ilość eteru, ale nie chciał go używać bez potrzeby. Wiemy już, że nie potrzebował eteru. — Chuck chrząknął i mówił dalej: — Rozumiałem, że nie odciągnę Lorraine od pomysłu tej wyprawy na basen bez wzbudzenia podejrzeń Kochanka. Wiedziałem jednak, że ważne jest dla niej właściwe dobranie strojów. I postanowiłem wyśmiać jej pomysł z tym kostiumem, tak aby nie chciała go założyć. Należało to zrobić, kiedy Kochanka nie będzie w pobliżu. I jakoś to wyszło. Po kolacji Mimi i ja trzymaliśmy się blisko Kochanka. Później, gdy wykręcił bezpieczniki, zanurkowałem, odnalazłem w basenie Lorraine i pozostałem przy niej. Kochanek nie mógł dojrzeć jej w ciemnym kostiumie, lecz wolałem nie ryzykować. — Uśmiechnął się lekko. — Znowu ocaliliśmy Lorraine, ale nie przeszkodziliśmy w popełnieniu zbrodni. Nie wiedzieliśmy, że Janet nie zabrała własnego kostiumu i że Lorraine dała jej ten srebrny. Gdy Kochanek, Mimi i ja dotarliśmy na basen, Lorraine i Janet znajdowały się w damskich przebieralniach. Nikt z nas nie wiedział, że Janet ma na sobie ten kostium. Inaczej może z Mimi zrobilibyśmy coś w tej sprawie. W ciemnościach Kochanek dostrzegł błyszczący kostium. I zamordował Janet. Przypuszczając, że była to Lorraine... — Ze znużeniem wzruszył ramionami. — Byłem już u kresu sił. Wydawało mi się, że te zbrodnie nigdy się nie skończą. Kochanek będzie z pewnością kontynuował swoje zbrodnicze dzieło, dopóki nie dosięgnie Lorraine. Nie przejmował się tym, że ginęły niewinne kobiety. Mało tego, każda następna ofiara stwarzała mu dogodniejsze okoliczności ukrycia istotnego motywu, bo wszystko to coraz bardziej utwierdzało nas w przekonaniu, że zbrodni tych dokonuje jakiś maniak.

— Bo rzeczywiście na takie wyglądały — wtrąciła Iris.

Chuck przytaknął głową.

— Wtedy już gotów byłem pójść na policję i wyznać całą prawdę, choćby nawet było to równoznaczne z założeniem pętli tak samo na moją szyję, jak i na szyję Kochanka. Lecz przyszło mi do głowy coś takiego, o

czym przedtem nigdy nie pomyślałem. Wpadłem na pomysł niedopuszczenia do zbrodni bez wzywania policji. Śmierć Lorraine mogła przynieść korzyść Kochankowi, dopóki jej ślub ze mną był nielegalny. Mimi dokonała już wstępnych czynności do przeprowadzenia rozwodu. Była mieszkańcem Nevady. Gdyby wróciła do Vegas, mogłaby otrzymać rozwód w ciągu jednego dnia. Najważniejszym zadaniem dla mnie było teraz powtórne wzięcie ślubu z Lorraine, tym razem oficjalnie. Wtedy Kochanek nic by już nie zyskiwał na jej śmierci. — Na moment przerwał. — Udałem się do Mimi. Wyłożyłem jej całą sprawę. Ona też była przerażona obrotem spraw, ale nie na tyle, by zapomnieć o swoich interesach. Ostatecznie przyznała mi rację, zaznaczając, że pojedzie do Vegas następnego dnia, gdy sprzedam klub i oddam jej wszystkie pieniądze. Nawet nie usiłowałem się targować. Fetter od dawna męczył mnie, żebym mu sprzedał ten klub. To była prosta transakcja. Tego samego popołudnia, po pogrzebie Dorothy, zostałem w Reno i sprzedałem klub. Cały czas nie opuszczał mnie strach, że Kochanek może ponownie chcieć zamordować Lorraine akurat w czasie, gdy mnie przy niej nie było.

— I tak też się stało — wtrąciła znowu Iris. — Kochanek był doprowadzony do ostateczności, bo miał wkrótce przybyć pan Throckmorton, a Lorraine oświadczyła wieczorem poprzedniego dnia, że poprosi go o przygotowanie testamentu dla niej. Kochanek miałby ciężki orzech do zgryzienia z chwilą sporządzenia testamentu, jak i zawarcia przez nią oficjalnego ślubu. Gdy Lorraine oświadczyła, że furgonetką pojedzie na lotnisko, Kochanek zdał sobie sprawę, że musi ją zabić przed przybyciem Throckmorton. Tym razem jednak nie powiedział nic Mimi. Wśliznął się do garażu i podpiłował linkę hamulcową. I Fleur wpadła w zastawioną pułapkę. Kochanek spacerował akurat, gdy zobaczył w samochodzie Fleur zamiast Lorraine, i zdobył się na tak zwany wspaniały wyczyn, usiłując ją ocalić. Nadarzyła się doskonała okazja, żeby zrobić z siebie bohatera. Nie miał zresztą nic do stracenia.

Chuck kiwnął głową.

— Gdy wróciłem z Reno, miałem przy sobie gotówkę. Mimi spotkała się ze mną na schodach przed domem. Opowiedziała mi o wypadku Fleur. Wiadomość ta zdopingowała mnie do pośpiechu. Przekazałem jej pieniądze. Postanowiła natychmiast wyjechać do Vegas, ale zachciało się jej czule

pożegnać z prawie eksmężem. Przypuszczam, że to pieniądze spowodowały u niej tak niespodziewany przyływ uczucia. Powiedziała: „Chcę ucałować cię tak, jak za starych dobrych czasów”. — Wzruszył ramionami. — I kiedy mnie tak ścisnęła czule, wy się pojawiliście w drzwiach frontowych... — Zawahał się na moment. — Oboje z Mimi postępowaliśmy ostrożnie, aby nie wydać się przed Kochankiem. A o Lorraine nie pomyśleliśmy. Lorraine zaczęła jednak podejrzewać jakiś romans między nami i kiedy zobaczyła nas całujących się, była już pewna swego. Kazała Mimi wynieść się z domu. Taki wyjazd był jej na rękę. Był zupełnie usprawiedliwiony. Ale ja... — Chuck wykrzywił usta. — Miałem teraz nową sprawę do rozwiązania. Sądziłem, że uda mi się pójść wieczorem do Lorraine, by opowiedzieć jej jakąś historyjkę, że niby nasz ślub zawarty w Meksyku nie jest prawomocny. Miałem zamiar poddać jej myśl, byśmy ponownie wzięli ślub tutaj przed przybyciem Throckmorta. Rozumiecie mnie? Nadal łudziłem się nadzieją, że tak ustawię sprawy, by Lorraine nie dowiedziała się prawdy. Lorraine była jednak zbyt wściekła z powodu Mimi. Zamknęła się w pokoju i nie pozwoliła mi wejść. — Westchnął ciężko. — Trudno. Gorsze rzeczy przeżyłem podczas tych okropnych dni...

Chuck przeniósł zmęczony wzrok z Iris na Lorraine.

— Zdawałem sobie sprawę, że Lorraine nadal zagraża straszliwe niebezpieczeństwo, ale przynajmniej była bezpieczna w swoim pokoju, zamkniętym od wewnątrz na klucz. Przypuszczałem, że wszystko jeszcze dobrze się ułoży. Mimi zawiadomi mnie z Vegas, że rozwód został załatwiony. Rano jakoś uspokoję Lorraine i namówię ją do zawarcia związku małżeńskiego... Oficjalnego tym razem. Porucznik Duluth zażądał stanowczo, bym wezwał policję. Tym też się jednak nie martwiłem. Wiedziałem, że zbrodnie były tak beznadziejnie zawiłane, iż praktycznie nie było żadnej szansy, aby ktokolwiek mógł dojść prawdy. Udałem się do swego pokoju. Wkrótce zjawił się u mnie Kochanek...

Przez twarz Chucka przemknął wyraz rozgoryczenia.

— Usiadł i zapalił papierosa. Był zupełnie spokojny. Oświadczył mi, że właśnie zamordował Mimi. Wyznał to tak spokojnym tonem, jakby chodziło o jakąś drobnostkę. Gdy zobaczył, jak się całowaliśmy, powziął podejrzenie, że Mimi przechytryła go i postanowiła wspólnie ze mną pokrzyżować jego plany. Powiedział, że jest pewny, iż Mimi i ja namówiliśmy

Lorraine, aby nie zakładała srebrnego kostiumu kąpielowego. Tak samo spokojnie stwierdził, że przetrząsnął walizkę Mimi i znalezione pieniądze zabrał. — Zamrugał nerwowo oczami. — Zdawałem sobie sprawę, w jaką okropną historię zostałem wplątany. Musiałem słuchać spokojnie, nie mogąc go nawet trzasnąć w zęby. Zadowolony z siebie dodał, że przyszedł ubić ze mną interes. Zwrócił uwagę na wiele powodów, które nie pozwalały mi na oddanie go w ręce policji. Kończąc zaznaczył, że jeśli te argumenty nie byłyby dostateczne i nadal chciałbym go zdemaskować, wówczas on wyprze się wszystkiego i całą winę zrzuci na mnie. A dla męża Mimi, jak zaznaczył, sprawa wyglądała o wiele groźniej niż dla niego. Miał oczywiście rację. Teraz, gdy Mimi nie żyła, nie było dosłownie żadnego dowodu przeciwko niemu. Same słowa nie wystarczały. On był szanowanym obywatelem, a ja tylko szarlatanem, który oszukał Lorraine, zawierając z nią małżeństwo stanowiące bigamię. Wyjaśnił mi, jaki interes chce ubić. Zatrzyma pieniądze, które dałem Mimi. To będzie miało sens. Te pieniądze powinny wystarczyć mu do końca życia. Jeżeli zachowam się rozsądnie, przyrzeka mi, że nie dokona już żadnego zamachu na Lorraine. Niedługo zjawi się policja. Będą próbowali rozwiązać tajemniczą zagadkę. Jednak bez powodzenia. Z czasem cała sprawa zostanie uznana za szereg nie umotywowanych zbrodni jakiegoś maniaka. On będzie miał pieniądze Mimi, ja Lorraine. Będę mógł ponownie z nią się ożenić bez żadnego pośpiechu. Wszystko samo się ułoży.

Chuck ponownie zwilżył językiem suche wargi.

— Wiedział, że może ze mną robić, co mu się spodoba. Ja też to wiedziałem. Jak i to, że daje mi pewną szansę. Nie miałem już siły walczyć. Mimi nie żyła i żadna przeszkoda nie stała już na drodze do ponownego ślubu z Lorraine. Przystałem na jego warunki. Przed policją zachowam milczenie.

Uniósł głowę, jego twarz przybrała dziki wyraz.

— Teraz wiem, że mnie jednak przechytrzył. Mówiąc, że nie tknie więcej Lorraine, chciał uspić moją czujność. Wiedział, że obezwładnił mnie całkowicie. I zdawał sobie sprawę, że ma zasłonę dymną w postaci mania-ka-mordercy. Raz jeszcze próbował zamordować Lorraine dziś w nocy... — Wzrok Chucka spoczął niepewnie na Iris. — Wiem tylko tyle, co mówiła pani przed chwilą. Przypuszczam, że zdecydował się na zastosowanie ete-ru. I Bogu dzięki, że zdołała pani ocalić Lorraine... — Zawahał się. — To

chyba wszystko, poza tym, że... w jakimś stopniu jestem winien... tak jak Kochanek. I muszę ponieść konsekwencje.

Zrobił krok w stronę Lorraine.

— Kochanie, chcę powiedzieć ci jedno. Nie musisz w to wierzyć, ale przez cały ten czas w stosunku do ciebie miałem jak najlepsze intencje. Byłem naiwny. Wszystko, co robiłem, wychodziło zawsze jak najgorzej. Ale... — Jego głos przeszedł nagle w szept — Proszę cię, nie znieawidź mnie za to...

Lorraine stała bez ruchu. Wpatrywała się uporczywie w niego. Ja także go obserwowałem. Robił wrażenie całkowicie wyczerpanego, jak pływak, który zmagał się przez wiele godzin z falami i nie miał już sił dalej z nimi walczyć. Gdy przeanalizowałem tę straszną historię, ten skomplikowany wzór uknutego spisku, próby przeciwstawienia się mu, desperację i kolejne oszustwa, próbowałem odgadnąć, co ja bym uczynił, gdybym był Chuckiem, a Lorraine — moją żoną.

Czy byłbym odważniejszy lub bardziej szlachetny w postępowaniu?

— I gotów jesteś wyznać policji wszystko to, co nam opowiedziałeś, Chuck? — spytała łagodnym tonem Lorraine.

Chuck kiwnął tylko głową.

— Bez względu na to, co się stanie?

Ponownie kiwnął głową.

Wargi Lorraine wyraźnie drżały. Nagle podeszła do niego i położyła swe drobne ręce na jego olbrzymich ramionach.

— Jeżeli zamkną cię w więzieniu, będę czekała na ciebie.

Chuck utkwiał w niej wzrok z niedowierzaniem.

— Lorraine, ty naprawdę... to znaczy...

— Ty głuptasie. — Oczy Lorraine błyszczały. — Czy nie rozumiesz? Nie możesz zrozumieć, że cię kocham?

Chuck stał jeszcze w bezruchu, trzymając ją w ramionach. Wyglądał jak człowiek, który nie wierzył w cuda, a teraz doznał go na własnej skórze. Ale po chwili na jego twarz znowu padł cień.

— To może się skończyć nie tylko na więzieniu, Kochanie — zauważył. — Nie ma żadnego dowodu. Kochanek jest sprytniejszy ode mnie. Policja szybciej uwierzy jemu...

Wtedy to Iris podniosła się z łóżka. Wyglądała czarująco i poważnie razem.

— Och, tym niech się pan nie martwi, Chuck — powiedziała. — Mamy wystarczające dowody przeciwko Kochankowi. Właściwie to inspektor Craig już go aresztował.

22.

Ta wstrząsająca wypowiedź skoncentrowała uwagę wszystkich na Iris. Ponownie zdaliśmy sobie sprawę z faktu, że to przecież moja żona przyspieszyła bieg zdarzeń. A przy tym wyglądała tak niewinnie, jakby niemal z powietrza wzięła rozwiązanie tej skomplikowanej sprawy.

— Kochanek aresztowany! — wyjąkał z trudem Chuck. — Nie mogę w to uwierzyć. Ja... ja nie mogę tego zrozumieć, Iris. Myślałem, że cała ta okropna historia była tak zawikłana, że nikt jej nie rozwiąże. A tymczasem...

— No właśnie — wtrąciłem. Obróciłem się do żony podrażniony własnym niepowodzeniem, chcąc udać, że ja nie jestem tym zaskoczony. — Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, gdzie, na litość boską, znalazłaś ten zatruty żeton?

Iris, usiłując przybrać skromną minę, odpowiedziała:

— To był naprawdę przypadek, Peter. Siedziałam w tym pokoju zupełnie sama i zaczęłam myśleć o tamtym włamaniu do naszego pokoju. Oboje doszliśmy do wniosku, że morderca chciał odzyskać torebkę Dorothy albo testament Janet. I wtedy przyszło mi do głowy, że w zamkniętej szufladzie jeszcze coś było... moja świnka-skarbonka.

— Twoja świnka-skarbonka! — powtórzyłem. — A niby dlaczego morderca miałby kraść twoją świnkę?

— Nie wiedziałam tego, ale w wieczór, kiedy Dorothy została zamordowana, miałam ją ze sobą. A więc kiedy ty udałeś się na dół do tego inspektora wrogo usposobionego do kobiet, ja wróciłam do naszego pokoju i wyjęłam świnkę z szuflady. Doszłam do wniosku, że gdyby domysł mój okazał się słuszny i świnka byłaby jakimś ważnym przedmiotem, to morderca mógłby ponownie wtargnąć do naszego pokoju i zabrać ją. Pomyślałam o tej drugiej śwince, którą kupiłam dla ciebie, a której nigdy nie używałeś. Była schowana w jednej z walizek znajdujących się pod łóżkiem. Dokonałam wówczas niewielkiej zmiany. Wyjęłam świnkę z walizki, napełniłam wszystkimi monetami, jakie znalazłam, i schowałam ją do

szuflady. Na przynętę... — Uśmiechnęła się niewinnie. — Natomiast moją zabrałam ze sobą i przyniosłam tutaj. Otworzyłam ją. Wewnątrz, pośród monet wygranych z automatu, znalazłam ten żeton.

— A więc cały czas leżał sobie u nas!

— Tak, Peter. Tylko raz rzuciłam na niego okiem i już wiedziałam, że to śmiercionośna pułapka przeznaczona dla Lorraine. I gdy wróciłam pamięcią do tamtej nocy, wówczas doszłam do wniosku, że jedynie Kochanek mógł włożyć ten żeton do świnki. Pamiętasz, Peter? Gdy Dorothy padła na parkiecie, Kochanek był sam przy stoliku, z jej torebką i moją świnką. Kiedy Dorothy zmarła, wiedział, że to za sprawą żetonu i że mógł on być tylko w jej torebce. Nie wiedział, że zbrodnia będzie zatuszowana przez Wycykoffa. Sądził, że policja zrewiduje każdego. I nie mógł zatrzymać żetonu w kieszeni. Nie chciał ryzykować. Moja świnka stanowiła idealny schowek i co najważniejsze, nie należała do niego. Później bez problemu mógł ją zdobyć, wydostać żeton i zniszczyć go. Wyszło jednak na to, że świnka była zamknięta w szufladzie na klucz, gdy wśliznął się ukradkiem do naszego pokoju. A że bardzo się spieszył, nie wyłamał zamka od szuflady. — Wzruszyła ramionami. — Przyznam, że chyba nigdy dotąd w historii zbrodni nikogo nie prześladował pech tak jak Kochanka.

Wszyscy patrzyliśmy na nią zaintrygowani.

— Reszta jest prosta. Zdawałam sobie sprawę, że Lorraine nadal grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie budząc jej podejrzeń, namówiłam ją, by przysłała ze mną tutaj, gdzie powinna czuć się bezpiecznie. Pech prześladowający Kochanka sprawił, że każdy uważał mordercę za maniaka, więc nadal miał on doskonałą okazję, by zamordować Lorraine i wyjść z tego cało. Ktoś próbujący trzy razy nie poprzestanie na tym. Wobec tego coś wymyśliłam. Zesłam ukradkiem na dół, przytaszczyłam tę ohydną lalkę i umieściłam ją w łóżku Lorraine. Wyglądała jak żywa. Wiedziałam przy tym, że Kochanek jest krótkowidzem — zaznaczyła Iris z uśmiechem. — Czując się strasznie głupio, ukryłam się w szafie o odzież, uchyliłam lekko drzwi i czekałam. Nie zawiodłam się. Kochanek zjawił się i z łatwością zamordował... lalkę, chyłkiem, jak król wpuszczający truciznę do ucha ojca Hamleta. Byłam świadkiem usiłowania morderstwa. Tylko tego mi było potrzeba.

Gdy wśliznął się po cichu z pokoju, udałam się za nim. Zobaczyłam, jak skrada się na palcach korytarzem w stronę naszego pokoju. Oczywiście

szedł po żeton, który powinien znajdować się w szuflce. Specjalnie zostawiłam drzwi otwarte, aby dał się skusić. I zostawiłam klucz w zamku od strony korytarza. A kiedy tylko wszedł do pokoju, natychmiast zamknęłam drzwi, przekręciłam klucz w zamku i poszłam obudzić inspektora... — Iris uśmiechnęła się teraz do mnie. — Nie bardzo chciał mi wierzyć, ale gdy powiedziałam, że sama widziałam Kochanka usiłującego zamordować Lorraine, wyskoczył z łóżka. I zostawiłam go z Kochankiem, a sama przyszedłam tutaj, aby usłyszeć od Chucka całą historię, bo jeszcze nie wszystko było dla mnie jasne.

Utkwiłam wzrok w Iris. Ścisnęło mnie coś w gardle. Śmiałem się z niej, nazywałem „Szaloną Iris Duluth, sławnym detektywem z Hollywoodu!”. A teraz ona mogła się śmiać. Dzięki Iris, naocznemu świadkowi zaplanowanej zbrodni na Lorraine, Kochanek miał już zapewnioną celę śmierci.

Iris wzięła mnie za rękę.

— To była okropnie zagmatwana sprawa, Peter; częściowo przez Chucka i Mimi, którzy ciągle ją nam komplikowali, ale głównie dlatego, że Kochanek był przebiegłym mordercą. Chuck uważa, że Kochanek jest sprytny. Ja jednak sądzę co innego. Był bezwzględny w działaniu i naiwny. Zbyt naiwny. Chcąc zamordować jedną osobę, nie morduje się trzech innych bez konsekwencji. Moim skromnym zdaniem ten lotny umysł Kochanka to fikcja... — Zwróciła się do Chucka. — Proszę się nie przejmować, Chuck. Opowiedziałam trochę inspektorowi o pana powodach i okropnym położeniu, w jakim pan się znalazł. Wykaże zrozumienie dla pańskiego postępowania. Każdy by tak postąpił. Nie sądzę, by pan miał ponieść jakieś przykre konsekwencje. A poza tym ten inspektor to naprawdę bardzo sympatyczny człowiek. Obiecał, że zbagatelizuje wszystko, co dotyczy Lorraine i pana ślubu.

Chuck i Lorraine patrzyli na Iris, jakby była dobrą wróżką, która zjawiała się w ostatniej chwili, aby dopilnować happy endu tej makabrycznej historii. W końcu Lorraine podeszła szybko do niej i pocałowała ją.

— Kochanie — powiedziała. — Ty jesteś cudowna. Wspomniała.

Iris uśmiechnęła się nieśmiało.

— Głupstwa pleciesz! — odparła. — To kwestia szczęścia i panny Edny St. Vincent Millay...

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł inspektor Craig. Wyglądał nieco dziwnie w podniszczonym płaszczu przeciwdeszczowym. Oczy jego spoczęły od razu na Iris.

— Pani Duluth, ściągnąłem z miasta jednego z moich chłopców. Pilnuje w tej chwili Frencha na dole. French nic jeszcze nie powiedział, ale pani słowa wystarczająco go obciążą. Jedno mnie tylko zastanawia. Chuck otrzymał pieniądze ze sprzedaży klubu i oddał je pannie Burnett. Mówiła pani, że French powinien je mieć. Przetrzęsnałem cały jego pokój i nic.

— Wiem. — Iris spojrzała pokornie. — Strasznie mi głupio z tego powodu. Chyba wiem, gdzie się znajdują. Proszę pójść za mną. Zaraz będziemy je mieli.

Inspektor Craig osłupiał z wrażenia, my także. I wyszliśmy grzecznie za Iris na korytarz. Szybkim krokiem weszła do pokoju Chucka i włączyła światło. Potem zaczęła wysuwać szuflady i przeszukiwać rzeczy. W końcu podeszła do łóżka i uniosła materac.

Oczom naszym ukazało się kilka grubych paczek leżących tam banknotów. Iris spojrzała na Chucka.

— Tak właśnie przypuszczałam, miał pan rację. Kochanek chciał zrzucić całą winę na pana. Sądzę, że ukryły tu i ten zatruty żeton, gdyby udało mu się go zdobyć.

Inspektor Craig gwizdnął przeciągle z niedowierzaniem. Wróg kobiet spojrzał przenikliwie na banknoty, a następnie odwrócił na Iris wzrok pełen podziwu.

— Jeśli jeszcze kiedyś powiem coś przeciwko kobietom — oświadczył — to palnijcie mnie prosto w łeb.

Moja żona obdarzyła inspektora rozkosznym uśmiechem.

— Z największą przyjemnością zapiszę to w swoim pamiętniku.

Inspektor zgarnął paczki banknotów i upchnął je po kieszeniach.

— Otrzyma je pan z powrotem, Chuck, ale teraz wołałbym je mieć przy sobie. Wobec tego, że wszyscy państwo już ochłonęliście z wrażenia, nie ma sensu tracić czasu. Może zejdziemy na dół i zaczniemy składać oficjalne zeznania.

Gdy wyszliśmy z pokoju, Iris wzięła mnie pod ramię.

— Kochanie — odezwała się. — Znikajmy stąd z samego rana. Już po wszystkim i możemy spędzić pozostałe dziesięć dni dużo lepiej. Mam dosyć roli gwiazdy filmowej. Znudzona też jestem uprawianiem zawodu

detektywa. Chcę być...

— Kim?

— Małą kobietką.

Świat, który kilka godzin temu jawił mi się w czarnych barwach, znowu był kolorowy.

— Dokąd więc pojedziemy? — spytałem.

— Tam, gdzie będziemy sami. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, to wdzierzawimy nawet celę więzienną od inspektora Craiga.

Gdy mijaliśmy pokój Fleur, drzwi nagle się otworzyły i stanęli w nich państwo Wyckoff. Ona miała na sobie różowy szlafrok, on natomiast tylko dolną część piżamy. Spojrzeli na nas pełni niepokoju.

— Usłyszeliśmy czyjeś głosy — odezwał się Wyckoff. — Czy wszystko w porządku?

— Na pewno — odparł Chuck, szczerząc białe zęby w uśmiechu. — Wszystko jest w porządku. Chodźcie z nami.

Bez skrępowania ruszyli tak jak stali. Tworzyliśmy teraz różnobarwną grupę, przesuającą się powoli w stronę schodów. Craig kroczył na czele tego towarzystwa. Spod poły płaszcza ukazywały się jego gołe nogi. Tuż za nim szli państwo Wyckoff, trzymając się za ręce. Następnie Lorraine z Chuckiem, a ja z Iris zamykaliśmy pochód.

W holu Lorraine z oczami pełnymi zachwytu spojrzała na Chucka i powiedziała: — Bogu dzięki, kochanie, że pan Throckmorton przerwał swą podróż samolotem. On jest nieprzejednanym konserwatystą w sprawach moralnych i obyczajowych. Wybuchnie gniewem, gdy dowie się o naszym szalonym ślubie. Dobrze, że chociaż przed jego przyjazdem sporządziliśmy.

Rusaliśmy właśnie w kierunku otwartych drzwi salonu, gdy zabrzmiał dzwonek przy drzwiach frontowych. Wszyscy się zdumiali.

— Któż to, do licha ciężkiego...?

Inspektor ruszył odważnie i otworzył drzwi.

Na progu stał wysoki, starszy mężczyzna w czarnym garniturze z pękającą, ciemną aktówką pod pachą. W oczy rzucały się przede wszystkim jego staromodne wąsy. Wyglądał jak inspektor z Towarzystwa Porządku Publicznego.

— Lorraine! — Nowo przybyły minął inspektora i ruszył równym krokiem przez hol. — Jechałem pociągiem, autobusem i wreszcie udało mi się złapać jakąś taksówkę. To była strasznie wyczerpująca podróż, ale skoro tak bardzo pragnęłaś zobaczyć się ze mną...

Spojrzał zdziwionym wzrokiem na naszą grupę. W oczach jego odmawiała się wyraźna dezaprobata, gdy dostrzegł piżamę Lorraine, szlafrok Fleur i tors Wyckoffa. Po chwili wzrok przeniósł na gołe nogi inspektora, wyglądające spod poły zupełnie w tym miejscu nieodpowiedniego płaszcza przeciwdeszczowego.

— Co to za ludzie? — rzucił gniewnie. — Kim są te golasy? A te niestosownie ubrane młode kobiety? Czy po to odbyłem tak długą podróż, żeby wziąć udział w jakiejś orgii? — Obrzucał nas pełnym oburzenia spojrzeniem.

Lorraine zamarła w milczeniu, nawet inspektorowi zabrakło odwagi. Jedynie Iris spróbowała złagodzić nieco atmosferę.

Z anielskim uśmiechem postąpiła do przodu i wyciągnęła rękę na powitanie. — Przypuszczam, że mam przyjemność z panem Throckmortonem.

Throckmorton zignorował ją jednak; utkwił teraz wzrok w otwartych drzwiach salonu. Wewnątrz można było dostrzec Kochanka, obok którego stał postawny agent inspektora Craiga ubrany po cywilnemu.

— Ach, to ty, Walter, mój chłopcze! — Throckmorton przemknął obok Iris w stronę Kochanka, uśmiechając się do niego przyjaźnie. — Bogu dzięki, że jesteś tutaj. Bogu dzięki za obecność chociaż jednego godnego szacunku człowieka, który ochroni Lorraine przed tą zbieraniną.

Spojrzałem na Iris, ona na mnie.

— To najlepszy tekst na zapadnięcie kurtyny, jaki kiedykolwiek usłyszałam — stwierdziła Iris. — Chodź, Peter, napijemy się czegoś.